TEGOŻ AUTORA WYSZŁY KSIĄŻKI NASTĘPUJĄCE:

POGRZEB SHELLEYA. Poemat . . . . . *Wyczerpane*
POEZYE. Część I. . . . . *Wyczerpane*
POEZYE. Część II. . . . . *Wyczerpane*
FRAGMENTA. Poezye wybrane.
WYBÓR POEZYJ. Ed. Bibl. Mrówki.
POGROBOWCOM. Poemat . . . . . *Na wyczerpaniu*
ROZMYŚLANIA. . . . . *Na wyczerpaniu*
PIERWSZY DZIEŃ STWORZENIA. Pieśni społeczne.
WENEDZI. Tragedya . . . . *Na wyczerpaniu*
ATYLLA. Tragedya. . . . . *W druku*

KWIATY GRZECHU z Baudelaire'a . . . *Wyczerpane*
POCAŁUNEK z Banville'a . . . . . . *Wyczerpane*
PRZEKŁADY Z POETÓW OBCYCH. Dwa tomy *Wyczerpane*
KUSZENIE Ś-go ANTONIEGO z G. Flauberta.
NAL i DAMAYANTI. Przekład z Sanskrytu.
SAVITRI czyli Powieść o wiernej żonie. Przekład z Sanskrytu.
SINTAISI-SHÓ. Poeci nowojapońscy.

STUDYA i WRAŻENIA. . . . . *Wyczerpane*
STUDYA Z LITERATURY FRANCUSKIEJ.
ZBRODNIA. Opowiadania.
DWIE BAJKI. Książka dla dzieci.
ELFRYDA. Opowiadania . . . . . . *W druku*

SERYA p. t. **EPOS.**

I. EPOS BABILOŃSKIE. ***Enuma Elisz.***
II. EPOS EGIPSKIE. ***Klechdy-Romanzero-Pentaur.***
III. EPOS INDYJSKIE. *1. Valmiki.* ***Ramayana.***
IV. „ „ *2. Vyasa.* ***Maha-Bharata.***
W druku

ANTONI LANGE

STYPA

POWIEŚĆ

DRUGI TYSIĄC

WARSZAWA — 1911 R.
WYDAWNICTWO WŁ. OKRĘTA
SKŁAD GŁÓWNY
W KSIĘGARNI GEBETHNERA i WOLFFA

STYPA

OSOBY:

STEFAN—muzyk, samobójca.

PROFESOR ZYGMUNT TARŁO.

HENRYK NAWARA, autor dramatyczny.

WŁADYSŁAW HERKNER, zwany Dantyszkiem, powieściopisarz.

FREDZIO WARECKI, dziennikarz.

JAN KOWALSKI, zwany Podobłoczny.

ZENON OKOLICZ, były obywatel ziemski

KAROL, inżynier.

N. UGRONOWICZ, adwokat.

JERZY LĘDŹWIŁŁ, lekarz.

FRANCISZEK STYCZEŃ, malarz.

B. MOLTEN, przemysłowiec.

S. NIRWID, chemik, osoba milcząca.

PAN WINCENTY, właściciel restauracyi.

Rzecz dzieje się po pogrzebie Stefana, w restauracyi p. Wincentego, za naszych czasów.

Była blizko siódma godzina wieczorem, gdyśmy powrócili z cmentarza po pogrzebie Stefana. Pierwszy przyjechał profesor Tarło oraz Henryk Nawara, a wraz z nimi i nasz odwieczny jadłodawca, p. Wincenty, do którego zakładu zmierzała cała nasza gromadka. Wkrótce też inne dorożki sprowadziły pozostałych towarzyszów.

Był początek października; dzień świeży, chłodny, suchy; było już dobrze ciemno. Acetylenowa lampa jaskrawem niebieskawo-żółtem światłem kołysała się nad drzwiami restauracyi. Weszliśmy do sieni, gdzie mały murzynek, w czerwonem ubraniu, ze złotymi guzikami, cały w ukłonach i uśmiechach, szczerząc białe zęby, zdejmował nam palta i systematycznie wieszał je na kołkach. Poczem — po wązkich, kręconych schodach, pokrytych zielonym, puszystym dywanem — ruszyliśmy wszyscy na górę, do swego własnego pokoju, gdzie od niemałej liczby lat zaspakajaliśmy tę przykrą *infériorité* ludzką — konieczność jedzenia. Dzień dzisiejszy jednak zupełnie nas wytrącił z równowagi: nie myśleliśmy ani o przyjemnościach jedzenia, ani też o klątwie tego fatalnego

prawa ludzkiego. Wszyscy byliśmy dziwnie wstrząśnieni krótkim ale gwałtownym przebiegiem spodziewanych i niespodziewanych zarazem wydarzeń w ciągu paru dni ostatnich.

Najbardziej może poruszony był pan Wincenty, nasz gospodarz, człowiek bardzo poczciwy, którego znaliśmy od niepamiętnych czasów, choć nikt nigdy nie wiedział jego nazwiska. Był to dla nas pan Wincenty *tout court*. Biegał po całym zakładzie tam i z powrotem; to wydawał dyspozycye, to znów wykrzykiwał żałośnie; nie rozpiął palta, nie zdjął nawet kapelusza—i, wpadłszy do naszego pokoju — mówił do nas:

— Smutny, bardzo smutny dzień, moi panowie! Prędzej myślałem, że pan Stefan pójdzie za moim pogrzebem, niż ja za nim... Ale tak już bywa na świecie: człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi... I oto nie żyje nasz kochany chłopiec... A wszystko przez te baby! Niech je flanela! Kobieta, panie, to choroba, to nieszczęście!... Na pokaranie ludzkie Bóg to-to stworzył — nie inaczej! Ja się, panie, na tem znam... Oho, abo ja to mało kobiet w życiu widziałem? A jedna — ta ostatnia — to niech ją tam morówka! Tak mi dogryzła, że Panie odpuść... Dawne to czasy, a jeszcze mię ciarki przechodzą... Mam ci ja dzisiaj niedaleko sześćdziesiąt lat, ale za młodu to przecież było się chłopcem niczego... Jużci za kawalerskich lat, panie, to ja byłem *lump*. Żadnej nie darowałem. Człowiek, choć pracuje koło kuchni, to przecież i serce ma — i krew nie woda, panie! Więc proszę panów — i ja o mało co nie zginąłem. A przez kogo? przez babę — przez tę szelmę Walerę, moją drugą żonę. Bo pierwsza moja nieboszczka Mary-

sia — to była poczciwota. Indyczka, panie, bo indyczka, ale co za gospodyni, co za kuchmistrzyni, co za złote serce! Wtedy właśnie założyłem tę restauracyę, bo to, panie, była dziewucha nie bez woreczka, córka jednego mączarza z ulicy Piwnej: sto tysięcy złotych polskich dostałem za nią... Ale po trzech latach — świeć Panie nad jej duszą! — umarła właśnie przy urodzeniu Jadzi... Jakże jednak bez gospodyni przy takim interesie? Ożeniłem się drugi raz z tą Walerą, bo była szelma bardzo foremna, *fest* zbudowana, smok-baba, wszystkiego, panie, po trzy morgi... Ale też robiła ze mną, co chciała. Wybierała sobie z gości kawalerów—i dopiero z nimi romansowała, kredytowała, dawała im pieniądze... Poprostu złodziej domowy. Jeden był z magistratu, to nie pił inaczej, tylko szampana — i tylko *kliko* — wszystko na kredyt, a jeszcze gniewał się—i wymyślał. To też po roku takiego gospodarstwa — poprostu ruina. Szczęściem że uciekła z jednym z kontrolnej pałaty — gdzieś do Moskwy... Mówili, że tam do cyganek przystała i śpiewała w teatrze... Niech ją tam... Co się potem z nią stało — to nawet i nie wiem· I bardzo dobrze. Zginąłbym przez tę babę. Ze czterdzieści tysięcy złotych mi roztrwoniła. Ledwiem się wykaraskał. No, ale odtąd bab już znać nie chcę... A tu z panem Stefanem — co za nieszczęście! Zaraz to przewidywałem, jak tylko zaczął przychodzić taki blady, a potem go parę dni nie było. Oj, coś złego tu się święci — tak mówiłem do siebie. I trrrach! patrzcie — zastrzelił się chłopak. Ale też pan Karol ślicznie mówił nad grobem — prześlicznie! Już to znać było, że pan czuje gorąco! Kobiety — mówi — o, kobiety! — powiada — o, kobiety! i dopiero podniósł

rękę do góry (i tu pan Wincenty po mistrzowsku naśladował ruchy Karola). Bardzo to było czułe i serdeczne, ażem się do cna spłakał...

Gospodarz skończył, a my—jeszcze pod wpływem scen pogrzebowych — powoli zasiadaliśmy dokoła stołu. Karol był nieco zażenowany pochwałami, jakie mu wygłaszał pan Wincenty, a Władysław Herkner, zwany Dantyszkiem, powieściopisarz, który miał chwilę wielkiego rozgłosu i chwilę wielkiego zapamnienia, jął wtórzyć słowom gospodarza.

— Istotnie Karol wystąpił jako pierwszorzędny mówca i zasługuje na szczególną pochwałę. Nawet Eurypides nigdy nie wygłosił takiej tyrady przeciw kobietom. A te kurczątka stały pokorne i żałosne, jakby mówiły: prawda, prawda! Poruszyłeś sumienia.

— Moi panowie—rzecze na to Karol—wy tu jesteście wszystko literaci, artyści, poeci—i macie własne koncepty o kobietach. Ja buduję mosty i różne żelaziwo obrabiam, więc nie mam czasu na takie pomysły. To też cudzym rozumem żyję. Zbudowałem sobie taki *pons asinorum*. Wszystko, com powiedział—tom sobie wypisał z rozmaitych książek mądrych i głupich — i wszystko to mam w tej książeczce.

Tu wyjął z kieszonki karnecik, w czerwoną skórkę oprawny, gdzie maczkiem wypisane były różne zdania i maksymy, dotyczące kobiet, miłości, małżeństwa. Atrament różnokolorowy. Tu i owdzie rysuneczki w rodzaju karykatur. Były tam również zaznaczone skandaliki miejskie, a nawet i z prowincyi: zdrady, rozwody, separacye, historye pojedynków, samobójstw, obłędów, ruin ludz-

kich; była to, słowem, żywa kronika zdarzeń warszawskich, tych zdarzeń, o których zazwyczaj gazety milczą.

— Taką sobie wymyśliłem zabawę. Jestem spektatorem; świat obserwuję. Co się stanie osobliwego w krainie wojny wieczystej *scilicet* miłości — to zapisuję na tych kartkach *pro memoria*, jak statystyk albo archeolog. Co powie Szekspir, albo Offenbach, albo Balzac — zapisuję; co powie Nawara albo Dantyszek, albo doktór — zapisuję. Co gdzie znajdę bardzo mądrego, albo bardzo głupiego (a wielkie głupstwa są nieraz mędrsze od mądrości) — na mój motyw — wnoszę to do mojej czerwonej książeczki. Są to prawdziwe dokumenta ludzkie. Historya psychiczna zmierzchu stulecia czy też świtu nowej ery — trudno zmiarkować.

Fredzio Warecki, dziennikarz, zawsze i wszędzie węszący możliwość napisania feljetonu — łakomie się rzucił na książeczkę Karola. I my też z kolei zaczęliśmy przeglądać welinowe kartki notesiku, a tymczasem pan Wincenty miał jakąś cichą konferencyę z Okoliczem.

Okolicz, niegdyś bogaty pan, dziś bankrut i chwilowo agent ubezpieczeń, uchodził za wytrawnego mistrza ceremonii w sprawach uczt wszelkiego rodzaju: czy to pikników, czy kolacyi weselnych, czy styp. Nikt tak, jak on, nie wystudyował stylów sztuki kulinarnej; nikt tak głęboko nie rozumiał symfonii smaków, symboliki potraw, harmonii ciał stałych, półstałych i ciekłych, które tworzą całość poematu, zwanego kolacyą: był to prawdziwy artysta w swoim rodzaju. Bo choć byliśmy wszyscy do głębi wzruszeni śmiercią Stefana, to jednakże najbardziej zrozpaczony człowiek, rozważając kartę objadową, zastanawiać się musi nad jej szczegółami — i mimowoli

ocenia walor i znaczenie *filet-sauté* albo *veau à la Marengo,* musi porównywać i wybierać.

Okolicz wraz z panem Wincentym, w wielkiem skupieniu ducha, odczytywał kartę potraw i kartę win, obmyślał program wódek i *hors-d'oeuvre'ów,* szereg potraw, kolej i rozkład win różnej barwy i smaku, tak, aby jedno uzupełniało drugie i wyrażało coraz inny a bardzo rzewny i melancholijny nastrój przyjaciół w żałobie po młodzieńcu, którego wszyscy kochali i opłakiwali.

Dość obszerny salonik naszej restauracyi był teraz pogrążony niemal w uroczystej ciszy. Złotawe światło lampek żarowych rozlewało się po białośnieżnym obrusie i oliwkowych ścianach pokoju, a na nich jaskrawiło się kilka oleodruków w pozłacanych ramach. W rogu pokoju stało pianino, a na pulpicie rękopisowe nuty: ostatni utwór naszego Stefana!

Rozsiedli się dokoła stołu goście pogrzebowi, a było nas dwunastu, ściśle dwunastu. Byliśmy razem i znużeni długą ceremonią i podnieceni smutnym wypadkiem. Siedząc dokoła stołu, milczeliśmy, zapatrzeni w chwilę tylko co minioną. Janek Podobłoczny *recte* Kowalski, ale nazwany tak przez nas od swojej wsi Podobłocza, wziął do ręki książeczkę Karola i zaczął ją przerzucać.

Na pierwszej karcie był tytuł tego pamiętnika, a właściwie cały szereg tytułów.

Ars amandi. Nowy Gulistan. Kamasutra kraju Przywiślańskiego. Dokumenty ludzkie ku wyjaśnieniu historyi nienaturalnej i niemoralnej końca XIX i początku XX w. Złota księga niedorzeczności. Metafizyka miłości czyli krytyka nieczystego rozumu.

Na dalszych stronicach notatnika — tu i owdzie —

czytaliśmy zdania i aforyzmy zarówno zaczerpnięte z różnych autorów, jako też od naszych przyjaciół zapożyczone; dalej wspomnienia, anegdoty, dłuższe „opowiadania, wzięte z prawdziwego zdarzenia“ — albo znów fantastyczne pomysły — wreszcie poprostu warszawskie ploteczki.

Prosiliśmy Janka, aby nam głośno odczytał którą z tych cennych uwag.

Janek czytał na chybi trafi .

..*Horacy* mówi: Nam fuit ante Helenam mulier teterrima causa belli. *)

— Bardzo przepraszam—zawołał pr. Tarło. U Horacego jest nie *mulier*, ale co innego.

— To dla eufonii—zaznaczył Karol.

Salomon mówi: Potężna miłość jest, jak śmierć.

Leopardi mówi: Wypróbowańszych niema serc, jak, które miłosna krwawi rana.

Święty Augustyn mówi: Timeo hominem unius amoris.

— Profesorze, już widzę, że chcesz protestować. Zmiany są tu umyślne.

Sofokles: Nierozumne jest sprzeczać się z dwiema niewiastami.

— Z jedną jeszcze nierozumniej, zauważył na to Warecki.

Nietzsche: Idziesz do kobiet? Nie zapominaj bata.

---

*) Przed Heleną kobieta była nieraz najokropniejszą przyczyną wojny.

Rzymianie mówili: Mulier vult decipi, ergo decipiatur.

Dantyszek mówi: Kochaj żonę bliniego swego.

Henryk Nawara powiada: Pocałunek bez miłości nie jest pocałunkiem; uścisk bez miłości nie jest uściskiem; człowiek zrodzony z uścisku bez miłości — nie jest człowiekiem. Mało na świecie jest ludzi, bo miłości mało.

. *Jan Podobłoczny:* Milczenie jest duszą rzeczy. Wobec kobiety, jak wobec natury i natchnienia, stój w milczeniu: czekaj, aż sama przemówi głosem miłości.

. . *Warecki* naucza: W miłości jest sprzeczność celów mężczyzny i kobiety; utajone źródło wojny miłosnej. Gdy miłość zaspokojona, celem mężczyzny jest odejść; celem kobiety — odchodzącego zatrzymać.

Styczeń powiada: Miłość ma swoją matematykę; każdy otrzymuje tyle właśnie uczucia, ile go daje: ani mniej, ani więcej. Co nazywają miłością niewzajemną — jest prawdopodobnie złudzeniem tych, którzy dają (i poddają) zbyt mało uczucia, przeto i otrzymują zbyt mało.

Francuz powiada: On ne rallume jamais une cigare éteinte.

Francuz powiada: Okazya prędko łysieje; trzeba ją żywo chwytać za czuprynę.

Pewien mędrzec wiedeński naucza: W gruncie rzeczy my nienawidzimy te kobiety, które kochamy; my kochamy te kobiety, które nam są obojętne.

Campoamor: Miłość jest jak wojna. Potrzeba do niej pieniędzy, pieniędzy i pieniędzy.

Campoamor: W miłości ręce widzą lepiej, niźli oczy.

Chamfort powiada: Jeżeli chcesz zerwać z kobietą, napisz do niej w taki sposób: „Pani, wiem o wszystkiem. Przebaczam ci i żegnam“. Jeżeli ta kobieta spotka się z tobą po latach, napewno tak ci powie: „Dziękuję ci. Postąpiłeś wówczas prawdziwie po rycersku“.

Chamfort: Miłość—to podsycenie dwóch fantazyi i podrażnienie dwóch naskórków.

Królowa Margot: En verité nous sommes faits tous pour toutes et toutes pour tous.

Kamasutra: Właściwie każdy mężczyzna mógłby kochać każdą kobietę, ale przy spotkaniu bardzo często spoglądają oni na siebie i rozchodzą się dla rozmaitych przyczyn.

Doktór Lędźwiłł: Młodzieńcze, pamiętaj, że kobieta jest z natury istotą mrugającą. Ty, jako niewinny Parcival idziesz w świat, a ona mruga, ona cię nęci ku sobie. Pamiętaj, że kobieta jest najmilszą wtedy, kiedy cię nęci ku sobie. Dla tego czuwaj nad sobą i zawsze ją utrzymaj w stanie nęcenia. Pamiętaj, że skoro już zostałeś znęcony—zginąłeś, albowiem syrena mścić się zacznie nad tobą za wszystkie trudy, jakie poniosła, aby cię znęcić. *(Uwaga Karola:* Doktór jest gaduła).

Anatole France: Cóż winna kobieta, że mężczyzna w miłości szuka absolutu?

Henryk Nawara: Nigdy nie osiągniesz w uczuciu tego *infinitum,* jakie ci się roi w snach. Obaczysz, że twa miłość, albo jest ułudą, albo że zawsze jest zbyt mała dla twej nienasyconości. Aby kochać na ziemi, trzeba się zrezygnować do uczucia na miarę ziemską.

Gerard de Nerval: Et la treizième arrive et c'est

toujours la même, et c'est toujours la seule, oh, c'est le seul moment.

Szekspir (na wypadek sceny zazdrości zapamiętać słowa Otella): Czyś odmówiła pacierz, Desdemono?

Szekspir: Któż kiedy kochał, jeśli nie pokochał z pierwszego wejrzenia?

Dumas powiada: Nie ufaj kobiecie, gdy jest dla ciebie zbyt czuła.

Przekleństwo włoskie: Obyś się zakochał bez wzajemności.

Ktoś powiada: Któż w piękne oko spojrzawszy, nie chciałby spojrzeć jeszcze w piękniejsze?

Guy de Maupassant o małżeństwie: Échange des mauvaises humeurs pendant le jour, des mauvaises odeurs pendant la nuit.

Szekspir (komplement damie, aby wogóle uniknąć komplementów): Nierozumnem jest pozłacać złoto, do wina soku dolewać winnego i pachnidłami oblewać fijołki.

Stendhal w swoim „Dyplomie szczęśliwości" powiada: § 18. Oby mi Bóg dać raczył oko wszechwidzące: abym, jeżeli tego zapragnę — na odległość widział natychmiast, co czynią, myślą i mówią moi przyjaciele i nieprzyjaciele, z wyjątkiem tego, co czyni, myśli i mówi moja kochanka.

Francuz powiada: Miłość kobiety trwa krótko, ale i najkrótsza miłość jest dość długą, aby znudzić mężczyznę.

Słowacki: Małżeństwo jest jako czereśnie; wprzódy je wróble oskubią złodzieje, a potem człowiek zjada nadgryzione.

Kato: Gdyby nie było kobiet, to człowiek rozmawiałby z bogami.

Jules Laforgue: La femme? J'en sors la mort dans l'âme.

. . . .

Przerzucaliśmy kartki notatnika, coraz bardziej zaciekawieni tym osobliwym zbiorkiem, a Karol, mile podłechtany, mówił:

— Teraz pojmujecie, panowie, jaką wymyśliłem ciesielkę, aby przy uroczystych okazyach przemawiać w tej doniosłej sprawie. Ten system pozwala mi zawsze...

Ale naraz wszedł pan Wincenty z piwnicznym i wniesiono błyszczące, różnobarwne flaszki, szklanki, talerze, puszki... Okolicz w takich ważnych momentach nie dopuszczał nikogo do czynu, ani do słowa. Sam rozlewał w kieliszki różnobarwne alkohole — i po chwili przed każdym z nas stał odpowiedni trunek.

— Musimy — rzekł — godnie uczcić śmierć tego młodzieńca. Była w jego samobójstwie pewna cecha romantycznego heroizmu. Godzien też jest najlepszej starki i najlepszego whisky. Stefanie, zwracam się do ciebie. Gdzieśkolwiek jest, jeśliś jest — bądź pozdrowiony!

Nastrój był uroczysty i pełny powagi. Wszyscy duszkiem wypili kielichy, a ten i ów zaczął wzdychać.

— Szkoda chłopca! — rzekł Dantyszek, na co Karol:

— Wielkie nieszczęście!

Janek zaś, który świeżo był cały pogrążony w okultyzmie — i jeszcze się z tego nie otrząsnął, zawołał:

— Nieszczęście! Mówcie, co chcecie, drwijcie ze

mnie, a ja wam powiadam, że ta śmierć miała źródło zewnętrzne, może dalekie i utajone, lecz fatalne!

— Przeczuwam już jakieś dyabelstwo — rzecze doktór. Coś z *mantywizmu* lub *mentywizmu*.

— Panowie, było nas trzynastu! Jeden musiał zginąć. To przesąd — głupstwo — powiecie. Być może, ale trzynastka zawsze przynosi nieszczęście.

— Jakto... trzynastu?

— Obrachujmy się. Naprzód profesor Tarło.

— *Primum ab Jove.*

— Dalej nasz trubadur, Henryk Nawara, oraz sławny powieściopisarz...

— Powiedz raczej, zapomniany.

— Dla mnie sławny i niezapomniany, Władysław Herkner Dantyszek; czwarty — doktór, piąty — mecenas Ugronowicz, szósty — nasz wielki twórca czerwonej książeczki, siódmy — nasz znakomity malarz Styczeń, ósmy — Nirwid milczący, dziewiąty — gadatliwy Okolicz, dziesiąty — Fredzio, jedenasty — Molten, dwunasty — ja... Stefan był między nami trzynasty...

— Zapomniałeś jednak kilku, którzy też należeli do nas różnymi czasy — Michał, Lucyan, Stach...

— Tak, Michał zginął w pojedynku...

— Przez kobietę — mruknął Molten.

Trzeba zaznaczyć, że Molten, dość zamożny przemysłowiec, świeżo został przez swą połowicę tajemnie porzucony i srodze był na płeć białą zagniewany.

— Stach gdzieś w domu obłąkanych...

— Przez kobietę — zasyczał Molten.

— Lucyan wyjechał do Australii...

— Przez kobietę — zawył Molten.

— Uciekł od *ewig weibliches,* bo mu porządnie dokuczyło.

— Ale to do rzeczy nie należy...

— Należy — zawołał Janek, który te słowa wziął do siebie. — Wpływ gwiazd ma swoje znaczenie. Stefan żył w nieustannem wahaniu między płaszczyzną Atma i Linga-Szarira. Oto cała tajemnica. Widziałem raz jego rękę: na linii Wenery, nawprost palca wskazującego, miał głęboki rowek — znak niechybny tragedyi miłosnej. Michał i Stach — to też byli ludzie w naszem kole trzynaści... Kiedy Stefan się zjawił, razem z nim było nas trzynastu...

Mimo zapału, z jakim Janek Podobłoczny bronił swojej sprawy, sceptycznie usposobieni słuchacze nie bardzo byli przekonani.

— Jak długo zbieramy się przy tym stole? — zapytał Nawara.

— Ja — odezwał się Tarło — bywam tu już od dwudziestu pięciu.

— To też profesor, jak Sokrates, powoli ściągnął tu nas wszystkich. Od lat *n,* mniej więcej od dziesięciu— jedenastu zbieramy się tu na uczty i zdobywamy sobie coraz nowe *dominia* gadania. Ale, jeżeli mamy szukać win na zewnątrz, to powiedziałbym, że może źródłem nieszczęścia było właśnie to, że prawie nikt z nas nie dotrzymał naszej milczącej umowy. Kto z nas wytrwał w stanie bezżennym? Kto nie zdradził przysięgi?

— Prócz profesora i Nirwida, wszyscy tu żyją w małżeństwie już to dzikiem, już to oswojonem.

— *Pardon!* — zawołał Fredzio — tu idzie wyłącz-

nie o tych oswojonych, gdyż małżeństwo legalne — to największa niemoralność.

— Bravo! rzekł Molten, pozwólcie i mnie o tem słówko powiedzieć. Ja się na tem znam dobrze. Niedawno żona odemnie uciekła. Nie pojedynkowałem się jak Stach, nie zwaryowałem jak Lucyan, nie palnąłem sobie w łeb jak Stefan. Od tego czasu żyję wśród kokotek—i zapewniam was, młodzi ludzie, że jest to jedyny rodzaj kobiet uczciwych i które nigdy nie kłamią. Powinniśmy zatem dążyć do rozwoju uczciwości czyli kokoteryi, natomiast unikać małżeństwa, które jest zasadniczem kłamstwem. Uważam za najpilniejszą potrzebę społeczną wytworzenie klasy inteligentnych i wykształconych kokot—i gdybym miał odpowiedni fundusz, ofiarowałbym go narodowi na założenie wyższej akademii tej sztuki.

— *Vivat Academia!* zawołał Fredzio. Zastrzegam sobie katedrę w tej pięknej instytucyi.

— Protestuję w imieniu prawa—odezwał się mecenas Ugronowicz. Chamfort, którego tu cytował nam Karol, powiada wyraźnie: *Il n'y a pas de bonheur hors de la loi**). Jeżeli zdarzają się fatalne omyłki w granicach prawa, to jest ich tysiąc razy więcej po za jego granicami. Prawo natury częściej się schodzi z prawem społecznem, niż się z niem ściera.

— Są to formuły dalekie od życia, zresztą bardzo użyteczne i konieczne, aby skrępować bestyę człowieczą, która by zanadto sobie brykała.

---

*) Niema szczęścia poza prawem.

— Ja tu nie poruszam strony prawnej. Osobiście jestem zwolennikiem ascezy!

— Ha, ha! zaśmiało się kilka głosów.

— Idzie mi o niedotrzymanie umowy. Ty, Janie Podobłoczny, ożeniłeś się nie dalej jak pół roku temu z osobą, z którą cię zaręczono, kiedyś miał trzy lata... Nie znasz kobiet, nie wiesz czem one są, znałeś tylko jednę... Twój przykład był fatalny... Doktór...

— Bardzo proszę—rzekł oskarżony. Poznałem was zapóźno—po katastrofie trzykrotnej. Jestem boleśnie i ciężko żonaty: mam trzecią żonę. Ale ja traktuję małżeństwo ze stanowiska profilaktyki. Kobieta jest zarazkiem podobnie jak ospa, cholera, suchoty.Małżeństwo—to inokulacya tego zarazka. Marzenie o kobiecie to męcząca fatalna choroba. Aby uniknąć myślenia o kobiecie, człowiek wybiera sobie jednę, która niby to ma mu zastępować *universum*. Dotąd jednakże nie wynaleziono dobrej metody szczepienia—i dla tego rzadko kiedy operacya ta się udaje. Mnie się nie udało—i proszę to uważać za okoliczność łagodzącą.

Karol zarumienił się tak, że był czerwony jak jewoną książeczką? Ożenił się niedawno, potajemnie—jak zbrodniarz... Nikogo nawet nie zawiadomił.

Karol zarumienił się tak, że był czerwony jak jego książeczka.

— I cóż wy chcecie? co miałem robić? Stało się to jakoś tak... Sam nie wiem—jak i kiedy... Niby we śnie.—Opowiem wam tę historyę, to mnie nie potępicie!

— Zatem opowiadaj—mówi Dantyszek.

— Panowie—przerwał im naraz Styczeń—wszyst-

ko to są rzeczy bardzo godne uwagi, ale nie zapominajmy, żeśmy się tu zebrali dla uczczenia pamięci Stefana. Trzeba mu piękną sprawić uroczystość.

— To też—odezwał się Okolicz—proponuję nową kolejkę. Niechaj jego cień błąka się szczęśliwie pośród pól Elizejskich i niechaj go tam jaka wyczekująca Elektra przyjmie tkliwiej, niż Wanda.

— Czy pamiętacie ostatnią symfonię, którą nasz mały skomponował? rzekł Styczeń—i, wstawszy od stołu, ruszył do fortepianu.—O, patrzcie—jeszcze tu leżą jego nuty!

I gdy Okolicz rozlewał na nowo kieliszki, a piwniczy wnosił rozliczne majonezy i inne potrawy—Styczeń przygotowywał się do odegrania ostatniej pieśni zmarłego muzyka.

— To jego ostatnie opus. Nazywa się *Amor i Faun.*

Styczeń był z zawodu malarzem, ale pozatem uprawiał śpiew, muzykę, rzeźbę, akwafortę, sztukę aktorską, pisywał nawet wiersze, nowele, dzieła dramatyczne, a pozatem jeszcze pracował nad aeronautyką. Leonardo w miniaturze. We wszystkiem niezły, w niczem pierwszorzędny. Jednakże fortepian może stanowił jego właściwe powołanie. Grał z uczuciem i nawet Stefan cenił go jako wykonawcę.

Uderzył parę akordów i cała nasza uwaga w tę stronę się skierowała.

Symfonia wyrażała różne tony sentymentu miłosnego. Naprzód szły dźwięki o melodyi naiwnej, przebudzenie serca i zmysłów, pełnych oczekiwania; jeszcze echo pieśni dziecinnych dzwoniło w tych nowych zadziwionych uczuciach. Później ton się zmienił; zaczęła

śpiewać jakby żartobliwa pieśń Mozartowska, pełna uśmiechów i figlarności; słychać było w pogwarze klawiszów niby pocałunki, pieszczoty, uściski; świszczały lekkie grociki Amora. Potem zaszumiały gaje oliwne, szemrał strumień leśny, zadzwoniły dzwonki owieczek; to w tony muzyki zaklęta idylla Teokryta. I znów się zmienił motyw; w dźwięki spokojnej sielanki przenikała lekka tęsknota, osnuta na naiwnej melodyi Laury i Filona. Melancholia rosła: mgły osyaniczne spływały na ziemię; Malwina oczekiwała powrotu Fingala. I coraz głębsza żałość ogarniała aurę symfonii; echa klątw i obłędu Gustawa, preludyów Szopenowskich, marszów żałobnych—tryskały z pod palców Stycznia, jak ulewny I na nowo zabrzmiała wrzawa tryumfującego Fauna, deszcz pereł—i wszystko się rozlewało w bezdennym smutku jednej melodyi, niby na motyw: Smutno niańki mi śpiewały! To znów, zda się, Bethoven zagrzmiał jakąś fugą szaloną, rzekłbyś, struny pękną w nieogarnionej żądzy strasznego płomienia. Wichry huczały, bór zielony szumiał, wodospad iskrzył się barwami tęczy. Faun szalał—i upojony winem ognistem rzucał się w nieskończony pląs bakchiczny z korowodem białoróżowych nimf... Furya najwyższa wydobywała się z białych zębów fortepianu; i naraz słyszeć się dał niby płacz dziecięcy: to płakał Amor, albowiem szalone Menady, poraniły jego ciałko dziecinne i uśmiechy jego zatruły swym obłędem... ale wnet tryumf się załamał: szał upojenia, weselny tan zakończył się straszliwym rykiem rozpaczy i rozczarowania. Gwałtowną burzą, pełną błyskawic i grzmotów—zamykał się ten fragment. A teraz słychać było cichy poszmer fali morza. Rzekłbyś cała ziemia oczekuje na jakąś

zjawę świętą, a która nigdy się nie stanie—uroczystą, niemateryalną ciszę jął wyszeptywać fortepian. I naraz rozwinęła się szeroka *unendliche Melodie,* jakby Trystan i Isolda, w nieziemskiem upojeniu, gorąco, długo, bez granic—wyznawali sobie nawzajem uczucie, które nigdy przenigdy zaspokojonem nie będzie, a które nigdy przenigdy nie umrze, bo z obojgiem w nieśmiertelność popłynie...

Ten motyw ostateczny szczególnie udał się artyście: nieśmiertelność rozdzwoniła się w tonach wprost dotykalna, zjawiona...

Styczeń skończył. Chwilowo panowało głębokie milczenie. Wszyscy byli pod dwoistem wrażeniem—i samej muzyki—i wspomnień o zmarłym. Każdy czuł, że wszelkie słowo powiedziane teraz—będzie słowem trywialnem. Ten i ów zamyślił się i westchnął.

Okolicz pierwszy oprzytomniał. Służba właśnie wniosła nowe potrawy, on zaś rozlewał w kieliszki Chambertin'a, którego szkarłat promienił się z lekka od świateł gazowych na powale.

— Panowie, rzekł—nazwijmy rzecz po imieniu. Zamordowany został wielki artysta. Podnoszę ten kielich na pohybel najpiękniejszej kobiecie w Warszawie! Niech ginie Wanda, niech przepada!

— *Pereat!* zawołano, a potem chórem już zaczęto ją wyklinać.

— Niech się jej twarz pokrzywi, jak od kwasu siarczanego!

— Niech ją zamkną w żelaznej masce, jak Rosaurę Montalboni!

— Niechaj się zakocha bez wzajemności — (Ktoś szepnął: To niemożliwe).

— Niech jej postać się zgarbi, jak u łysogórskich czarownic!

— Niech jej włosy nagle osiwieją! Niech się zestarzeje w jednem oka mgnieniu.

— Niech jej automobil pęknie!

— Niech jej dusza wiekuiście płacze! (Ktoś dodał: Jeżeli ma duszę, o czem wątpię!)

— Kobieta nie ma duszy—zapewniał stanowczo doktór Lędźwiłł.

— Niech jej wszyscy zaprzysięgną wieczną nienawiść bez przebaczenia i łaski!—mówił znów Okolicz, co z kilku stron przyjęto aplauzem.

Ale wnet dały się słyszeć głosy protestu.

— Nie zgadzam się na to—rzekł Fredzio.

— I ja—dodał Tarło.

— I ja—przyłączyli głos adwokat Ugronowicz i Nawara.

Okolicz zresztą nie nastawał. Powiedział te groźne słowa dla figury retorycznej, ale cofnął je z równą łatwością. Okazało się, że choć wszyscy kochali Stefana, to jednak nikt nie miał w równej mierze nienawiści dla Wandy.

— O, mężczyzno — rzekł Karol — imię twoje Słabość. *La haine est sainte — la haine élève mon âme!* Ja wołam: *Pereat!*

— Proszę o głos—rzekł Fredzio. Wyłączam się z tej *anathemy*. Kochałem Stefana, ale zgódźcie się, że w materyi kobiet był to symplak, pierwotniak... Zginął z winy własnej! Jabym tam nie dał się opętać Wandzie.

Ona by wiła się u nóg moich. (Oho! szepnął ktoś).— Słowo honoru! (odparł Fredzio na ten szept). Całowała by mnie po rękach. Trzeba w tych rzeczach być mocarzem, potentatem, a nie mazgajem, jak Stefan. Cóż on robił? Śpiewał, grał, wzdychał, płakał... Każde zdobywanie twierdzy wymaga odpowiedniej taktyki... On nie miał żadnej określonej linii... Przyglądałem się temu. Szedł na oślep. Walka—bo każda miłość jest przedewszystkiem walką—niemożliwa. Cóż tedy chcecie?

— Nie zupełnie stoję na stanowisku Wareckiego— odezwał się mecenas. Zdaje mi się, że ten proces należy rozważać inaczej. Słyszę tu oskarżenia z jednej strony Wandy, z drugiej—Stefana. Nie słyszę obrony. Pozwalam sobie stanąć w obronie podsądnej. Pytam, czy obie strony stały na gruncie prawnym—czy też uprawiały jakieś igrzysko *hors de la loi!* O ile znam Wandę—jest to osoba, która po przez tysiączne czyny półprawne—dąży do stanowiska prawnego. Sądzę, że należy ona do tych kobiet, które dopiero pod osłoną związku prawnego naruszają prawo. Tymczasowo jednak zapytam, czy zmarły nasz przyjaciel mógł być dla niej objektem stanowiska prawnego? Oczywista, nie. Jest to kobieta z rodziny zbankrutowanej, a która przybyła do Warszawy, aby szukać złotej klatki. Stefan nie mógł jej dać nic podobnego. Że o niej marzył, nic dziwnego: marzyło o niej wielu. Niczem się od nich wobec niej nie odróżniał. Że ulegał złudzeniom—nie jej wina. Że popełnił samobójstwo—czyż podobna czynić za to odpowiedzialnym kogokolwiek? Samobójstwo—to czyn bezwłasnowolny, półnieświadomy.

— W samobójstwie jednak streszcza się pewien stan psychiczny najwyższego podniesienia ducha. Jest to pożądanie mocy nieskończonej—przy jednoczesnem zrozumieniu, że to pożądanie zaspokojonem nie będzie. Jest to w jednym akcie połączona najpotężniejsza żądza i najwyższa rezygnacya. Jest to najgorętsze pragnienie życia, które tylko jedna śmierć nasycić może.

Tak mówił Styczeń, który zdaje się nie mało nad tym przedmiotem rozmyślał, ale Dantyszek mu przerwał:

— Więcej niemocy, niż siły jest w samobójstwie. Nie pochwalam tego czynu, zwłaszcza, że samobójca tylu ludziom sprawia nim cierpienie. Ale nie mogę usprawiedliwiać tej, która wywołała śmierć Stefana. Ona nie była nieświadoma tych męczarni, jakie mu zadawała. Ona się tem bawiła w sposób wcale przewrotny. I ten ostatni jej występ... Przecież to zupełnie typ kryminalny. Toż to było dopiero dziś—parę godzin temu... Czyście już zapomnieli? Szliśmy pełni smutku, rzeczywistego smutku, który tu, przy kieliszku, jak widzę, zwolna się rozpływa. Trzeba przyznać, że tłum niemały towarzyszył pogrzebowi. Zapewne lekki zapaszek sensacyi sprowadził tę gromadę obcych, zwłaszcza kobiet, które jakby z pod ziemi wyrosły. Były to po większej części kobiety, których Stefan nie znał, ani też one jego... Ot, chorobliwe współczucie dla cierpienia fizycznego raczej, niż moralnego: rewolwer—kula—śmierć—miłość niewzajemna! O, mój Boże, co za bogaty materyał dla tkliwych dusz! Ale niech tam—wolę ten czuły sentymentalizm—niż to okrucieństwo Wandy.— Idziemy w ciszy— skupieniu, zadumie, gdy naraz słychać świst, gwizd, buczenie... Nie można tego nazwać

turkotem kół, bo koła są gumowe i raczej skwierczą niż turkoczą. Naprzeciw nam płynie bezecna maszyna metalowa, żółto-czerwona; zatrzymuje się nagle, sycząc, dymiąc, pryskając, cuchnąc benzyną... W automobilu—*haute nouveauté*—najnowsza nowość, jeden z pierwszych samochodów w Warszawie—kto siedzi? Wanda, w jasnej sukni, w jasnym płaszczu, ze swoją mamą i tym truposzem, swoim narzeczonym. Przechyla się syrena do mnie—błyska swoją tycyanowską fryzurą, uśmiecha się różowemi usty, szkiełka przystawia do oczu i najbezczelniej pyta:—Przepraszam pana, czyj to pogrzeb?—Pani nie wie? Toż to Stefana chowamy!—Czy być może? *Pauvre garçon!* Zdaje mi się nawet, żem go znała. Czy mama słyszy? Stefan umarł. Jedźmy dalej, panie Witoldzie.—I pojechała dalej w odorach benzyny i poświstach pneumatyk.—Uważ pan, co za bezczelność! Znałam go nawet—zdaje mi się.

— Ale nikt tego nie słyszał— —

— Jak to, nikt nie słyszał? Setki ludzi słyszały. Przecież umyślnie tak się urządziła, aby ją ludzie widzieli i słyszeli. To było inscenizowane w sposób bezczelny! Chciała poprostu dowieść temu zdechlakowi swoim spokojem i obojętnością, że nie ma z umarłym nic wspólnego; że tu ani troszki nie ma jej winy! To zbrodniczość na zimno. Innaby się ukryła, wyjechałaby z Warszawy, zamknęłaby się w klasztorze: ona—nie, ona właśnie chciała się całemu światu pokazać i powiedzieć: śmierć tego chłopca nic mnie nie dotycze i nic nie obchodzi! Płaczcie wy sobie, a ja będę się najspokojniej bawiła... Wyznaję, żem z osłupienia chciał rzucić na nią kamieniem—a nawet z chęcią strzeliłbym

do niej w tym momencie, gdybym miał rewolwer przy sobie...

— Wszystko to prawda—rzecze Warecki—ale postawię ci przedewszystkiem ten zarzut, żeś tę całą historyę opowiedział nie jak sławny zwycięzca konkursów powieściowych, ale jak reporter lub sprawozdawca sądowy... Była to swego rodzaju tragedya... Moim zdaniem winien jest zawsze ten, który pada zwyciężony... Do obowiązków człowieka należy być zwycięzcą — —

— To sofisterya. Często zwycięża plugastwo, nie szlachetność. Zwycięstwo nie może być nigdy ani dowodem prawdy, ani wyższości. Ja tu płaczę nad śmiercią przyjaciela, a wcale mi nie idzie o retorykę.—Co zaś do mecenasa, to zapewne czyn Wandy nie podpada pod kodeks karny, ale są prawa wyższe—prawa moralne...

Tu odezwał się Tarło. Był to najstarszy w naszej kompanii człowiek, lat miał z górą pięćdziesiąt. Był on naszym nauczycielem łaciny i greckiego i od tego klasycyzmu sam nabrał w fizyonomii coś niby z Juliusza Cezara. Był on niegdyś w przyjaźni z ojcem Henryka Nawary i po śmierci Polikarpa objął nad synem opiekę; miał też dla Henryka wyjątkowy sentyment, choć i pozostałych kolegów też bardzo kochał—i pomimo, żeśmy już dawno szkolną ławę pożegnali, byliśmy z nim zawsze w stosunku przyjaznym. Tarło był to człowiek w swoim rodzaju wyjątkowy i który na nas wszystkich wywarł ogromny wpływ, a że przebył on w życiu niemało dramatów, że miał doświadczenie i powagę—do dziś jeszcze niejeden z nas do niego udawał się po radę.—Jego poglądy były nieraz bardzo surowe: nie pozwalał on nam nigdy kroczyć po najłatwiejszej linii oporu, ale wła-

śnie po najtrudniejszej; była to jego zasada równowagi. Wszyscy oczekiwali, co powie teraz Tarło: zapewne postawi jakieś żądanie, przerastające naturę i moc człowieka. Wszyscy tu przeszli już przez ogień i wodę, a choć pozornie żaden z nas nieześrodkował swych myśli w kobiecie—to jednak wszyscy na dnie dusz ukrywali jakąś zadawnioną rankę. Ogólnie też byliśmy raczej rozgoryczeni przeciw płci białej, a dzień dzisiejszy—dzień pogrzebu Stefana, zachowanie się Wandy w czasie uroczystości żałobnej—wszystko to sprawiło, że te zabliźnione ranki na nowo odżyły...

— Panowie—mówił Tarło—daleko już jestem od tych lat, kiedy mnie poruszała istota kobieca. Dawno już wyszedłem poza nią i mogę na nią się patrzyć jako na żywioł nieświadomy, którego szatańswo czy anielstwo jest dla mnie zjawiskiem niezależnem od woli człowieczej. Staram się tę rzecz rozważać jaknajmniej osobiście. Nazwijcie ten pogląd nieludzkim: przystaję. Tylko na pozaludzkiem stanowisku zrozumiemy rzeczy ludzkie. Żałuję Stefana jako przyjaciela, oceniam go jako fenomen. Samobójstwo jego jest dla nas rzeczą bolesną, ale w danym wypadku doszedł on do tego kresu, na którym było to jedyną możliwą manifestacyą jego duszy. Można śmiało powiedzieć, że Stefan po całym szeregu błędów, jakie popełnił, tym ostatnim gestem wykonał swój rzeczywisty obowiązek. Podobnież zachowanie się Wandy było od początku do końca zgodne z jej przeznaczeniem. Syrena lub Cyrce, wcielona samica, nie odpowiedzialna za swoje zbrodnie—szła i dalej kroczyć będzie po trupach i nieszczęściach, których grozy wcale nie odczuwa. Raz na zawsze usuńmy ze sprawy miło-

snej kwestye dobroci, rozumu, moralności — i tak dalej. Jest to dziedzina wcale odrębna. Nie możemy się nigdy oderwać od stanowiska społecznego, stanowiska użyteczności. Instynkt miłosny—o ile jest bezwzględny—niema na oku żadnej użyteczności. Jest bezcelowy, jak sama natura i życie, jak czas i przestrzeń. Będąc motywem może głównym życia człowieka—nie ma on w sobie nic człowieczego. Dla tego ci, w których się przedewszystkiem wciela niejako ten instynkt—czy to mężczyźni, czy kobiety—nie mogą być traktowani jako ludzie, ale jako manifestacye pewnej oderwanej siły bytowej—tak właśnie kierowanej, jak tego chce zaplot tych przejawów, karma czy fatum — nazwijcie to jak chcecie. Nawet to ostatnie zachowanie się Wandy—w czasie pogrzebu—nie może być potępione. Jak Stefan do ostatka odegrał swoją rolę—i, widząc niepodobieństwo osiągnięcia swych celów—postanowił nic już nie żądać od życia—tak ona do ostatka odegrała swą rolę samicy żywiołej, okrutnej, nieświadomej i nieodpowiedzialnej. Oto dla czego nie mogę przystać na potępienie Wandy.

— Słowem—zarzucił mu Nawara—profesor uważa, że to, co jest konieczne jest rozumne.

— Nie powiadam rozumne, bo to, co jest konieczne nie może być ani rozumne ani nierozumne, nie może być oceniane z punktu winy lub bezwiny. Jest, bo jest— i nic więcej o tem powiedzieć nie można.

— Zdaje mi się owszem, że można. Ktoś tu zawinił, ale kto? Odpowiadam—my wszyscy.

— Znowu, Dantyszku, wygłaszasz mowę oskarżycielską, jako samoprokurator — —

— Nazwijcie to jak chcecie. Stefan był między nami najmłodszy: zjawił się tu niedawno i wpadł pomiędzy nas, jako zupełnie świeży, naiwny młodzianek, daleko naiwniejszy, niż bywa dzisiejsza przedwcześnie dojrzała młodzież. My tu wszyscy znamy kobiety aż zanadto. Uważałbym, że najwłaściwiej byłoby z naszej strony o kobietach nie mówić zupełnie; tymczasem wyznajemy ze skruchą, że właśnie my o niczem innem nigdy nie gadamy i nie gadaliśmy. Nic—jeno kobieta a kobieta, zwłaszcza, gdy tylko profesor był nieobecny. A więc skoro już ciągle o tym przedmiocie była mowa— powiedzcie, kto z nas go uprzedzał o niebezpieczeństwie—kto mu otwierał oczy—kto mu powiedział prawdę—kto z nim szczerze pogadał? My, stare cyniki, ochranialiśmy jego duszę przed tym zdrowym likworem cynizmu. Traktowaliśmy go jak kwiat, hodowaliśmy jego naiwność, rozkoszowaliśmy się jego pierwotnością. A to czemu? dla naszej własnej samolubnej przyjemności. Artysta—młody, świeży—szukał ideału! Takie to było dla nas zabawne—ciekawe—szczególne!... Co za wspomnienia. Podziwialiśmy w nim nasze własne lata młodociane. Jego zachwyty—to niby echo naszych własnych złudzeń.

— A jakże! Laura—Beatrycze! — ironicznie szepnął Styczeń.

— Tak, to jest osobliwe kłamstwo — zauważył Karol — kłamstwo, które się od wieków powtarza. Laura—Beatrycze, te natchnienia poetów albo wcale nie istniały, albo ci panowie zaledwie je znali. Dante widział Beatryczę podobno raz jeden, kiedy miała lat dziewięć, Laura zaś była żyzną matką dwanaściorga dzieci, a Petrarca był o tysiąc kilometrów od niej.

— Wogóle wierzę — mówił Styczeń — że kobieta w życiu artysty może niemało napsuć, ale nigdy nic stworzyć, jeżeli się ją na seryo traktuje. Stella Fornarina jest w nas, a nie w sobie — i jeżeli niema we mnie takiej Meluzyny, to mi jej żadna kobieta nie objawi

— Szukajcie a znajdziecie — powiedział Janek.

— Jednym zjawienie samo przychodzi, inni muszą go szukać — rzekł mecenas. — Zdaje mi się, że najwyższą rozkoszą jest poszukiwanie.

— Rzecz prosta, rzeczywistość nigdy nie odpowiada marzeniu, ale ja wolę rzeczywistość, niż marzenie.

— Marzenie oddala nas od rzeczywistości. Ale poszukiwanie jest dążeniem do zjednoczenia marzenia z rzeczywistością.

— Chociaż kodeks wprowadził jednożeństwo, to jednak człowiek jest z natury poligamiczny.

— Poligamia, również jak wiele innych rzeczy, jest w nas, nie po za nami. Człowiek w gruncie rzeczy pożąda rozmaitości, ale poczucie rozmaitości jest zależne od naszej własnej skali ducha. W jednej kobiecie można znaleźć nieraz trzynaście kobiet, gdy przeciwnie z trzynastu kobiet nie złożysz jednej. Powiedziałbym przeciwnie, w poligamii jest utajone jednożeństwo. Poszukujemy w istocie nieskończoności. Kto umie patrzeć, ten ją dostrzeże w wybranej kobiecie.

— A jakże! w naszych gąskach i indyczkach co za nieskończoność...

— Zawsze i wszędzie mówi się tu o jednostkach wyjątkowych. Czasem jedno słowo w odpowiedniej chwili i w odpowiedni sposób powiedziane, więcej zawiera treści, niż jaka mowa bez końca. Podobnie i w uczuciu.

W jednej błyskawicy nieraz bywa więcej potęgi, niż w długich sentymentalnych świegotaniach.

— A jednak — zawołał Fredzio — powtórzę słowa mecenasa, że w samem poszukiwaniu jest rozkosz. I nie zazdroszczę nikomu ani sławy, ani mądrości, ani nauki, ani bogactwa, ani talentu, ani stanowiska: zazdroszczę tylko tym, którzy są wybrani, jako geniusze miłości. Najwyższym typem ludzkim jest dla mnie Don Juan — i za Don Juana kocham Hiszpanię. Gdybym nie był sobą, to chciałbym być Don Juanem, tym myśliwcem serc kobiecych, który stawał wobec coraz to innego zjawiska, coraz to innej duszy, innej postaci; który coraz to inne usta całował, coraz to w inne spoglądał oczy, nigdy nie wyczerpany, wiecznie pożądający, wiecznie ciekawy— i nigdy nie zaspokojony, bo coraz wyższe go nęciły krainy uczucia. Słowem, był to człowiek, który miał najwięcej wrażeń.

— Cała mądrość Don Juana — mówił Styczeń — polegała na tem, że on właściwie nigdy nie kochał, tylko pożądał kochania. My przeciwnie, poddajemy się miłości, my nazbyt seryo bierzemy tę sprawę. Don Juan był panem miłości. My jesteśmy jej niewolnicy. Napewno Dante ani Petrarca nie brali zbyt na seryo swoich Dulcynej. To samo powiem nawet o Mickiewiczu. Maryla była to przeciętna panna na wydaniu, z której Mickiewicz zrobił sobie trampolinę dla swojej twórczości — a i on był zawsze poszukiwaczem rozmaitości. Dlatego Maryla mu nie zaszkodziła. Ale jeżeli kto, choćby nie całkiem szczerze, na seryo będzie traktował swoją Beatrix, to może na tem wyjść nieszczególnie. Weźmy naprzykład Delfinę. Wszystkie *inferioritates* Krasińskiego

pochodzą od niej, gdyż Zygmunt chciał ją koniecznie traktować na seryo. Była to zapewne bardzo miła osoba, ale dużo napsuła...

— Wogóle wszystkie te Anioły Śmierci, to fantazya poetów... Spotykają się, gruchają, rozchodzą... Po paru latach ona jest panią Janową albo Marcinową. Spotykasz się z nią: tłusta baba, o buraczkowatej twarzy... O ideały!

— O ideały! — przerwał Styczeń. — Wszystko to, co mówimy dzisiaj, należało dawno powiedzieć Jankowi. Niema fatalniejszej rzeczy, jak wiara w ideały, kiedy się przekonasz, czem są te ideały.

— Złudzenie! — rzekł Tarło. — Każdy człowiek musi sam przejść przez wiarę w ideały, aby ją sam utracił. Cudza mądrość, cudze doświadczenie nic tu nie nada. Każdy zaczyna tu od początku tą samą powieść, wiekuiście starą i wiekuiście nową. Powieść Janka była krótka, lecz treściwa.

— O ideałach — odezwał się Karol — mam tu ciekawą notatkę — i, otworzywszy swą czerwoną książeczkę, zaczął czytać: „Nie należy dowierzać metafizycznym pojęciom panien. Rozmawiałem raz z panną Celiną B., która wciąż miała na ustach: idealizm — idealizm! i gromy rzucała na dzisiejszą młodzież. Wtedy ją zapytałem: co to jest idealizm? — Idealizm, odrzekła, jest to *oczywiście*, jeżeli młody człowiek żeni się bez posagu.

— Każde określenie idealizmu zawiera w sobie wewnętrzną sprzeczność: jego podstawa mieści się w bardzo pospolitym egoizmie. Mojem zdaniem — mówił Ugronowicz — nie kobieta jest pierwiastkiem idealizmu ludz-

kości, ale mężczyzna. Kobiea jest *par excellence* realistką i rozumie wszystko jako fenomen celu i przyczyny.

— I dlatego pewnie kobietom podoba się ten fałszywy idealizm....

— I ten fałszywy cynizm... co ględzi puste frazesy o rzeczach anielskich... co szepcze tanie słówka o szataństtwie...

— Kobieta lubi nie prawdziwy idealizm, ale jego surogat. I to jest zrozumiałe; rzeczywisty, przenikający do głębi idealizm burzy fundamentalne zasady życia codziennego, do których kobieta jest przywiązaną. Falsyfikat jej wystarcza.

— Zauważyłem w kobietach — rzekł Nawara — pewną cechę osobliwą. Kobiety są bardzo dobre i tkliwe: doskonale odczuwają cudze cierpienia zewnętrzne; są nieraz, jak prawdziwe siostry miłosierdzia. I jeżeli masz suchoty, albo jeżeli połamałeś ręce i nogi, jeżeli dostałeś tyfusu albo poprostu cierpisz na żołądek — to kobieta jest dla ciebie dobra, tkliwa, serdeczna. Lubuje się sama nad sobą, że uprawia litość i dobrotliwość. Podobnie co do rozmaitych nieszczęść życiowych: umarł ci ktoś blizki, straciłeś majątek, wysykali twoją sztukę w teatrze, wyrzucili cię z posady — kobieta ubolewa nad tobą i w sposób siostrzany odczuwa twoje nieszczęście. Ona to rozumie, bo to jest wszystko określone, jasne, realne zjawisko. Ale wyobraź sobie cierpienie bezwzględne, bezprzyczynowe, nieobjaśnione; cierpienie, które jest, bo jest; bo cierpienie jest formą bytu, jest jego esencyą i rdzeniem; wyobraź sobie cierpienie bez żadnej podstawy, idące z nieskończoności: żadna kobieta go w tobie nie odczuje i nie zrozumie. Ono leży na innej płaszczy-

źnie, gdzie dusza jej albo wcale, albo rzadko i na mgnienie tylko dosięga.

— Marya Antonina — rzekł mecenas — pokochała swego męża dopiero na jeden czy dwa dni przed śmiercią. Trzeba było aż tak trywialnego i dotykalnego fenomenu, jak oczekiwanie gilotyny, aby ta szlachetna dama rozrzewniła się nad poczciwym ślusarzem w koronie.

— Należy jednak przyznać — zauważył Dantyszek — że Wanda jest pod tym względem wyższą od Maryi Antoniny. Ona pozostała wciąż niewzruszoną wobec brutalnego faktu samobójstwa Stefana. To już *animalitas* skondensowana— albo może duch nadkobiecy— wyższy nad wszelkie cierpienia.

— Ale powiedzcież mi — zapytał Molten — co to za jegomość, który...

— Który — przerwał Karol — uratował trzysta kobiet.

— Jakto?

— Wanda jest to jedna z tych, o których mówi Słowacki, że „trzystu mieć chciała pod wachlarza trzonkiem". To też kobiety ją nienawidziły, gdyż bez mała trzysta małżeństw popsuła.

— Teraz się pocieszą... Wanda zamąż wychodzi...

— Cóż to za jegomość? Tak niedawno się tu zjawił, a zwyciężył odrazu trzystu miejscowych...

— Podobno jakiś połamany hrabia... ma duży majątek w Besarabii i w czernihowskiej gubernii, a, o ile wiem, matka Wandy jest dziś w bardzo zawikłanych interesach. Pojmujecie, że złapać takiego zięcia — to złote jabłko! Cała ta afera — małżeństwo Wandy — to robota

pani matki dobrodziejki. Że ten zdechlaczek był odrazu wzięty — nic dziwnego. Niejeden był pod urokiem tej pięknej pani. Słowacki mówi: „Małżeństwo jest jako czereśnie; wprzódy je wróble oskubią złodzieje, a potem człowiek zjada nadgryzione!“

— A więc — zawołał Fredzio — Wanda jest to osoba z przyszłością, oczywiście dla nas. Zawsze mówiłem, że doskonała na cudzą żonę.

— No, jeszcze nie wiadomo, czy dla ciebie... Ale wracając do tego pana — to zakochał się bez ratunku i będzie spożywał nadgryzione czereśnie. Co się tyczy Wandy, to, ze stanowiska rozsądku, nie można się dziwić, że podsądna wolała tego grafa od chudego muzykanta. Gdyby był tak doświadczony, jak Fredzio, toby czekał na „godzinę cudu,“ zastrzeżoną mu w niebiosach, a zresztą mógł oczekiwać rozwodu, który tu po niedługim czasie jest do przewidzenia. Każde *noble* małżeństwo dzisiejsze powinno przejść przez rozwód i, powiedziałbym, celem dzisiejszego małżeństwa jest rozwód. Na pewno Stefan by go doczekał, a rozwódka — to zawsze najbardziej interesujący rodzaj kobiety.... Ale Stefan był zbyt jednolity, zbyt nieprzejednany.... Tacy muszą albo zwyciężyć albo zginąć...

— Jednakże Stefan był tak pewny siebie... Twierdził stanowczo, że miał jej słowo.

— Łudził się niewątpliwie. Wanda jest zbyt przezorna i zbyt doświadczona, żeby dawać słowo. Stefan za klątwy uroczyste brał poprostu tę kombinacyę spojrzeń, uśmiechów, uściśnień i półartykułowanych dźwięków, ktorymi szafuje kobieta, kiedy nie chce nic wyraźnego po-

wiedzieć. Zwłaszcza tu, wobec tylu pretendentów do tej korony...

— A przecież on jeden się zastrzelił...

— Bo czuł najmocniej... Dusza czysta, świeża, naiwna. Jedno i to samo światło w różnych kryształach różnie się załamuje. Stefan był jakby szkło palące, raczej przepalone. Miara uczuć bywa niejednaka: ktoś kocha zlekka, trochę, ale uczucie swe szacuje bardzo wysoko; inny zaś ma w sobie tyle ognia, że na trzy przeciętne miłości by starczyło, a tymczasem sądzi, że jeszcze kocha zamało. To samo w tym wypadku. Ludzie różnie reagują na taką klęskę. Jeden zapadnie w melancholię, drugi zaraz szuka pocieszenia gdzieindziej, trzeci powie: trudno, stało się! czwarty zacznie pić — i tak dalej.

— Zapewne — rzecze Karol — najwyższą sztuką jest umiejętność zachowania się wobec wroga.

— Jakto wroga?

— Wobec kobiety. Czyście nie czuli dziś—tam—na cmentarzu, że my i one to dwa światy — dwa bieguny bytu—poprostu dwie rasy ludzkiego zwierzęcia i duszy ludzkiej... Są zapewne momenty, kiedy mężczyzna i kobieta widzą, że ich dzieli nieskończoność...

— Momenty jasnowidzenia.

— To jakaś nauka ascetyczna. Protestuję! i żądam, aby tę nieskończoność zredukować do zera.

— Może właściwie nieskończoność a nicość — to dwie nazwy jednej rzeczy...

— Karol zmienił Wandę z istoty żywej w jakiś symbol...

— Przeciwieństwo — odezwał się Dantyszek — nie oznacza jeszcze bezwzględnej nieprzyjaźni. Miłość

a nienawiść stoją tak blizko siebie, że ciągle prawie łączą się ze sobą i wzajem się w siebie przelewają. Ile trzeba było miłości, a razem nienawiści, aby popełnić czyn, jakim zakończył życie Stefan. Jeżeli mówimy o kobiecie: wróg — jak to powiada Karol, który sam jednemu z wrogów zdradziecko się poddał...

— No... zapewne.... Ale to nie zmienia zasady... To się stało jakoś tak... Zresztą moja żona to wyjątek...

— Proszę się nie tłumaczyć... Jesteś potępiony na wieki... Chcę mówić o czem innem. Nawiązuję rzecz do słów profesora. Wanda — czy jest esencyą kobiecości? Mojem zdaniem, jest — jako potęga niszcząca i fatalna. Jeżelim ją osądził surowo i jeżeli jej zachowanie się na pogrzebie uważam za potworne — to nie znaczy wcale, abym ją czynił odpowiedzialną za cokolwiek. Kto może sądzić falę, że porywa topielców; pożar, że miasto zamienia w popiół; wicher, że łamie drzewa. Ona była falą morza, wichrem, pożarem; była fluidem tragedyi, sama będąc nietragiczną. To też na cmentarzu, kiedy Karol, zostawiwszy swoją wyjątkową żonę w domu, gromił w jej nieobecności pierwiastek niewieści, cała ta ciżba kobiet, zgromadzona koło grobu, zachowywała się tak właśnie, jakby jej ta flagellacya sprawiała rozkosz niewysłowioną...

— A czyście uważali od czasu do czasu ich śmiech histeryczny?...

— I tę grobową ciszę wnet potem?...

— Była to jednak mieszanina różnych uczuć: bo i wprost duma uświadomienia tej osobliwej roli niszczycielskiej, jaką przypisał Karol pierwiastkowi kobiecemu; i niby chęć zbiorowej pokuty za grzechy jednej — i dzi-

wne zadowolenie, że Wanda jest, rzekłbyś, pod pręgierzem...

— Ona ma dużo nieprzyjaciółek.

— Bo też, prawdę mówiąc, gdzie się znajdzie taka królewskość postawy!

— I takie włosy nieprawdopodobnie złote (a nie malowane!), włosy, w których się słońce odbija...

— I te oczy bezdenne, świdrujące, stałowe, migotliwe, jak błędne ogniki....

— I ta cała postać syrenia, nęcąca jak otchłań, wonna jak tuberoza! Coś bezczelnego!

— Prawdziwa świątynia miłości.

— Słowem, składacie hołdy naszemu wrogowi.

— Dostojny to wróg — i walczyć z nim warto — zauważył Fredzio, marząc już, zdaje się, o swoich przyszłych tryumfach.

— Niestety, walka zakończyła się nieszczęśliwie. Na jej miejscu — rzekł Molten — jabym ją sam przedtem zabił. Są kobiety — najpiękniejsze właśnie — które w pewnej chwili zabić — jest świętym obowiązkiem.

— Widzę, drogi panie, że lubisz groźne słowa. Takie przykazanie nie istnieje. Zabójstwo nie może być obowiązkiem, a do tego jeszcze świętym.

— Wyroków śmierci nie wydaję — rzekł Dantyszek. — Człowiek powinien żyć zawsze tak, jakby miał być nieśmiertelnym. Nawet, kiedy samobójstwo popełniasz, czynisz to nie przez miłość śmierci, ale przez nadumiłowanie życia. Stefan miał przed sobą dwie drogi: albo przezwyciężyć siebie i przewyższyć cierpienie własne albo poddać się swemu opętaniu. Wybrał linię drugą i konsekwentnie doszedł do mety. Idzie poprostu o to, żeby się nie cofnąć przed niczem. Nie gnębią nas wielkie

nieszczęścia, ale właśnie małe. Wielkie nieszczęście, to skarb najwyższy naszej istoty. Nikt nie może pojąć świętości i wielmożności ducha człowieka, który pozostał sam jeden na ziemi i tylko z lufą pistoletową ostatnie myśli wymienia. Nie zawsze oczywiście to przemienienie taką formę przybiera, ale jeżeli już tak być musi, to należy każdy czyn wykonać ściśle i wyraziście.

— Klasycznie...

— Właśnie. Nawet absurd ma swoją mądrość. Oczywiście samobójstwo to absurd, ale jeżeli rozwój logiczny zjawisk doprowadza nas do absurdu, to muszę go przyjąć jako najwyższą mądrość. Czy nie mam racyi, profesorze?

— Bezwzględnie.

— Ściśle biorąc — rzekł Nawara — powtarzasz teoryę profesora. Niepodoba mi się to lodowate stanowisko. Jesteśmy ludźmi — i prócz równowagi logicznej tysiące uczuć nas porusza. Ja nie mogę traktować Stefana, jako *objectum* oderwane; bo przedewszystkiem boleję nad utratą przyjaciela.

— Niesprawiedliwy jesteś dla mnie. Ja to pierwszy tu wspomniałem o nim, jako o człowieku, ale musiałem przyznać słuszność panu Tarle. Równowaga przedewszystkiem. Właśnie z tego lodowatego stanowiska powinniśmy rozważać wszystko, nie wyłączając siebie samych. Gdyby Stefan rozważał siebie jako oderwane *objectum* — toby przezwyciężył siebie i żyłby do dzisiaj.

— Ależ jego esencyą była ta jego miłość. Bez niej on nie istniał i nie był sobą.

— Wolałbym, żeby umarł był z innej przyczyny.

— Ba, miłość, miłość! Iluż Samsonów powaliły jej nożyce, ile Herkulesów przepaliła koszula Dejaniry!

— A tu zjawił się nie żaden Samson, ani Herkules, ale mięczak nowożytny, cale pozbawiony ducha ironii. Na spalenie tego dziecka dość było jednej nitki z koszuli Dejaniry.

— Ale bądź jak bądź — dodał Fredzio — zachowanie się Wandy ma dla mnie pewną stronę osobliwą, na którą spojrzeć też należy *a contrario*. Czy nie przypuszczacie, że w jej postępku był jednak ukryty gorzki wyrzut sumienia, który chciała zagłuszyć bezczelnością wobec siebie i wobec świata?

— Istotnie, męczennica! — zawołał Karol. — Możeby ją kanonizować.

— Wszystko to — odezwał się Okolicz — są faramuszki. Wolałbym, żeby nasza stypa była mniej ponura. Mam w sobie mało poczucia tragizmu nawet wobec największych smutków. Płaczę tylko w teatrze na melodramatach, gdzie syn z matką czy też ojciec z córką nagle, po 50 latach, spotykają się na dnie morza albo w czasie trzęsienia ziemi. Po za tem świat traktuję jako farsę. Co się tyczy śmierci Stefana, to uważam, że jako efekt, mający oddziałać na kobietę, samobójstwo jest figlem chybionym. Czasem się zdarza, że kobiety wprost kłamią o jakichś samobójstwach, które rzekomo gdzieś ktoś kiedyś dla nich popełnił. Widocznie sprawia im przyjemność to przeświadczenie, że jednak ktoś dla nich pozbawił się życia. Właśnie miałem takie zdarzenie, które wam opowiem, ale przedtem musimy zakończyć wieczerzę i zabrać się do czarnej kawy.

Pan Wincenty to wychodził z naszego pokoju dla nadzoru swego zakładu, to znów przychodził do nas, by posłuchać rozmowy, która go nadzwyczaj interesowała.

Do współki z Okoliczem zaczął rozlewać w kieliszki stare i roztkliwiające wino burgundzkie, które zamykało wety. Właśnie zaś wniesiono maszynkę do czarnej kawy i różnobarwne likiery. Cała nasza kompania, z powagą należytą, sączyła szlachetne wino.

Chwilowo panowało milczenie. Jedni spoglądali na drugich, jakby oczekując jakichś nowych szczegółów i wyjaśnień sprawy. Ta ogólna dotychczasowa rozmowa, ten nieosobisty chór jednorodny urwał się naraz. Niektórzy, jak doktór, mecenas - Ugronowicz, profesor Tarło, przemawiali mało. Najczęściej słychać było głos Karola, Nawary, Dantyszka, Fredzia, Stycznia. Nirwid milczał bezwzględnie, a i Janek Kowalski mówił niewiele. Okolicz zajmował się głównie samą ucztą, jako marszałek dworu.

Okolicz, jak wspomnieliśmy, był to niegdyś zamożny obywatel, który w prędkim czasie zmarnował wielką fortunę i od kilku lat błądził po świecie w nowej sytuacyi zupełnie gołego człowieka. Przez jakiś czas był niby zbity z tropu, ale niedługo odzyskał humor. Miał nawet zamiar żenić się bogato, ale coś w nim budziło wstręt do tego rodzaju trafiki. Przypadkowo zastał agentem ubezpieczeń, które to stanowisko traktował z absolutną ironią, ale dzięki jowialnej swadzie, robił niezłe interesa w dziedzinie tego, jak nazywał, „szantażu“ — i żył jako tako w oczekiwaniu rozmaitych spadków po ciotkach i wujach. Nie był bez wykształcenia, wiele podróżował i miał, jak to powiada Szekspir, oczy pełne skarbów, ale kieszenie puste.

Okolicz sam podpalił spirytus pod wielką maszynką do kawy i, patrząc w błękitny ogień, płonący pod złotoczerwonym kociołkiem — zaczął swe opowiadanie:

— W owych czasach, „gdym ostatniego cekina postradał“, miałem śród różnych pomysłów rozpaczliwych i ten, aby się ożenić! Zamiary swoje skierowałem ku jednej bogatej i bezdzietnej wdowie, którą znałem z dawnych czasów, kiedy jeszcze żył jej małżonek. Pani Florentyna była nader miłą osobą, na oko zdawała się bardzo dobrą, gotówki miała dosyć, przynajmniej na parę lat dla mnie. Nie mogę powiedzieć, abym ją kochał szalenie, ale miałem dla niej dużo sympatyi, pewnego rodzaju *faible,* bo mię niekiedy wybornie bawiła. Ja też jej się podobałem, gdyż miałem dosyć dużą wprawę w tej sztuce i układy dochodziły już do tego stopnia, kiedy człowiek zatraca poczucie własnej śmieszności i przystaje na wszystkie najgłupsze ceremonie, przez które przejść należy, aby uzyskać prawo korzystania z grosza wdowiego. Moja wdowa zachowała pewien rodzaj śmiechu, który jej pozostał z lat dziewiczych i zapewne był to śmiech w swoim czasie nader czarujący, ale wtedy, kiedym się do niej zbliżył, wyglądał już nieco na plagiat. Moja ubóstwiana naśladowała sama siebie. Wyznaję, że mnie to nieco drażniło, choć trudno swojej narzeczonej powiedzieć, aby się nie śmiała, bo się śmieje nieładnie i za wiele. Wolałem też, kiedy bywała smutna i żałosna, bo to

wypadało u niej daleko zabawniej. Nieraz smętna zaduma była na jej czole. Myślałem, że po nieboszczyku mężu; więc żeby jej sprawić przyjemność, wychwalałem jego cnoty i szlachetność. Był to, nawiasem mówiąc, znacznie starszy od niej człowiek, tępogłowy niedołęga i tabetyk, który dwa z górą ostatnie lata swego życia przeleżał w łóżku nieruchomy. Florentyna blagowała dla niego wielką miłość; nazywała go, nie wiem dlaczego: mój torreador! Czyżby miał nieustannie wojować z rogami? Rzecz ta pozostała na zawsze tajemnicą mojej półnarzeczonej. Byłem w czasie jego śmierci, jako *testis* — i nawet pewną, dość osobliwą, służbę musiałem wykonać przy tej okazyi. Okazało się mianowicie, że służące pani Florentyny, uważając, nie bez racyi, że leżącemu w łóżku przez tyli czas tabetykowi garderoba wogóle jest niepotrzebna — zwolna wyniosły wszystko, co było w szafie i rozdały swoim licznym przyjaciołom. Tajemnica ta odkryta została dopiero po śmierci męża, gdyśmy chcieli go przybrać w odpowiednie szaty. Musiałem tedy iść na miasto i kupić nieboszczykowi spodnie, oczywiście tanie, a wyrażające nieutulony żal owdowiałej damy. Zapłaciłem siedem i pół rubla.

Nieboszczyk miał osobliwy, choć nie pozbawiony wdzięku, pomysł — i gdybym był sentymentalny, to miałbym okazyę do bardzo tkliwych wzruszeń. Zapewne przewidując swoją śmierć—zamówił on potajemnie u ogrodnika piękny bukiet, który miał być wręczony Florentynie w dzień jej imienin. Wyobraźcie sobie, że coś w trzy miesiące po śmierci męża—wdowa otrzymuje bukiet z jego biletem wizytowym. Jakiś mistyczny dreszcz ją opanował—i może nigdy nie była tak

pod władzą męża, jak owego dnia... Mój torreador! mówiła. Ale po paru dniach wrażenie minęło. Wdowa powiedziała mi swoją wielką tajemnicę. Kochał się w niej kiedyś—pewien szlachcic z Wołynia czy z Podola—bardzo piękny, bardzo mądry, młody, bogaty. Niestety—miał żonę, ona miała męża. Chciał porzucić dom—i pragnął, aby ona też zerwała z mężem.—Ale—ona—przy swoich zasadach... i ten torreador!... Ona nie mogła. I oto pewnego dnia znaleziono go w lesie z przestrzeloną głową. Popełnił samobójstwo, bo nie mógł się z nią połączyć. Od tego dnia ona—Florentyna—nie ma snu, nie ma spokoju. Ciągle widzi tę piękną szlachetną twarz i to męczeństwo jego miłości. Czy ona nie powinna była ustąpić raczej, niż dopuścić do tego nieszczęścia? Oto wielki *cas de conscience.* Muszę teraz przedstawić rzecz ze stanowiska fachowego. Zmarły Klemens Falk, mieszkaniec powiatu N. N., lat 37, żonaty, żadną chorobą nie skażony—był ubezpieczony w towarzystwie „Bosfor“, gdzie ja mam problematyczny zaszczyt pracowania. Sprawa ta, o której zresztą dowiedziałem się dopiero w czasie moich starań o wdowę—wielce nas zaaferowała. Bosfor ze swojej strony, policya ze swojej—prowadziły śledztwo w sprawie śmierci Falka. W interesie towarzystwa leżało raczej stwierdzić samobójstwo, gdyż w takim razie bylibyśmy wolni od wypłaty polisy; zwłaszcza, że Falk, choć w nieszczególnych interesach, ubezpieczył się na znaczną sumę 25,000 rubli, w kombinacyi *mixte* z dwudziestoletnią wypłatą premiów i udziałem w zyskach. Falk ubezpieczył się na trzy lata przed śmiercią; więc oczywiście dla towarzystwa był to moment mniej szczęśliwy. Falka znaleziono w lesie,

w dość gęstej kępie drzew. Miał na sobie kurtkę wielbłądzią; przy nim leżała wystrzelona dubeltówka i rewolwer. Łatwo można było przypuścić śmierć dobrowolną, ale w istocie rzecz się miała inaczej. Charakter rany był zupełnie odmienny i kazał raczej przypuszczać zabójstwo. Śledztwo wykazało, że zabójcą był leśniczy, który polował na sarny—i poprostu, sądząc z koloru jego kurtki—wziął go za jelenia. Powiadali, że leśniczy był też zazdrosny o swoją żonę, gdyż Falk podobno żonę mu uwiódł. Nic o tem mówić nie będę, gdyż tej strony sprawy nie znam. W sądzie nie poruszono tej kwestyi. Leśniczy został uwolniony jako ofiara pomyłki. Wkrótce po wyjaśnieniu rzeczy Bosfor wypłacił wdowie sumę, a ja, podobnie, jak wszyscy agenci, otrzymałem notę dyplomatyczną towarzystwa z napisem *Confidentiel*—specyalnie dla nas przygotowane, poufne sprawozdanie o śmierci Falka. Wobec tego wszystkie melancholijne zwierzenia mojej przyjaciółki wydały mi się teraz nieporozumieniem. Uważałem też za swój obowiązek pocieszyć ją, że to nie było samobójstwo, że ona nic tej krwi niewinna, że niech uspokoi swe nazbyt wrażliwe sumienie. I cóż powiecie? Choćbyś uważał się za niewiem jakiego znawcę kobiet, pewnego dnia zobaczysz, że jesteś żakiem. Florentyna obraziła się na mnie śmiertelnie; powiedziała mi, że jestem cynik, pozbawiony subtelności, że jestem źle wychowany gbur i że nie rozumiem kobiecego serca. Słowem—miała do mnie pretensye, żem rozwiał jej złudzenia, a trzeba dodać, że właściwie wcale ich nie rozwiałem, gdyż pani moja stanowczo twierdziła, że sędzia śledczy się omylił, że cały świat się omylił — że to było samobójstwo

i właśnie dla niej popełnione, ażeby ona miała rozkosz zgryzoty sumienia, że był człowiek, co ją kochał nad życie—i że dla niej życie poświęcił—i ona—ona była winną tej śmierci.... Dziś mogę śmiało powiedzieć, że było to uparte kłamstwo półświadome. Zerwała ze mną—a, o ile wiem, zerwała jeszcze z Ksawerym, któremu też opowiadała tę historyę, a który odemnie znał tajemnicę. Można powiedzieć, że to półświadome kłamstwo było treścią życia Florentyny—i że bez niego żałosna wdowa była prawdziwą wdową.—Takem stracił posag tej zacnej damy, a razem przekonałem się, jak to kobiecie pochlebia, kiedy dla niej kto popełni samobójstwo. Stanowczo Stefan chybił.

— Przyznam ci się — rzekł Dantyszek — że kłamstwo dość naiwne i dość niewinne.

— Mówiłem ci, że nie lubię dramatu. W mojem życiu znajdziesz tylko farsy.

— Farsa jest rzeczą bardzo dobrą — i bez farsy życie byłoby zbyt jałowe. Ale i tragedya ma znaczenie: może nawet większe. Kłamstwo jest jednym z warunków koniecznych w związku mężczyzny z kobietą. Znam kłamstwa wyższe, doskonalsze, bardziej boskie i bardziej dyabelskie. Znam kłamstwa niewypowiedziane. Nie należy potępiać kobiecego kłamstwa. Jak kokieterya jest geniuszem kobiety, tak kłamstwo jest pochodzenia nadziemskiego. Bez kłamstwa życie byłoby niemożliwe. Miłość jest to żywioł poza kłamstwem i prawdą. Gdybyśmy zredukowali miłość do prawdy i natury — cóż pozostanie? Poeci — objawiciele kłamstwa, utajonego w żądzy bytu — stworzyli kochankom cały arsenał ogni bengalskich, od których ludzie, oddani miłości, widzą świat w całkiem

osobliwych kolorach. Kochankowie zawsze kłamią. Mowa im jest dana właśnie na to, aby samoułudą krasili naturę. Kłamstwo, jak egoizm, należy do sztuk pięknych; każda kobieta kłamie, ale nie każda potrafi kłamać, jak bogini. Kochankowie zawsze sobie kłamią — i błogosławione to kłamstwo, bo z niego dopiero wypływa rzeczywista, utajona prawda bytu, która w naszej codziennej pozornej prawdzie jest niewidzialna...

— A zatem — przerwał Karol — muszę w swojej książeczce dodać, że to nie kobieta, ale mężczyzna *vult decipi*.

— Jeżeli o co idzie, to oboje — zauważył mecenas, jak na dzisiaj generalny obrońca kobiet. — Mówicie, że kobieta kłamie, a ja powiadam, że właśnie mężczyzna w tych sprawach jest istotą *par excellence* kłamiącą.

— Mądrość ludowa powiada: nie wierz mężczyźnie jako psu! Oraz mówi: żadne stworzenie tak nie łże, jak człowiek.

— Bardzo zabawną jest teorya Dantyszka o kłamstwie. Ale są różne rodzaje kłamstwa. Wszędzie odbywa się walka Czarnoboga z Białobogiem. Bywa kłamstwo, co uszczęśliwia i kłamstwo, co cię doprowadza do rozpaczy. Gdybyś w życiu spotkał kobietę, która jest samem wcieleniem kłamstwa, która się wije w niem, jak nieuchwytny Proteusz, tobyś może tak się niem nie zachwycał i nie układałbyś katechizmu kłamstwa.

Tak mówił Henryk Nawara, dość głośny autor dramatyczny, o którym już wspominaliśmy poprzednio: był to ulubieniec profesora Tarły, który też nad nim ciągle czuwał po ojcowsku. Nawara miał w życiu jakiś dramat miłosny, którego treść była nam mało znaną, gdyż Hen-

ryk był wielce skryty — i mało się wywnętrzał. Dziś jednak wzruszenia szczególne, nastrój wieczoru, burgund, madera — i świeżo przyniesiony stary nadzwyczajny węgrzyn, w małe kieliszki rozlany — przebudziły jego wymowę.

— Jest — mówił Henryk — w algebrze miłości dziwna czasem obawa prawdy, która może być równa umiłowaniu kłamstwa, jakie wysławia Dantyszek. W rzeczywistości jednak być może najgorsza prawda jest lepsza od najlepszej niepewności. Kłamstwo kobiece jest giętkie jak wąż i lotne jak wiatr. Jest ono czasem w słowach, a czasem w głosie; czasem w oku, czasem w spojrzeniu; bywa kłamstwo w milczeniu, w uśmiechu, w ruchach i w nieruchomości. Kobieta kłamie, gdy ci mówi: kocham! i kłamie, gdy mówi: nie kocham! Najfatalniejszą rzeczą w miłości jest żądza jasnowidzenia — w każdej chwili i w każdej porze. Stendhal bardzo mądrze pragnął nie wiedzieć, co czyni, myśli i mówi jego kochanka w jego nieobecności. Głęboka, ironiczna, przezorna niewiara! Ja nie miałem tej mądrości: nic mię nie obchodziły myśli i działania czyje bądź, oprócz właśnie jej czynów i myśli... tej, którą kiedyś... No, mniejsza o to: dawno i niedawno temu zarazem... Nie powiem jej imienia... Nazywałem ją zwykle Ireną... Irena—to po grecku znaczy *pokój*, ale właściwie budziła ona wieczny niepokój... Imię jej kłamało. Ale imię to, fantazyjnie przezemnie jej nadane, imię to samo kochałem, nadając mu coraz inne, pieszczotliwe brzmienia, odczytując je

w rozmaitych układach, na sto dwadzieścia sposobów. Kochałem jej imię — co, mówiąc nawiasem, naraziło mnie na pewien mały konflikt z trzecią osobą. Przypomnijcie mi, to wam później opowiem tę historyę, która mogłaby nosić tytuł: „Jej imię“. Teraz inną mam sprawę na myśli. Irena była to młoda wdowa, która od czasu do czasu przyjeżdżała do Warszawy na parę miesięcy. Dom jej był nader miły—i wiele osób można tam było spotkać, zwłaszcza ze świata artystycznego. Nie będę opowiadał, jak i kiedy stało się, że Irena została moją kochanką; dość, że stało się tak i mogę śmiało powiedzieć, że w tem „królestwie grzechu“, jak ona to zwała, byłem nad wyraz szczęśliwy. Była harmonia między nami obojgiem, a nadto, co rzadziej się zdarza, a co może jest najważniejsze—pomiędzy nami a losem. Los—jakgdyby na posłuchu — zdawał się samoistnie wszystkie przeszkody z przed naszych nóg usuwać. I tak naprz. w dziwny sposób nasza miłość była przez długi czas zupełną tajemnicą dla świata—i dopiero po upadku naszego królestwa pogłoska o tem się rozeszła.—Była to kobieta, bądź jak bądź, wyjątkowa—i mogła dać dużo szczęścia, gdyby nie... Proszę cię, Fredziu, nalej mi jeszcze kieliszek tej Hegyalyi... Miała ona cudowny uśmiech, a w oczach niezmierne głębie, niby zielone, niby niebieskie, czasem z odcieniem złotym, jakby słonecznym; głos miała, jak melodya na *Angelus* dzwoniąca, a w ruchach przypominała, rzekłbyś, łasicę... Ręce miała cudne, biało-różowe, o podłużnych, delikatnych palcach, jakie się widuje na seansach spirytystów. Ręka jest wyrazem zewnętrznym duszy... Ubierała się ze smakiem i szlachetnie: lubiła mianowicie jeden kolor

na sukni, ale w różnych odcieniach. Ta rozmaitość odcieni... I przytem grała po mistrzowsku na fortepianie, zwłaszcza Szopena... Przypomina mi ją nieco Wanda, ale jest stanowczo trywialniejsza; ma w sobie trochę lwicy, trochę mieszczki. Irena była też zbiorem przeciwieństw: półgrzesznica, półświęta. Miewała ona dziwne napady mistyki: stąd jej późniejszy zwrot do illuminatów, u których także bywałem. Otóż ja chciałem, aby moja królowa grzechu była dla mnie świętą. Jest to naturalne zjednoczenie przeciwieństw... Owóż... Czekajcie chwilę, niech zbiorę myśli...

— Widzę—rzekł Dantyszek—że jeszcze jesteś pod wrażeniem i nie mówisz spokojnie... Stańże się historykiem swojej własnej sprawy—*sine ira et studio*. Może kieliszek madery?

— Proszę. Mówię zupełnie spokojnie. Miałem pięć miesięcy niewymownego szczęścia. Stało się, że w interesach majątkowych Irena musiała wyjechać do siebie, do Burzanów... *Incipit tragoedia*. Odwiozłem ją na stacyę—wieczór był—jechaliśmy nieco spóźnieni. Ta jazda była może ostatnią godziną szczęśliwą w tym okresie mego życia. Na dworcu był gwar, ścisk, tłum ludzi, wrzask, świst... Właśnie, gdyśmy wchodzili do sali, pogrzebowo zabrzmiał pierwszy dzwonek. Podróżni, jeden przez drugiego, spieszyli na peron, gdy nam wypadało dopiero starać się o bilet itd. Był wielki czas... Nareszcie i my byliśmy gotowi: chwilowo miałem myśl, aby jechać z nią razem, ale zakląłem się dyrektorowi teatru, że będę jutro na próbie mojej sztuki *„Symposion“*, która tak bohatersko upadła po dwóch przedstawieniach. Zatrzymałem się tedy. Spieszyliśmy teraz oczywiście i my, a zwła-

szcza Irena, która w tej jedynej okazyi życiowej — wobec kategorycznego imperatywu dzwonków kolei żelaznej — zupełnie traciła przytomność, zdemoralizowana poprostu pośpiechem własnym i nerwowo podniecona cudzym... Ja również, choć panowałem nad sobą, czułem dziwne przygnębienie: zdawało mi się, że coś odemnie poprostu się oddziera, coś się ze mnie odrywa — i że już nie jestem sobą. Tragarz za nami niósł małą walizkę; szukaliśmy miejsca. — „Może wsiądziesz do przedziału dla dam?“ — „O, za nic w świecie. Nie cierpię tych wędrujących bab!“ — „Jak wolisz. Patrzcie, tragarzu. Nowy wagon otwierają“. — W istocie pociąg był pełny: konduktor nowy wóz otwierał. Tragarz sam to był zauważył i pospieszył w tę stronę. Już tam jakiś pan wchodził przed nami; my za nim. Drugi dzwonek zahuczał rozdzierająco. Irena szła, jak we śnie hypnotycznym; siadła wreszcie na miejscu — i zlekka się uspokoiła. Pocałowałem jej rękę na pożegnanie — życzyłem szczęśliwej podróży i prosiłem, żeby prędko wracała.—Za tydzień — tak obiecała. — Napisz! — Napiszę. — Panie — wołał tragarz — niech pan wychodzi, bo trzeci dzwonek — pociąg rusza! — Musiałem wyjść. Coś szarpało się we mnie; mętne, bezmyślne uczucie niemocy wobec tego żelaznego potwora i wobec tej godziny wyrocznej. Wychodząc, mimowoli spojrzałem na towarzysza podróży Ireny. Był to przystojny brunet, koło trzydziestu lat zapewne mający, twarzy wyrazistej i energicznej... Rzecz osobliwa, sam nie wiem dlaczego, zapamiętałem tę twarz — zapamiętałem ją tak na wieki, że ją dotąd mam w oczach. Pociąg ruszył. Wracałem pół martwy, jakbym coś najdroższego utracił, jakbym przeczuwał w życiu swo-

jem przewrót. Czułem się zepchnięty z jakiejś linii, z mojej linii... Coś się stało czy też coś się stanie, ale co? nie wiedziałem.... Tymczasem upadł deszcz malaryczny, jesienny, pełen jakiejś bezgranicznej nudy i trwogi... W takiem też malarycznem usposobieniu wróciłem do domu. Żyłem teraz przez cały tydzień jakby podwójnem życiem: na próbach teatralnych byłem zajęty sztuką, ale dusza moja krążyła po Burzanach... Śród tej markocizny noce miałem bezsenne i nagle na trzeci — czwarty dzień — nie pamiętam, jak, skąd i dlaczego — wypłynęła mi z ciemnego kąta mego pokoju widziadlana postać nieznajomego, który jechał z Ireną. Piękny był i uśmiechał się do mnie ironicznie. Przerażająco rozwinęła mi się w oczach ta wizya — tak prawdziwa i prawdopodobna!... Piekło zawrzało w mej duszy — jakieś sępie pazury szarpały mi serce — mózg mi pękał — paliło mi się w głowie, ażem chciał mózg sobie wyrwać i precz odrzucić to narzędzie męki. Próżno mówiłem sobie, że to urojenie; że to nie ma sensu; że to podłość z mojej strony mieć takie myśli i zwidzenia. Postać wracała—uparta, przemożna, drwiąca. Przypomniałem sobie podobne zdarzenie własne — i analogia mnie udręczała. O, Stendhal! Boże, co się stać mogło między Warszawą a Lublinem, w samotnym przedziale kolei żelaznej, między północą a siódmą rano! Widzenie — męka! Pierwszy — niespodziewany dla mnie samego potworny zaród uczucia zazdrości! Tak, zazdrości o jakieś nieokreślone i niewidzialne niebezpieczeństwo. Biada temu, kto raz na tę drogę wstąpił. Stacza się wciąż po pochyłości w dół... Nazajutrz miałem od niej list — tkliwy, prosty, wesoły, który mię chwilowo uspokoił, ale wnet się nowe podejrzenia naro-

dziły we mnie — że ta wesołość, tkliwość, prostota — to kłamstwo, maskarada, dowód zbrodni... Tak na torturach przeżyłem dni dziesięć (spóźnia się, dlaczego się spóźnia?) — dziesięć okropnych dni. W trakcie tych dni wystawiono i pogrzebano w teatrze moje *Symposion* — i zapewne byłbym tem wielce przygnębiony, gdyby nie ta niespodziewana wewnętrzna moja tragedya. Prawie codzień pisywałem do niej, choć w moich listach nie było nic o tem, co mię dręczyło najwięcej... Nakoniec powróciła. W radości mego spotkania była jakaś niewidoma trucizna. Odwiozłem ją od domu — powitałem raz jeszcze, a gdy się ogarnęła nieco z podróży, zacząłem ją pytać o to i owo. Rzecz osobliwa! mówiłem o interesach, o urodzajach, o koniach, o wszystkiem: nie mówiłem nic o jej podróży. Czułem jednak, że muszę, muszę to powiedzieć. Dlaczego ona milczy? wydawało mi się to dziwne i nienaturalne. Nakoniec — niby to od niechcenia — zapytałem, jak jej się udała podróż z Warszawy i z powrotem. — Szczęśliwie, bardzo dobrze. (A więc ona to nazywa szczęściem!). Przecie widzisz: wyjechałam i przyjechałam — Ale ja się pytam o jazdę do Lublina. — Owszem, niezgorzej, bardzo spokojnie — dodała, jak mi się zdawało, z jakimś osobliwym naciskiem. Jakże to ja jechałam? Ach, z temi babami! Niecierpię damskich przedziałów, to bardzo nudne! — Zdaje mi się jednak, że to nie był przedział damski — i w tej chwili na nowo błysła mi w oczach cała postać podróżnika.

— Nie pamiętam, być może, nie zwróciłem uwagi! — Tak mówiła, zachowując się przytem dziwnie: oczami strzelała naprawo, na lewo, w dół; rzęsy jej migotały; ani razu nie spojrzała na mnie wprost, gdy ja właśnie z najwyż-

szą uwagą utkwiłem oczy w jej oczach. W pierwszej chwili skamieniałem: tak dalece urzeczywistniło się to, czegom się obawiał, com przewidywał. Kłamała — najbezczelniej kłamała. Było to oczywiste. Co się tam stało — kto się tego może domyślić, albo raczej kto nie odgadnie? — I tu się okazała moja bezsilność, mój brak charakteru; czułem się nagle oplwany i pozbawiony godności ludzkiej — i, rozumiejąc, co właściwie powinienem był bezwarunkowo uczynić — czyniłem wszystko naodwrót. Chciałem jej krzyknąć: kłamiesz, alem nie krzyknął. Chciałem ją w milczeniu pożegnać i odejść na zawsze, alem nie odszedł. Chciałem upaść przed nią na kolana i błagać, żeby mi powiedziała prawdę; chciałem ją albo przekląć albo jej przebaczyć albo wybłagać przebaczenie za podejrzliwość: ale nie uczyniłem nic z tego wszystkiego. Może się istotnie omyliłem? Po co nieistniejące sprawy poruszać? Jednakże to niemożliwe! Wszystka oczywistość przemawia za tem, że Irena kłamała. Mamże żądać potwierdzenia? Powiem prawdę; lękałem się, że usłyszę: tak! Gardziłem sobą — nienawidziłem siebie — i czułem w sobie osobliwe zjawisko: ta pewność, żem się nie omylił, że moje przeczucia były prawdą, że ona teraz mi kłamała; ta pewność dziwnie mię uspokoiła. Był to ów moment, kiedy duch, oczekujący klęski, doznaje szatańskiej radości, że ta klęska wreszcie nadeszła. Rozumiałem, że już nie wrócę nigdy do tych rajskich ogrodów, w których przebywałem czas niedługi. — Pozostałem przy Irenie. Duszę miałem tak spodloną tem dziesięciodniowem oczekiwaniem i tem spotkaniem ostatecznem, żem pozostał. Nie pytałem już Irenę o nic. Ale zmienił się całkowicie mój stosunek do niej — i stosunek

losu do mnie. Cała istota Ireny — cała jej, niedokładnie znana mi, przeszłość ukazała mi się teraz w cale innem, posępnem świetle. Każdy jej ruch—każdy błysk oczu— każde słowo zdawało mi się kłamstwem...

Byłem w ciągłej niezgodzie sam ze sobą. Kłamałem również, kłamałem bez przerwy; czułem się spodlony i skarlały. Chwalże ty, Dantyszku, kłamstwo, ale znajdź mi takie kłamstwo, które byłoby zemną w zgodzie, abym był szczęśliwy z tego kłamstwa. Pozostałem—byłem dalej jej kochankiem—ale trucizna zwątpienia prześladowała mię bez końca—trawiła mnie i przenikała każdy moment mego życia. W duszy zrywałem z nią codzień, ale codzień powracałem i codzień stosunek nasz był jadowitszy. Ona zaś była zbyt przenikliwą i, jak sądzę, zbyt odczuwała moje podejrzenia, by nie reagować. Dobrze rozumiała istotę mojej goryczy i umęczenia. Moja nierównowaga wyrażała się u niej jakimś nastrojem pół histerycznym; powiedziałbym, że ją męczyła ta okropna tajemnica. Z lada powodu teraz powstawały między nami spory i wprost kłótnie, a niepowodzenie mojej sztuki *Symposion,* która zresztą po pięciu latach wznowiona, zdobyła sobie wielkie uznanie—owóż to niepowodzenie było dla niej źródłem ironicznych, a bolesnych dla mojej miłości własnej—uwag. Sprawiało jej przyjemność, gdy mi dokuczała, aż raz, w momencie wielkiej histeryi gniewu— powiedziała mi ze śmiechem, żem odgadł prawdę; że z tym nieznajomym... Słowem potwierdziła mi wszystko.

Rzecz dziwna! Kiedy mi to powiedziała, zawołałem mimowoli: kłamiesz! Ale był to koniec. Bez pożegnania prawie wyjechałem do Szwajcaryi, aby zapomnieć... Ściśle biorąc, zapomniałem, ale marzenia, choćby umarły,

żyją w nas nieśmiertelne. To jest owo przeklęte życie historyczne wewnętrz duszy ludzkiej, królestwo wspomnień, co dręczą, a które należy wytępić!

Tarło z uwagą i niepokojem słuchał opowiadania Henryka.

— Popełniłeś kilka błędów w całej tej sprawie. Błąd zasadniczy jest po prostu ten, żeś nie rozwiązał zadania, jakie stanęło przed tobą. Odpowiedź miałeś gotową: zerwać, ale nie wiedziałeś na jakie pytanie masz odpowiedzieć Losom. Najważniejszą być może w naszem życiu sprawą jest owa zagadka, stosunek *fatum* do człowieka. *Fatum*—siła pozornie zewnętrzna i niezależna od nas, w gruncie rzeczy wnęca się nieustannie w nasze chwile i w naszą istotę. Pytanie, czy my tworzymy nasze własne fatum, można rozwiązać twierdząco. Tak jest, *fatum* rozwija się wobec nas tak właśnie, jak tego żąda nasza utajona wola, nasza utajona natura. Dla tego niema rzeczywistej sprzeczności pomiędzy człowiekiem a jego przeznaczeniem. Jeżeli nawet człowiek cierpi—to jego cierpienie zgadza się z jego utajoną wolą, pożądaniem tego cierpienia, dążeniem ku niemu. Wynikałoby stąd, że *fatum* jest dla nas rzeczą wewnętrzną, bo to niejako my sami. Ale z drugiej strony nierozwiązaną pozostaje zagadka, jakie przeznaczenia stworzyły nas tak właśnie, jak jesteśmy — i dla czego przynosimy ze sobą nakaz wewnętrzny do takich a nie innych przeznaczeń. Chwila, w której Henryk stanął wobec bardzo bolesnej tajemnicy—powinna była go skłonić do jej przeniknięcia. Tymczasem on się cofnął: krążył koło niej i nie miał siły jej odsłonić. Tu więc był fałsz: kłamstwo pozostało kłamstwem. Gdyby się ujawniło, to możeby

cale inaczej poszły wypadki dalsze. Mówisz sam, że ci Przeznaczenie wygładzało ścieżki—i widocznie nazbyt cię wypieściło. Losy tedy postanowiły cię wypróbować—i jak mi się zdaje—wyszedłeś okaleczony na duchu. Próba się nie powiodła. Prawda objawiła ci się zapóźno.

— Przyznaję, żem zawinił. Szkoda mi było stracić osobę, która, choć mię udręczyła, była mi nad wyraz drogą. Lękałem się prawdy—i pogrążyłem się dobrowolnie w bagno kłamstwa. Był to kompromis—wiem—i dla tego obudziła się we mnie samopogarda, może bardziej dręcząca.

— Ja także, mówił Dantyszek, nie jestem bezwzględnym czcicielem kłamstwa. Lubię prawdę, o ile ją gdzie można znaleźć, co bywa rzadko. Jednakże miłość istotna, niekłamana wydaje mi się zupełnie niema. Milczenie—jest duszą wszelkiej głębi. Ludzie rzeczywistą miłością olśnieni—nie mają sobie nic do powiedzenia, bo wszystko już bez słów powiedzieli sobie. Miłość-błyskawica obnażyła ich dusze i stoją wobec siebie jak jasnowidzący. Po co słowo? Cóż ono może dodać do uczucia? Rozumiem tu oczywiście miłość-błyskawicę, miłość-piorun, miłość-krzyk, ocemgnienie, objawienie... Miłość nie trwa dłużej... Wszystko inne—to są rzeczy społeczne, cywilizacya, wychowanie, religia, wreszcie i nasz bezmyślny egoizm, który chce boskość tego jednego momentu rozciągnąć na długie dni i lata... Mówicie dużo o przeznaczeniu. Ja wierzę, że przeznaczenie kocha tych, co kochają błyskawice. Byłem i ja niegdyś kochankiem przeznaczeń.

Dantyszek, *recte* Władysław Herkner—miał istotnie w życiu parę lat niespodziewanego sukcesu, jakim War-

szawa lubi obdarzać chwilami swoich wybrańców. Kilka pierwszych jego powieści dało mu wielki rozgłos: o mało też młody autor nie dostał zawrotu głowy. Szczęśliwie jednak Warszawa również prędko o nim zapomniała— tak, iż mógł zagłębić się w sobie i tworzyć rzeczy bardziej wartościowe. Z tego powodu Dantyszek nazywał siebie: zapomnianym! Zdaje się, że ten fenomen nagłych a krótkotrwałych błyskawic stale ma się powtarzać w życiu Dantyszka, gdyż był on prawie wyłącznie dzieckiem instynktu.

— Opowiem wam historyę z moich lat młodocianych. Jest to historya błyskawicy. Wspomnienie najpromienistsze, rodzaj ekstazy, która mi raz jeden różami ukwieciła żywot—a która już się nigdy nie powtórzyła— i, przypuszczam, nigdy się nie powtórzy. Byłem wtedy bardzo młody, miałem ledwie rok siedemnasty, fantazyę bujną i wielką ciekawość do życia. W owych czasach ojciec nasz posyłał nas zwykle na czas wakacyjny w Lubelskie: opiekunem naszym był pewien student medycyny, p. Leon Czerneda. Jak to było dawno, wystarczy, gdy powiem, że się wówczas jeszcze jeździło do Lublina dyliżansem, nie tą przeklętą koleją żelazną, co tak życie zatruła Henrykowi. Widocznie jednak linia Warszawa— Lublin była zawsze dla miłości wyroczną. Rozkoszne to były czasy: w duszy kwitnęła młodość—czerwiec przechodził w ciemniejącą, dojrzałą zieloność. Truchtem jechaliśmy przez pola, przez lasy, przez wzgórza—bez końca i bez końca. Pocztylion wygrywał na trąbce wesołe melodye, a te postoje w Garwolinie, Kurowie, Wąwolnicy!—nie, takich rozkoszy nie znajdziesz na żadnej stacyi kolei żelaznej! Dość, że jechaliśmy corocznie do dalekiej ciotki naszej w Lubelskie, a było nas trzech: ja oraz

dwaj moi młodsi bracia. P. Leon właściwie czuwał tylko nad nimi, gdyż ja, jako uczeń klasy siódmej, uważałem się już za człowieka ze stanowiskiem i byłem wyemancypowany. Zresztą między p. Leonem a mną była utajona niechęć i rodzaj walki—z powodu, że i ja i on mieliśmy duże aspiracye erotyczne—i zwykle kierowaliśmy je w jedną stronę fraucymeru: ciągłe to współzawodnictwo było źródłem konfliktów. Ze smutkiem wyznać muszę, że p. Leon brał zawsze górę nademną: bądź jak bądź był to student uniwersytetu, gdy ja zaledwie gimnazista. To też ostatecznie znalazłem sobie inne drogi—i odtąd unikaliśmy niemiłych spotkań. Sprawa zresztą polega na czem innem. Na powrotnej drodze do Warszawy—ruszyliśmy naprzód końmi do Lublina. Było to w r. 187... Ostatni to raz byłem wtedy w Lublinie—d. 27 sierpnia. O, błogosławiony dniu i godzino i cząstko godziny! Zatrzymaliśmy się na Krakowskiem-Przedmieściu w hotelu Greckim czy Tureckim, nie pamiętam. Ogarnąwszy się z drogi—wyszedłem z numeru na kurytarz — i drzwi zamknąłem za sobą. P. Leon prowadził jakąś krwawą dysputę z Olesiem i Witoldem, do czego ja się nigdy nie mięszałem... Kurytarz był długi i dość wązki—przecięty na połowie swej linii klatką schodową. W tej chwili było tu zupełnie pusto—i dziwnie jasno. Światło padało z góry—przez podłużne szyby szczytowe — złotoczerwone popołudniowe światło sierpniowego słońca. Rzuciłem okiem na tę długą, jasną smugę światła, które pełzło po zielonym dywanowym chodniku, odcinającym się jaskrawo od pomarańczowego lakieru posadzki. Od czasu do czasu rozlegał się po kurytarzu dzwonek i okrzyk: zara-az! albo idę-e-e!—i tupot nóg służącego,

który spieszył na wezwanie. Potem znów cisza zupełna, przerywana tylko groźnemi słowy p. Leona: Dureń jesteś! Błazen jesteś!... Była to zwykła pedagogiczna rozprawa naszego guwernera z dziećmi. Tymczasem najniespodziewaniej jasny i tak sam przez się kurytarz stał się dla mnie jakby morzem cudownej promienności, tęczą, zorzą, błyskawicą, czem chcecie... Była to zaprawdę błyskawica — było to zjawienie, o jakiem tylko śnili może ludzie kiedyś za dawnych dni, *ante Helenam,* kiedy Eros błądził nieskrępowany i czysty, jak prawdziwe bóstwo! Naraz (słuchajcie!), naraz drzwi niedalekiego pokoju rozwarły się po cichu — i stanęła w nich dziewczyna, poprostu marzenie, prawie dziecko, Anadyomene — najwyżej miała lat szesnaście... Miała na sobie granatową, naiwną sukienkę, fartuszek pensyonarski — wyglądała, jak lalka, albo raczej jak bogini — jak zjawisko niespodziewane, tak, że nawet przestałem wierzyć, jakoby wyszła z poza drzwi, ale tak mi się zdawało, że ona naraz z pod ziemi wyrosła, że się wcieliła z jakichś niemateryalnych snów i marzeń, moich snów i moich marzeń... Nie pamiętam dokładnie jej twarzy, ani koloru włosów, ani oczów; pozostało mi tylko wspomnienie jakiegoś nieokreślonego światła; to jedno wiem, że w jej uśmiechu i spojrzeniu było tyle promieni, tyle jasności, tyle barw tęczy, żem pod ich czarem stał oniemiały; drgnąłem od stóp do głów i poczułem nagle jakgdybym przestał być sobą — i że cała moja dusza jest gdzieindziej: istotnie była ona tam, w tej dziewczynie, a i w sobie inną duszę poczułem: była to pewnie jej dusza, która się stała moją duszą.

W pierwszej chwili stanąłem jak słup: patrzyliśmy się

na siebie tak dziwnie, tacy zdumieni, tacy szczęśliwi, tacy ekstatycznie porwani i uniesieni, że — jak to sobie dobrze przypominam — nasze spojrzenia to były uściski, pocałunki, pieszczoty, rozkosze bezgraniczne; to był huragan klątw, przysiąg, objawień, zapowiedzi — to było wszystko — początek, środek, koniec całej tej czarodziejskiej sielanki. Dziewczyna otworzyła usta — i ja podobnież: niby coś chcieliśmy sobie powiedzieć, ale właściwie nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia, bośmy już wszystko, milcząc, powiedzieli. Słowa nasze rozpłynęły się w uśmiechu, który niewątpliwie był dla nas wyrazem, źródłem i podnietą szczęścia cale nadludzkiego. Podszedłem ku niej i ona zbliżyła się bezwiednie. Wziąłem ją za rękę — drgnęła, jakby dotknięta iskrą elektryczną — i ja drgnąłem nawskroś przerozkosznym dreszczem. Szliśmy tak razem, milcząc, jakby w niepojętym śnie. Było to, jakby nie na tym świecie — było to, jakby w krainie jakiejś nieokreślonej, jasnowidzącej nieświadomości... Czuliśmy od pierwszej błyskawicy, że należymy do siebie i że nie masz na świecie mocy, któraby nas mogła rozłączyć. Jakiś dobry duch niewidzialny, życzliwy dwojgu nieznajomym dzieciom, które nagle poraził piorun miłości, prowadził nas i sprawił, że w jednym pustym pokoju hotelowym — we drzwiach — tkwił, zapomniany oczywiście, klucz. Tak jakby ręka moja była ręką samego przeznaczenia — bez woli własnej niemal otworzyłem drzwi, klucz wyjąłem i zamknąłem pokój od środka. Dziewczyna z szeroko rozwartą, zdziwioną, jakby oczarowaną źrenicą — patrzyła na mnie z tak dziwną ufnością, oddana, śmiała i pokorna zarazem, ja zaś tak byłem olśniony, tak nieświadomy wagi i powagi swoich czynów,

żem ją zaczął całować a całować, a ona wpiła mi się w usta z takim żarem, że jeszcze bardziej ogień mój podsycała — i czułem razem, jak łzami oblewała mi twarz: płakała ze wzruszenia, z upojenia, z jakiegoś nieświadomego przeczucia edenu, do którego wyrywała się jej dusza, niby wołając: Idźmy tam, po za te wrota, gdzie kwitną róże płomienne! I zakwitła ta róża, jak ogień piekielny, gorejący w ogrodach raju. Stało się... Tak, stało się coś, co już się nigdy więcej nie miało powtórzyć... Rozkosz tej jednej chwili—bo to wszystko razem najwyżej trwało dziesięć minut — nie da się z niczem na ziemi porównać, z niczem, czego doznałem później i czego doznam — raczej nie doznam — do końca życia... Może gdzie w niebie takich wrażeń doznają cherubiny, może gdzie na innych planetach bywa takie zjawisko... Na ziemi — pewno — nie!... Kiedy się z omdleń przebudziła dziewczyna, zaczęła płakać cichutko i żałośnie, jakby sobie uświadamiała nagle istotę popełnionego czynu. (Punkt widzenia — społeczny). Ale w samym tym płaczu jej była jakaś radość uroczysta, jakby przeważało w nim szczęście, że przeznaczenie się spełniło. Pocieszałem ją, jak mogłem, ale ona łkała wciąż i szeptała sama do siebie: Jawa—Sumatra—Borneo—Celebes... nie rozumiem, dlaczego? Przypuszczam, że powtarzała sobie lekcyę z geografii lub coś podobnego. Ubrała się co rychlej.... Jeszcze pocałunek: Borneo—Celebes!.. i znikła, jak łania spłoszona. Był sam czas, bo ledwie weszła w kurytarz, dało się słyszeć wołanie: Zosia!—To mama. W parę minut potem i ja opuściłem zaklęty ogród purpurowych róż milczenia i pocałunków. Jeszcze na moment drzwi się otwarły, jeszcze się wychyliła główka dziewczyny — i rę-

kami uścisk mi przesłała. I już na wieki straciłem ją z oczu. Zabrzmiały po całym hotelu dzwonki — zbiegła się służba, kufry spakowano w dorożki — zaturkotało i amen! Tyle ją widziałem...

— Jak to, nie wiesz kto? co? jak? skąd? dokąd?

— Nie wiem... Byłem tak poza samym sobą, poza światem ziemskim; tak się wyzbyłem wszelkiej indywidualności własnej, że mi nie przyszło na myśl zapytać o to... Powiem, że cały ten fakt stał się z nami obojgiem pod wpływem jakiejś hypnozy—wprost niepoczytalnej—tak, że właściwie nawet pytanie to było niepotrzebne... Rozumiem teraz Lohengrina: on pragnął drogą rozumową uzyskać to, co na mnie spadło jak cud... Ostatecznie później chciałem się o nich coś dowiedzieć... W hotelu ich nie znano: siedzieli parę godzin zaledwie i nie podali nazwiska. Byli podobno gdzieś z dalszych powiatów, od Hrubieszowa... Kiedym oprzytomniał, chciałem się dowiedzieć cokolwiek bądź... Ale nic. Chwilami zdawało mi się, że to był sen. Lecz nie—to nie był sen. To był cud. Cuda są, jak błyskawice. Nigdy mi już nie zalśniła taka błyskawica. To była jedyna moja miłość w życiu: nic się nie da z nią porównać. Pełnia bytu streszczona w kilku minutach.

— I nie znasz nawet jej głosu?

— Prawie... Krótki, przygłuszony krzyk—cichy, rozkoszny płacz—i ten szept geograficzny.

— To bajeczne! — zawołał Karol. Muszę sobie zapisać tę historyę. Zresztą co się tycze mowy lub milczenia, to pozwólcie, że wam tu przeczytam rozmowę, którą miałem kiedyś z jedną panią na temat „Złotego Runa“ Przybyszewskiego. Należała ona do wielbi-

cielek tego autora, ale pomimo cały zachwyt dla sztuki, oburzała ją najbardziej zamiana wierności małżeńskiej na „białe pawie".—Pomyśl pan tylko—mówiła dama—z jednej strony miłość, wiara, uczciwość, rodzina—a z drugiej biały paw! To urągowisko!—Być może! A pani za białego pawia nie zdradziłaby męża?—Nie, panie! Broń mnie, Boże!—Wówczas, przypomniawszy sobie rozmowę księcia biskupa Warmińskiego z panią kasztelanową Krakowską, zapytałem w sposób cynicznie bezczelny:

— A za ileby pani go zdradziła?—Trafiłem dobrze; moja dama stała się cała szkarłatem. Uśmiechnąłem się.—Widzi pani do jakich błędów można dojść drogą niby to logicznych rozumowań. Właśnie mądrość autora polega na tem, że wymienia tu wartości zupełnie idealne: białe pawie, zielone ametysty. Zresztą niech pani przyzna, że kobiecie naprawdę zakochanej, kobiecie opętanej miłością można mówić byle co... Słowa nic tu nie znaczą. Wszystko jest w spojrzeniach, w pulsach, w niewidzialnym elektromagnetyzmie ciał i dusz... Gdyby kochanek mówił kochance *styczeń, luty, marzec,* albo *poniedziałek, wtorek, środa*—to zupełnie wystarczy do porozumienia. A wszystko inne jest literaturą!

— Brawo!—zawołał Fredzio. Zawsze byłeś cudownem dzieckiem, mój Karolku. Będę ja musiał od ciebie pożyczyć twój karnet— i zrobię z niego literaturę.

— A jednakże—zauważył Styczeń—mądrość ludowa nie pochwala milczenia.—Pieśń wyraźnie zastrzega:

Powiedz-że mi, powiedz,
Co mi masz powiedzieć,

Bo jak mi nie powiesz,
To nie będę wiedzieć.

I gdybyś jakiej Kachnie, lub Marynie zaczął gadać: *poniedziałek, wtorek, środa*—to wątpię, czyby się od razu domyśliła, o co chodzi.

— I ja też nie uważam tego za *principium* ogólne— rzekł Dantyszek. Bo choć milczenie jest dla mnie duszą wszechrzeczy, to jednak i milczenie ma swoją muzykę, a nawet da się wyrazić w melodyi.—Zdarzenie, które wam opowiedziałem, było cudem. Później zdarzały mi się różne przygody, ale tu już musiałem używać patetycznej retoryki, wylewać łzy gorące, wzruszać, grozić samobójstwem—słowem świadomie wykłamywać to, co wówczas zeszło na mnie, jakby we śnie.

— Powieść bezwarunkowo byłaby piękną—rzekł Henryk—gdyby we wszystkich szczegółach była istotną. Dantyszkowi podobało się nazwać tę przygodę—historyą miłosną. Owóż dla mnie przedewszystkiem jest wątpliwe, czy to była miłość. Nazwij to sobie, jak chcesz, byle nie miłością. Miłość innemi kroczy drogami.

— Dlaczego? Wszystko, co tylko określa się jako element miłości—zawarło mi się w tych dziesięciu minutach. Olśnienie—zdumienie—zachwyt—dreszcz—zjednoczenie serc—marzeń—pragnień.—Cała symfonia.—Wreszcie *finale*.—Ja nietylko uważam ten moment za miłość, ale poprostu za jedyną moją miłość w życiu—niekłamaną i szczerą. Czyż to idzie o czas? o ilość godzin—dni— miesięcy? Zapewniam cię, że gdybyś był zerwał z Ireną wcześniej, uważając pewnego dnia, żeś już wszystko wyczerpał, to byście oboje mieli daleko słodsze wspomnienia.

— Co do mnie, rzekł mecenas—to zaznaczę, że cudowny wypadek Dantyszka ma swoją stronę kryminalną. Bardzo to szczęśliwe dla niego, że mama Zosi nie znała ani jego nazwiska ani adresu, gdyż surowo by za ten cud odpowiedział. Ale zapewne nie przyszło ci to do głowy.

— Owszem. Dużo o tem myślałem—może ze trzy tygodnie albo i dłużej. Chwilami oskarżałem się o zbrodnię i chciałem się oddać w ręce sądu. Miałem nie mało zgryzoty, ale powoli mi się to zacierało w pamięci: nowe wrażenia usunęły to cudne zjawienie na drugi—na dalszy plan. Teraz zaś w perspektywie czasu widzę tylko błękitny cień raju w tem zdarzeniu, z łaski przeznaczeń—wyczarowanem dla mnie na oceanie przypadkowości... Było to najsłodsze wspomnienie mego życia. Co się stało z Zosią—niewiem. Może za mąż wyszła i ma dziś siedmioro dzieci... Może tak samo o mnie wspomina, jak ja o niej—lub, co pewniejsze, zupełnie o mnie zapomniała... Widzę, że doktór ze mnie jest niezadowolony. Dajemy głos doktorowi.

— Nie będę tu—rzecze doktór—rozważał ani moralnej strony cudu p. Władysława, ani też nie będę go rozpatrywał ze stanowiska prawnego, nawet lekarskiego, choć dałoby się i o tem coś powiedzieć. Chcę traktować tę sprawę jako fenomen przeznaczenia, dla którego niemasz ani etyki, ani społeczności, ani prawa, ani medycyny; dla którego istnieje tylko igrzysko sił oderwanych. Przeznaczenie jest to wielkie Monte Carlo bytu: rzuca nami jak gracz w *trente-et-quarante* i jeżeli z tego stanowiska zapatrywać się będziemy na ów cud, to można śmiało powiedzieć, że p. Władysław rozbił bank, a podobno (wierzmy ułudzie Erosa) była to skrzynia piękności niepospolitej. Czy jednak nie była ta Zosia zwykłą histeryczką o obłędzie erotycznym? czy Dantyszek poprostu nie obudził w niej drzemiącego instynktu? Ale zapowiedziałem, że pominę kwestye lekarskie. — Znowu powracam do fatum. Kwestya wielka, czy ta sama ekstaza mogłaby się powtórzyć nawet z tą samą osobą? Z pewnego względu może i dobrze się stało, że Dantyszek już nigdy nie spotkał swej Dryady. Te dawne miłości—to czasami tak znika z pamięci, że zaledwie z trudem sobie przypomnisz... Właśnie ja miałem wręcz od-

mienne zdarzenie. Do Warszawy przyjechałem lat temu siedem z Kielc, gdzie jakiś czas praktykowałem, póki mnie nie ogarnęła tęsknota szerszych horyzontów, winta w dobrej kompanii, rozpraw filozoficznych *sub auspiciis* pana Wincentego—i tym podobne wyższe aspiracye. Tęsknota owa narodziła się we mnie, gdy przybył do Kielc p. Nawara z p. Janem Podobłocznym, którzy mi ukazali nowe widnokręgi gadania. W Kielcach trudno w sobie rozwijać geniusz dyalektyczny. A więc—jak mówię—przybyłem do Warszawy siedem lat temu i na początek zamieszkałem w hotelu Saskim. Była może godzina pierwsza po północy; leżałem już w łóżku, drzemiąc, gdy naraz do drzwi moich zapukano.

— *Entrez!* zawołałem, przebudziwszy się natychmiast. Wchodzi numerowy.—Przepraszam, że p. doktora budzę. Jedna pani ma tu córkę, bardzo chorą. Dostała nagle strasznego bólu głowy i coś tam jeszcze. Może p. doktór byłby łaskaw!

Taki to los lekarza. Musiałem oczywiście wstać—poszedłem. Numer znajdował się o piętro niżej. Pokój tonął w półświetle czerwonego abażuru, czego—mówiąc nawiasem—bardzo nie lubię, bo ten czerwony półblask uważam za szkodliwy. Dama koło lat czterdziestu, czarno ubrana, w okularach, ze śladami piękności na miłej twarzy—powitała mnie u progu. Zdziwiło mię bardzo, że w strapieniu wywołanem chorobą córki, pani ta uśmiechała się do mnie w jakiś szczególny, podkreślony sposób.—Czy pan doktór Lędźwiłł?—Do usług pani dobrodziejki (tak przemawiam zwykle do dam z prowincyi).—Głos jej nieco drżał—zapewne z trwogi o dziecko.—Panie doktorze, moja córka... I to mówiąc, popro-

wadziła mnie ku łóżku, gdzie leżała półuśpiona młoda dziewczyna lat może szesnastu, bardzo ładna—mówiąc nawiasem, świeża jak młoda brzoskwinia i zarumieniona gorączką; zresztą zupełnie do matki nie podobna.—Zbadałem panienkę, przekonałem się, że niema nic niebezpiecznego. Była to zwykła angina, zapisałem jej chinozol. Uspokoiłem damę z pod N-ru 22; zapewniłem, że w razie potrzeby jeszcze przyjdę. Zwinnie prześlizgnąłem papierek niebieski z jej ręki do swojej—ukłoniłem się i ruszyłem ku drzwiom. Naraz czarno ubrana dama zatrzymuje mnie i powiada:—Widzę, że pan doktór ma krótką pamięć.—Byłem nieco zdumiony i zakłopotany.

— Istotnie—przyznam się pani... (Czego ta baba chce odemnie?—myślałem w duchu). Ależ najwyborniej sobie przypominam... Naturalnie—jakże mi miło—po tylu latach (Kto to może być?).—Awięc pan mnie poznał—i że też pan nawet nie wspomniał.—Oczywiście, ale proszę pani, te warunki tak wyjątkowe—i ta melancholia...—O, pewnie, że to miłe spojrzenie w przeszłość—dziś może budzić jeno melancholię.—Tak, tak! Rzeczy niepowrotne, niestety, co minęło, to już nie powraca! — O, jak to pięknie pan doktór powiedział! Znów pan mi w oczach stanął, jak tam — wtedy — nad srebrną wodą, w czasie świąt... — Nad wodą — tak — przypominam sobie. Wzruszający obraz lat młodzieńczych. Te brzóz kilka, ten bieg wody, jak mi wiele przypomina! (zacząłem lirykę, czekając dalszego ciągu). — Tak to zdaje się dawno a tak niedawno! Jakby wczoraj! A przecież jak się rozchodzą drogi ludzkie. Ja potem — wie pan, o czem mówię — potem, co tośmy byli tacy szczęśliwi — tak marzyli, tak płakali, tak żałowali tego grzechu (mówiła

szeptem) — pamięta pan!... ja potem wyszłam za mąż na Ukrainę — mieszkaliśmy w osadzie cukrowniczej: mąż mój był tam za chemika. Bardzo porządny człowiek — poczciwy z kościami — to też byłam do niego bardzo przywiązana.... Ale to co innego, a co innego wtedy — wie pan! Nikt nie umiał tak ładnie mówić o tem wszystkiem. — Jestem prawdziwie wzruszony.... Tymczasem przyniesiono z apteki lekarstwo — zbliżyliśmy się oboje do chorej, którą zająłem się teraz już ponad normę honoraryum.

Zapewniałem tę panią, że jestem bardzo wzruszony; że wszystko sobie doskonale przypominam; że uważałbym sobie wieczór dzisiejszy za wyjątkowo szczęśliwy, gdyby nie ta smutna okoliczność, to chore dziecko i t. d. Poleciłem jej swojej usługi w dalszym ciągu; ona zaś podała mi z uśmiechem rękę — i, zdjąwszy okulary spojrzała na mnie pięknem, dużem, czarnem, fosforycznem okiem.... Coś mi przypomniało to spojrzenie! coś z dawnych lat! Napewno—napewno widziałem gdzieś te oczy! Właściwie należało ją zapytać, kto i skąd? Ale się krępowałem, przypuszczając, że jej może sprawi przykrość takie pytanie, które świadczy o mojej niepamięci. I z chwilą, gdym ujrzał te oczy — naraz mi jej głos zabrzmiał jakąś znajomą z dawnych lat melodyą.

Badałem później służącego o nazwisko Nr. 22, ale było to nazwisko męża, oczywiście zupełnie mi obce... Wróciłem do siebie—i czarne fosforyczne oczy zaczęły dręczyć moją pamięć... Ogarnęła mnie majacząca praca przypominania... Gdzieś ja te oczy widziałem — dawno już temu — jakieś obrazy przeszłości krążą koło nich, jak zapach perfum w pustym flakonie.... Kto to? Nad ranem

dopiero przebudziłem się z najmilejszego snu... We śnie przeżyłem dawne lata — przeżyłem piękny sen... Byłem młodym studentem, pełnym bardzo radosnych nadziei życiowych; wierzyłem w siebie, w swoją potęgę i w to, że jestem z typu zdobywców. Nadzieje prysły, a zwycięztwa moje — to moje trzy żony, z których każda na inny sposób życie mi wykoślawiła. Przyjechałem do znajomych na święta. Narew czarną falą toczyła się między dwojgiem wysokich zielonych wybrzeży, a w sąsiedztwie szaro-żółte wody Bugu. Na wodzie łódka — a w łódce ja oraz śliczna młoda dziewczyna, która miała żywe czarne fosforyczne oczy — i jagody różowe — i cała dyszała życiem a zdrowiem... Śmiech miała srebrny, a głos jak dzwonek... To była ona — Klotylda — moja Klo, moja Chloe! Odrodziły mi się we śnie dawno minione szczęśliwe chwile. Pamiętam las sosnowy, młodociano-zielonym kobiercem mchu pokryty, kwitnący berberysem, rdestem obrzeżony.... Pierwsze wiosenne kwiaty białemi i złotemi gwiazdkami wysuwały barwne główki z zielonej trawy.

Taka sama wiosna była w duszy tej dziewczyny — i tak samo znajdowałeś tam rozkoszne kryjówki. Ziemia jeszcze pachniała świeżo wiośnianą wilgocią. To była Chloe, a z jej imieniem wiązała się prawdziwa sielanka mego życia. Była to pierwsza moja miłość — zresztą właściwie nie pierwsza — mniejsza o to! A działo się to — aż wstyd powiedzieć — ze dwadzieścia cztery lata temu — tak jest — dwadzieścia cztery... Kochaliśmy się gorąco, długo i wiernie —przez całe wakacye.... Chloe też przyjechała do moich znajomych, a swoich krewnych. Znałem ją już dawniej — spotykaliśmy się od czasu do

czasu — ale tu dopiero przez szczególny zbieg okoliczności — zbliżyliśmy się do siebie — i było nam bardzo dobrze! Nie było tu żadnego cudu, jak u Dantyszka; wcale nie udało mi się milczeć, owszem, gadałem, gadałem dużo i długo — na rozmaite tony — i żałośliwie i wesoło — i poetycko i brutalnie. Chloe śmiała się i płakała, raz nawet pogniewała się na mnie, potem się ze mną przeprosiła, potem się jeszcze bardziej pogniewała, a potem już się na dobre przeprosiliśmy. Błogosławię te miłe gęste nadnarwiańskie lasy, a świadkiem naszej miłości był pewien stary dąb, wcale nie gaduła — a nasze szczęście tajemne rosło wciąż w miarę tego, jak z jego korony opadały liście zimowe i zakwitały nowe zielone, wiosenne. I właśnie kiedy dąb cały się przyodział świeżą wiosenną szatą—nasza miłość dosięgła najwyższego rozkwitu. Sielanka nasza nie trwała długo, ale o wiele dłużej nad dziesięć minut... Jednak *fugit irreparabile tempus*... Ona poszła górą, a ja doliną i spotkaliśmy się dopiero teraz, w okolicznościach tak nadzwyczajnych, a przytem—oprócz wielkich, czarnych fosforycznych oczu—wszystko inne z pamięci mi wypłynęło, com też sobie wyrzucał surowo, gdyż to świadczy o niewdzięczności serca... Nad ranem obudziłem się nagle z tego rozkosznego snu, wołając: Chloe! Posłałem jej bukiet chryzantem i tuberoz—z napisem jej imienia sielankowego.—Taka to brzydka niepamięć najpiękniejsze twarze okrywa nam swą czarną zasłoną. Sądzę, że i Dantyszek nie poznałby dzisiaj swej zaczarowanej Zosi: znika to jak mgła, choć w rzeczywistości trwa utajone w duszy, jako symboliczny wyraz naszego życia przyszłego, jeżeli chcecie, naszego stosunku do Fatum.

Mojem zdaniem, pierwsza napotkana przez nas i umiłowana kobieta; charakter tej kobiety, tego spotkania i tej miłości—wyrzeźbia naszą duszę i nasze losy na cały żywot... Dla tego właściwie pierwsza miłość—to może fakt najważniejszy i decydujący o typie naszej linii życiowej... Ten pierwszy fenomen będzie się stale w różnej formie powtarzał.

Doktór skończył, nalał sobie kieliszek starego węgrzyna, a mecenas rzecze:

— Naprzód podziękujmy doktorowi za jego ciekawą powieść, a potem rozważmy, z jakich składa się części i jakie porusza motywy. A naprzód zmienia ona zupełnie pierwotny temat naszego dyskursu: mówiliśmy o stosunku prawdy i kłamstwa w miłości, tymczasem doktór wyszedł całkowicie po za tę sprawę—i raczej podał nam rzecz na temat mowy i milczenia, albo znów na temat pamięci i zapomnienia. Wszystko to są niewątpliwie kwestye pierwszorzędnej wagi, ale odrywają nas od kwestyi głównej, tem bardziej że konkluzya doktora jest zupełnie nowa i niespodziewana, mianowicie porusza ona motyw wpływu pierwszego naszego uczucia na dalsze fenomeny tego rodzaju w naszem życiu. A ponieważ „miłość jest własny bieg życia naszego“—przeto nasza pierwsza miłość—to cała nasza przyszłość w mikrokosmie. Tu leży istota mądrości Sokratesa: poznaj samego siebie.— Czy to jest prawda—niewiem.—Czy rzeczywiście trzy małżeństwa doktora były zbudowane na wzór tej sielanki?...

— *Ne misceantur sacra profanis!* — zawołał doktór. Co innego miłość, co innego małżeństwo. Miłość jest wynikiem świętych, odwiecznych, potężnych praw ludz-

kich, gdy małżeństwo jest rodzajem świętokradztwa; jest to parodya miłości, wprowadzenie jakiejś atmosfery pierzynowej do atmosfery elizejskiej. Pewien dowcipny Francuz powiada, że dwóch rzeczy w dobrym gatunku nigdy nie dostaniesz w domu: rozbefu i miłości. Rozbef należy jadać w porządnej restauracyi, a miłość także poza domem...

— Zgadzam się — odparł mecenas — że są to dwie odrębne rzeczy, ale mądrość życiowa polega na ich związku. Znów tu występuje odwieczna walka między namiętnością, którą wy, erotomany, zowiecie prawem boskiem, a obowiązkiem, który wasza niesforność chce złamać — jako prawo ludzkie, tj. społeczne. Znam ja wasze teorye. Co do mnie, stoję zawsze na gruncie prawa społecznego — i poza prawem żadnej nie widzę drogi do regulacyi stosunku między kobietą a mężczyzną. Stanowczo twierdzę, że rozbef można jadać w domu, choćby nawet z mniejszej sztuki wołowiny był przygotowany. Osobiście jestem przeciwnikiem rozwodu, gdyż daje on zbyt wiele folgi ludzkim kaprysom. Prowadzę teraz kilka spraw rozwodowych — i widzę, dla jakich błahych powodów nieraz się to robi. Dodam jeszcze, że na zasadzie moich obserwacyj — kobieta właśnie zjawia się w tych sprawach daleko częściej ofiarą niż katem — i że ona raczej bywa tu przedstawicielką prawdy, gdy mężczyzna kłamie. Albo, powiem, że kobieta kłamie szlachetniej, niż mężczyzna. Na dowód chcę wam tu opowiedzieć sprawę rozwodową, którą prowadziłem ostatnio.

Jestto sprawa Zieleniaka *contra* swojej żonie. Zieleniaka znacie: jestto pisarz dramatyczny, który napróżno dąży

do rozgłosu. Dwie czy trzy jego sztuki sromotnie upadły, co wywołało w jego duszy niesłychaną pogardę dla *profanum vulgus*. Uważa się on od czasu swej potrójnej klapy za wybrańca bogów, którego tłum bezmyślny kamienuje. Przypuszczam, że do tej ciemnej masy należy też i jego żona, gdyż, jak się zdaje, przed ślubem wierzyła ona w Zieleniaka, że to niby nowy Szekspir, a tymczasem... I oto zaczęła go lekceważyć! Jak wiecie, trzy lata temu Zieleniak ożenił się z piękną panną Celiną, w której ponad wszystkie namiętności górował pociąg do sztuki i literatury, a właściwie do ich przedstawicieli płci męzkiej. Są dziś takie kobiety, które dopiero w atmosferze literatów i artystów czują się dobrze. Naogół biorąc, są to dziś jedni z nielicznych ludzi, mających duszę ludzką. Ale dusza ta bywa różnej miary. Miara duszy Zieleniaka nie była, zdaje się, Fidyaszowa: swoją niemoc twórczą osłaniał on tajemniczym fluidem mistyki, a bełkot swoich dramatów uważał za objawienie. Widywałem się z nim bardzo rzadko: raz na rok co najwyżej. Pewnego dnia spotkałem go na ulicy; powitałem się z nim życzliwie, powtarzając zwykłe frazesy ze słownika komunałów: co słychać? jak zdrowie? co pan porabia? Wogóle mówiliśmy o tem, co nas nawzajem nic nie obchodziło.

— Wyjeżdżam do Paryża—rzekł mi Zdzisław.—Rzecz wyborna. Podróż nauczająca i przyjemna. Stolica kultury — *cerveau du monde, orgueil de l'homme*. — Wyjeżdżam, panie, i to wyjeżdżam *sam* (podkreślone). — „Nie może być! — Tak jest, sam — nakoniec sam — bez żony... — „Jakże to?“ — „Powiem panu, że postanowiłem rozwieść się z żoną. Dość tego głupiego życia. Wyzwolenie, oto mój cel obecny. — Brawo! zawołałem. Trzy

lata temu składałem panu życzenia z powodu ślubu, ale dziś — wierzaj mi pan — daleko szczerzej pana błogosławię z przyczyny rozwodu... Małżeństwo to piękna rzecz, ale rozwód — piękniejsza! (Gadałem tak przez ironię, której zresztą subtelny Zieleniak nie zrozumiał).— Dziękuję serdecznie — tak mi rzecze. — Ja dopiero dziś oddycham swobodnie. Małżeństwo — to kajdany, zwłaszcza, jeżeli się połączą osoby niedobrane, jak my. Kobieta, panie, jest zawsze realistką. To stworzenie przyziemne, które nie rozumie bóstwa i nieskończoności. Ja na długo przed ślubem znałem Celinę i chciałem z niej zrobić człowieka. Napróżno! Zawsze się w niej budziła kotka, samiczka, zmysłowa, zamiłowana w fatałaszkach, bladze i hipokryzyi. Na oko, mój panie, była to świętoszka, ale w rzeczy samej brutalna Messalina i nic więcej. Czy pan myśli, że było choć trochę szczerości w jej zamiłowaniu do sztuki, literatury, artystów? Na zewnątrz mogło się to wydawać, jak mnie, jakimś porywem duszy szlachetnej do krain ideału i czystych natchnień: ale naprawdę nie! Była to brudna żądza zmysłowa, co ją popychała w kierunku różnych niby to artystów ,literatów i t. d., a w gruncie wybierała sobie zawsze chłopów mocnych, rosłych, z którymi uprawiała flirt nieraz idący bardzo a bardzo daleko. Widziałem niejedno, ale znosiłem cierpliwie. Jestem z natury delikatny i ustępliwy, choć wiem napewno, że Celina wraz z matką rozpuszczają o mnie nikczemne plotki. Dziś lub jutro usłyszy pan, że ją biłem, że jej włosy wyrywałem. żem ją kopał. Niech pan w to nie wierzy. Jeżelim wobec niej błądził — to właśnie ze zbytku grzeczności. Powinienem był ją bić i kopać, aby ją nauczyć prawdziwych zasad życia i człowieczeństwa.

Czy pan myśli, że mi to przyjemne i że to się zgadza z moją rzeczywistą naturą — tak obmawiać kobietę — i to osobę, która jeszcze miesiąc temu była moją żoną? A jednak muszę. Ona mnie nigdy nie rozumiała. Ja krążyłem w najwyższych sferach ducha (biedak! mówił to zupełnie szczerze), ona chwytała tylko strony zewnętrzne. Kiedy nasze bydełko (publiczność!) wysykało moje sztuki, ona stanęła po stronie bydełka i tak ujawniła płytką mizeryę swej duszy. Śród moich kolegów, którym ufałem, wybierała sobie co najtęższych a bardzo przedsiębiorczych chłopców — i do współki z nimi drwiła ze mnie i z moich ideałów, a zarazem zdradzała mnie najbezecniej: byłem po stokroć rogaty. O, i niech pan nie sądzi, że do tego był jej potrzebny zawsze jaki *Übermensch;* nieraz zadawalała się prostym parobkiem, zwłaszcza na wsi, kiedy nie było literatów. Długo znosiłem tę hańbę i tę mękę — ale wreszcie przebudziła się we mnie godność człowieka. Rozwód — to jedyne zbawienie. Jestem na drodze do tego Edenu. Niech mi pan powinszuje, a jeżeli pan nie ma żony... — Nie mam. — To niech się pan nie żeni. Radzę panu, jak człowiek, co drogo zapłacił za doświadczenie.... — Czy z tego doświadczenia skorzystam, nie wiem, gdyż każdy człowiek musi sam wszystkiego doświadczyć. Ale nie idzie tu o mnie: dość obojętnie zaczęta rozmowa ze Zdzisławem, zakończyła się nader ciekawem zagadnieniem. Gorąco pragnąłem zobaczyć Celinę i porozmawiać z nią o tej całej sprawie. Interesowało mnie, jak ona właśnie tę całą rzecz wystawi. Szczęście mi sprzyjało. Pani Celina, która dotąd była mało widzialna i najczęściej koło domowego *atrium* ukryta, naraz zaczęła się pokazywać w świecie, w towa-

rzystwie Jerzych M. i Romanów N., miłych ludzi, moich dobrych znajomych. Bywała w teatrze, na koncertach, w kawiarniach. Spotkałem ją w Towarzystwie Muzycznem: była ubrana ze smakiem, w sukni purpurowej, a ta czerwoność wspaniale odbijała od jej kruczych włosów i matowej cery twarzy. Cała postać tchnęła udawaną, zda się, energią — i tylko powłóczyste, rozpierzchnione, szafirowe oczy, ujawniały melancholię, która była zapewne tłem istotnem jej duszy.

Odprowadzałem ją do domu. W czasie koncertu mówiliśmy tylko o muzyce i poezyi; ale gdym się znalazł z nią sam na sam na ulicy, zapytałem ją wręcz, udając półnieświadomość: Cóż to słyszałem na mieście? Podobno się pani rozchodzi z mężem? Skądże ta rozpacz? Przecież tak się kochaliście — takie długie narzeczeństwo — taka głęboka miłość. Czyżby to była prawda? — Niestety, prawda — odpowiedziała z westchnieniem Celina. Najpiękniejsze moje marzenia rozwiały się i prysły jak mgła... O, nie z obu stron, nie! On to mnie przestał kochać, nie ja zopomniałam miłości. Ja mam serce trudne do poruszenia, ale kiedy raz jakie uczucie w niem zapłonie — to już nigdy nie wygaśnie. Nie przestałam go kochać i nigdy nie przestanę. Niech pan pamięta, że ja na długo przed ślubem byłam pod jego wpływem; on mi otwierał oczy, on mi rozwijał duszę; jeżeli jestem człowiekiem — jemu to zawdzięczam. Szczerze powiadam, że bez niego byłabym jeszcze niby głóg leśny. Ale mężczyźni są tacy dziwni, a zwłaszcza wielcy ludzie, jak Zdzisław. On bujał ciągle po obłokach, gdzieś na wielkiej wyżynie, przemawiał do mnie zawsze tak, jakby gdzieś na Himalajach przebywał. A cóż ja, mała, nikła, bezskrzy-

dła istota? Zdaje mi się, że go nie rozumiałam: on ma taką podniosłość ducha, taki polot, że nie byłam w stanie z nim razem unosić się po niebie, choć Boga biorę na świadka, jak bardzo tego pragnęłam. Mówiono mi, że teraz, kiedy się ze mną rozłączył, pisze jakieś wielkie, genialne rzeczy. Byłabym bardzo szczęśliwa, gdyby ta rozłąka dała mu siłę twórczą. Z mojem usunięciem się — znika mu wielka przeszkoda w rozwoju geniuszu. Niech pan zwróci uwagę, że wszystko to, co panu mówiłam, jest to wynik moich własnych rozmyślań. On mi nigdy nic podobnego nie powiedział. Nie odgadnie pan nawet, jaka to dusza szlachetna, delikatna, subtelna: prawdziwy rycerz. Ile on cierpiał przezemnie, tego nikt nie wypowie: ja to sama przeniknęłam. To też, kiedy zaczęła się między nami kwestya separacyi, nie miałam prawa stanąć mu naprzekór. Postanowiłam zejść mu z drogi: niechaj szuka sam swego szczęścia. — I nic mu pani nie ma do zarzucenia? — Cóż mogłabym mu zarzucić? Ach, jedno tylko, ale zdaje się, że to jest w związku z naturą męzką. Mężczyzna lubi kokieteryę; lubi słodkie słówka, uśmiechy, pieszczoty; słowem, mężczyzna jest zawsze zmysłowy i nie widzi w kobiecie duszy, tylko zawsze sądzi się w haremie. Ja nie jestem odaliską — ja nie umiem, jak to robią niektóre kobiety, wabić, nęcić, czarować — słowem, uśmiechem, giestami i tak wogóle... Mnie natura pozbawiła tej gorącości żądz i tego nęcącego zapaszku zmysłowości, które tak lubią mężczyźni. O, i Zdzisław, choć taki wyjątkowy, niecodzienny człowiek — o, i on żądał odemnie, abym się pogrążała w rozkoszach zmysłowych, co było wprost sprzeczne z istotą mojej duszy — bo ja właściwie jestem z natury mniszką, zakonnicą —

i może w innych czasach niczem innem bym nie została, tylko wstąpiłabym do klasztoru. Zdzisław, to człowiek całkiem światowy i, o ile go mogę zrozumieć, to właśnie ten mój nastrój klasztorny głównie go zraził do mnie. — Tak mówiła Celina głosem pełnym melancholii i żałobnej powagi. Aby nieco weselej rozwinąć tę sprawę, rzekłem ironicznie: — Ostatecznie nic złego się nie stało. W każdem nowoczesnem małżeństwie rozwód jest najwłaściwszym punktem wyjścia. Narmalne małżeństwo dzisiejsze w programie swoim zawiera już i rozwód. Małe dzieci o tem wiedzą i sam znałem dziewczynkę ośmioletnią, która wszystkie miedziaki, otrzymywane od rodziców i ciotek chowała do glinianej skarbonki, zamiast kupować cukierki, a kiedy ją pytano, na co zbiera pieniądze, odpowiadała wręcz: na rozwód! Otóż i pani dotarła do tego wybrzeża szczęśliwości małżeńskiej: *Gaudeamus igitur!* Słucham dalej. — Pan jest cynik — i nie rozumie pan uczuć biednej, osamotnionej kobiety. A ja chciałam się do pana zwrócić w sprawie rozwodu. — A, to co innego, to jest sprawa urzędowa, którą traktować będę podług zasad prawnych — ściśle i z uwzględnieniem interesów pani. Tymczasowo zaś wolno mi robić uwagi luźne i niefachowe. Polecam się pani — codzień od piątej do siódmej. — Właśnie stanęliśmy przed domem pani Celiny.— Owóż teraz stawiam pytanie: kto kłamie?

— Mojem zdaniem — rzekł Tarło — w danym wypadku związek rzeczy jest taki, że Zdzisław, choćby prawdę mówił, kłamie; Celina, choćby kłamała, mówi prawdę. Było to kłamstwo tak szlachetne, że już przez to samo staje się prawdą. *C'est elle qui est dans le vrai.*

— Ja miałem to samo wrażenie — odparł mece-

nas—ale mi w każdym razie pewne wątpliwości przychodziły do głowy. W sprawach rozwodowych zawsze jedna strona przyjmuje na siebie *winę*, a często wina bywa tak nieuchwytna w znaczeniu sądowem, choć realna w znaczeniu życiowem...

— Aha, znów przeciwieństwo między kodeksem a życiem...

— Prawo kondensuje zjawiska życiowe w pewnej liczbie paragrafów, ale nie może ich wszystkich przewidzieć. I jeżeli paragrafów jest pięćset, to zjawisk życiowych pięćdziesiąt tysięcy, czyli po sto na paragraf, przytem śród tych zjawisk jest tysiące *niedelikatności*, które się nie nadają do spraw sądowych, a które są zapewne najprzykrzejsze. Owóż na tem polega nieuchwytność winy stron rozwodowych — i zdarza się czasem, że właśnie nie kłamstwo, ale prawda kobiety może być dla mężczyzny źródłem żałości... i że on sam przez swoją rzekomą miłość prawdy wpada w sieć własną. Prowadziłem jedną taką sprawę rozwodową, której treść mnie tak poruszyła, żem ją kiedyś opowiedział Karolowi wprost słowami jednej ze stron. Niewątpliwie Karol sobie tę historyę zapisał i, jeżeli chcecie, to wam ją przeczyta.

— *Parfaitement!* — zawołał Karol. Ale mi wybaczycie, jeżeli będę czytał niezbyt gładko, bom zapisał to stenagroficznie i muszę rozmaite znaczki przypominać sobie powoli. Całą tę historyę zanotowałem w pierwszej osobie — tak właśnie, jakby to sam bohater opowiadał.

— Czytajmy! czytajmy!

— I owóż ten dzień fatalny nadszedł. Nadszedł znastroniczkę, zapisaną dziwnymi zygzakami, które początkowo z pewnym trudem odczytywał, później jednak opanował swoją stenografię.

Oto, co mi mówił p. Stanisław:

— I owóż ten dzień fatalny nadszedł. Nadszedł znacznie wcześniej, niż przypuszczałem, a właściwie nie przypuszczałem, że ten dzień kiedykolwiek nadejdzie. Zapomniałem tych słów, lekkomyślnie, półżartem wypowiedzianych. Któż mógł sądzić, że dla niej te słowa będą miały taką wagę? Było to w czasie naszej podróży poślubnej—pięć lat temu. Wenecya—Canale Grande—gondole—noce księżycowe—wszystkie najbanalniejsze rozkosze miodowych miesięcy, a jednak pełne czaru dla tych, co się kochają. Myśmy byli w sobie niepojęcie za-

kochani, a tak szczęśliwi, że jakiś dyablik-kusiciel podsunął mi złośliwą myśl wyzwania tego szczęścia na zapasy. — O jedno tylko — powiedziałem w gondoli, w ciemną noc, trzymając Gigę w objęciach — o jedno tylko cię proszę. Zniosę wszystko, oprócz kłamstwa. Wolę jawny grzech, niż najsłodszą obłudę. Wiem, że mnie kochasz; wiem, że nasza miłość zdaje ci się wiekuistą, ale nie masz na świecie nic wiecznego. Może się stać, że mnie kochać przestaniesz. Więc, proszę ciebie, skoro twa miłość ostygnie, nie kłam uczuć przedemną. Zjaw się wtedy i powiedz mi otwarcie: „Stanisławie, przestałam cię kochać. Byłam ci dotychczas wierną, ale od dziś wierną ci być nie mogę. Musiałabym cię okłamywać, a chcę żyć w czystej prawdzie. Odpuść mnie, a pójdę za tym, którego kocham.“ Tak jej powiedziałem w tę piękną ciemną noc wenecką i sam bawiłem się serdecznie tem powiedzeniem. Był to paradoks efektowny. Jadwiga słuchała mię z uśmiechem, ale z dziwnym uśmiechem, jakby się w nim jakiś dziwny ból ukrywał i patrzyła na mnie nieco zdumiona swem wielkiem, półdziecięcem, fijołkowem okiem, w którem nigdy ani cienia fałszu nie było. — „Nie ufasz mej miłości, ale mnie się zdaje, że taki dzień nigdy nie nadejdzie. Ja tego nie chcę — i niechaj mnie Bóg od tego chroni. Gdyby jednak taki dzień miał nadejść, to bądź pewien, że ci kłamać nie będę.“— Tak mówiła z jakimś szczególnym, łabędzio-liliowym spokojem i wiarą w siebie — i bujne złote swe warkocze położyła ufnie na mojem ramieniu. Było w jej słowach i melodyi jej głosu i w miękkich ruchach, kiedy na moje ramię osuwała głowę, coś bardzo kojącego — i choć ja mimowoli sam własnym frazesem się podnieciłem, to je-

dnak natychmiast się uspokoiłem, pełen zaufania i wiary. Nazajutrz o tych słowach zapomniałem zupełnie i przez pięć lat zapewne tylko chwilami na jakieś oka mgnienie przychodziły mi na myśl. I oto minęło pięć lat cudownego snu na jawie, pięć lat niewymownego szczęścia. Poznanie z Jadwigą — był to dla mnie moment przeznaczeniowy; wątpiący nieustannie duch, pozbawiony wiary w siebie i w cel swego istnienia, znalazł nagle własną logikę i poprostu konieczność swoją na ziemi. Oczywiście byłem dlatego, że ona była; ona zaś była dlatego, żebym ja mógł być. Gdyśmy zrozumieli tę wielką tajemnicę naszego *fatum*, los był postanowiony. Związek nasz było to nieustanne stwierdzanie prawdy naszego bytu; był to żywot w przejrzystej atmosferze bez fałszu. Jeżeli cośkolwiek ze mnie było jej dziś niewiadome, to niewątpliwie jutro się ujawniło i znów jej tajemnice były dla mnie jak zwierciadło. A jednak każdy człowiek ma w sobie cząstkę Lohengrina. I ja w sobie miałem jakiś pierwiastek bezimienny, którego nazwisko przed nią ukrywałem. A właściwie, kto wie? — to ja nie znałem tego nazwiska, zapomniałem o niem zupełnie, gdy ona doskonale o niem pamiętała i widocznie pamięć tej zapomnianej rzeczy bezimiennej trawiła jej duszę przez całe lata i przetrawiła ją do szczętu. Chochlik-kusiciel odezwał się z tak przerażającą mocą, jakby urósł do rozmiarów szatana ironii. — Oto trzeci dzień mija, odkąd biję się z myślami, co mam czynić, a czego nie czynić? — Trzeci dzień mija od chwili, gdy moja żona przyszła wieczorem do mej pracowni i zawiadomiła, że mi ważną rzecz ma do powiedzenia. Trochę mię dziwił ten jej ton uroczysty — i szczególnie wzruszony głos, alem oczekiwał

czegoś bądź jak bądź normalnego. Patrzyłem na nią w milczeniu i z upodobaniem. Od czasów weneckich Jadwiga znacznie się zmieniła. Już nie było to owo półdziecko o nieco zadziwionem spojrzeniu; była to niewiasta dojrzała, dochodząca lat dwudziestu siedmiu, w najbujniejszym rozkwicie swoich wdzięków ciała i duszy— i możem nigdy jej tak nie kochał, jak właśnie wtedy, kiedy nadchodził zmierzch mego szczęścia. Prosiłem ją, by usiadła. Odmówiła. Stała obok mego biurka w luźnej sukni wieczornej ,ciemno-liliowej, rosła i piękna, jak Junona. W oczach miała spokój. który jej nigdy nie opuszczał; spokój, który mnie zawsze czarował, a który dziś wytrącił mnie z równowagi, żem zaczął szaleć, jak dziki zwierz i popełniłem szereg czynów karygodnych.

— Stasiu — powiedziała mi żona — nadszedł dzień, że ci muszę prawdę powiedzieć, jak tego sobie życzyłeś przed laty. Żyliśmy w szczęściu i miłości przez pięć lat— i na zawsze we wdzięcznej pamięci zachowam te godziny. Ale fortuna — to rzecz zmienna. Stanisławie, przestałam cię kochać! Byłam ci dotychczas wierną, ale od dziś wierną ci być nie mogę. Musiałabym cię okłamywać, a chcę żyć w czystej prawdzie. Odpuść mnie, a pójdę za tym, którego kocham.

Zdawało mi się, że jakiś szyderczy upiór stanął przedemną. Przypomniałem sobie te słowa: to były moje własne słowa. Jak wyuczoną lekcyę — bezwiednie — powtórzyła je najściślej. — Oczy jej były czyste i jasne, głos brzmiał, jak szczera melodya wewnętrznego spokoju. Tak wyglądała bogini prawdy. Ale ta prawda uderzyła we mnie, jak piorun; powaliła mnie na ziemię, jak podcięte drzewo. Patrzyłem na nią osłupiały: — Ty żar-

tujesz, Gigo! — Nie, nie żartuję. Nie ośmieliłabym się żartować w sprawie tak ważnej. — Więc... dlaczego... mi to... mówisz? — Mówię dlatego, żeś sam kiedyś żądał odemnie, abym ci nie kłamała. — Ależ ja mówiłem... ot tak... na żarty. Zapomniałem o tem zupełnie. — Ja nie zrozumiałam tego żartobliwie. Zapamiętałam twoje słowa. Nie, nie odrazu mi przyszły na pamięć. Powoli, powoli, sylaba po sylabie trawiły mnie, aż przetrawiły... — A więc to moja własna robota, moja własna suggestya. To ja sam... — Nie ty sam. Ja kocham innego. — Kogo? Kto to? — krzyknąłem już pełny gniewu. Przebudził się we mnie zazdrosny samiec, sułtan-posiadacz haremowej odaliski, a któremu ukradziono najwyższą rozkosz. Byłem półnieprzytomny: nie wiedziałem, co robić, aby zachować godność własną i nie narazić tej, którą miałem utracić na zawsze. Nowy problemat stanął przedemną: Jadwiga przestała mnie kochać, kocha innego. Sama mi to powiedziała, na moje własne życzenie. Albowiem ja pragnąłem żyć w prawdzie! Przeklęta prawda. Ja tej prawdy pragnąłem na żarty, a gdybym nawet jej pragnął na seryo, to czyż wolno tak brutalnie rzucać prawdę w oczy? — Stanąłem nad jakąś otchłanią. Ktoś zginąć tu musi. Musi zginąć ta nowa miłość, ale jak? Ja mam za sobą prawdę, ale i ona ma prawdę... I ten spokój syreny, popełniającej zbrodnię.... Ktoś tu zginąć musi. Ja — czy ona — czy tamten? Ale ja go nie znam. Przeglądałem w myśli swoich znajomych. Kto to? dotąd mi nie powiedziała. — „Kto to? — pytam raz jeszcze surowiej, głosem ochrypłym, zdradzającym hamowaną wściekłość. — Imienia jego ci nie powiem, bo widzę, żeś moich słów nie przyjął z taką mocą ducha, jakiej ocze-

kiwałam od ciebie. Widzę, że nie jesteś tym człowiekiem, za jakiego cię uważałam. Żądałeś prawdy. Oto moja prawda — i dziś ja żądam, abyś ty moją prawdę uszanował. Imienia jego ci nie powiem, abyś jakiego błędu nie popełnił, któryby ciebie splamił najbardziej. — Nie chce mi powiedzieć, kto to, ale ja ją do tego zmuszę. Odsłoniła mi prawdę, ale przecież powinna była uszanować moje uczucie. Przestała mnie kochać, ale ja nie przestałem... Ja ją kocham. Tegom nie przewidział: myślałem, że to jedna z wielu, że to minie, jak fala, że ją prędzej czy później opuszczę dla dziesięciu innych, a tymczasem.... Tymczasem kocham ją i pożądam jej dziś bardziej, niż kiedykolwiek. — „Ulituj się nademną, zawołałem, padając przed nią na kolana i pocałunkami okrywając jej ręce. Ulituj się — ja żyć nie mogę bez ciebie — i nigdy ciebie kochać nie przestanę. — I jużem żałował tego aktu pokory, bom czuł, że przegrałem sprawę.—„*Mon pauvre ami!*—rzekła mi, niby to życzliwie, a w istocie raniąc mię boleśnie. Już ja bym ci szczęścia dać nie mogła i lepiej ci będzie bezemnie“. — Jakiś mur nieprzebyty stał pomiędzy nami. Serce jej naraz zastygło w zimny głaz. Jakże ona tamtego kochać musi, jeżeli dla mnie jest taka bez litości! — „Kto to? — powtórzyłem po raz trzeci — mów, bo cię zabiję!“ — I to mówiąc, porwałem z biurka mały, dla ozdoby położony sztylet, o rękojeści z opalu, dawnymi czasy w Wenecyi kupiony... Sztylet był niewielki, ale dobrze wyostrzony, formy stożkowatej i w uderzeniu śmiertelny. Miałem przez sekundę widzenie jej białego ciała z piersią przebitą sztyletem, ociekającą purpurowemi falami krwi, leżącą na ziemi, niemą i martwą — i przeraźliwie bladą.—

I widzenie to sprawiło mi niewymowną ludożerczą rozkosz. — Wydobywszy nóż z pochwy, posunąłem się ku niej, ale ona stała nieruchoma, jak posąg i spoglądała na mnie z najwyższym spokojem: sztylet mi wypadł z ręki... „Mów! — zawołałem i pociągnąłem ją ku sobie w ramiona. Zaczęła szarpać się ze mną — i bronić jak tygrysica, jakby obcowanie ze mną stało się dla niej czemś świętokradzkiem. Zresztą Jadwiga ani na chwilę nie straciła spokoju, gdy ja byłem półobłąkany... Ale to wysokie napięcie ducha, ten wysiłek i ta decyzya powiedzenia tak bolesnej prawdy, ta walka ze mną: wszystko to powoli ją wyczerpało... Czułem tylko, że jest coraz dalsza odemnie, coraz bardziej mi obca, choć coraz bardziej wobec mnie bezbronna... Uległa mi—całowałem ją z taką wściekłością, jakbym ją chciał udusić w tym uścisku... Oddała mi się bezwładna, bierna i obojętna.—Tryumfowałem i jakiś dziko-radosny spokój zapanował w mojem sercu. Jadwiga wstała — i poprawiwszy suknię, ruszyła ku drzwiom.

— „Już nigdy twoją nie będę. Czekam na twoją odpowiedź. A w każdym razie żegnam cię na zawsze. Przeżyłam z tobą kilka lat w ludzkiej szczęśliwości—i żal mi, żeś przy pożegnaniu splamił swoje człowieczeństwo".

To mówiąc odeszła do swego pokoju. Czułem, że góruje nademną; moralnie mnie zwyciężyła. Wszystko, com począł względem niej—było chybione, nieludzkie. Teraz dopiero zaczynam rozumieć swój błąd: nie byłem nastrojony na tak wysoki dyapazon, jak ona. Chciałem ratować choćby pozory człowieczeństwa. Gdybym nie był się przyznał, że moje słowa wówczas były

żartem... Utraciłem ją na zawsze—to niewątpliwe. Postępowanie jej może było dość szczególne, ale od mojego lepsze... Powinienem był z takim samym spokojem, z jakim ona powiedziała mi prawdę, przyjąć ją do wiadomości.—Należało z najwyższą powagą ponieść konsekwencye własnych zasad. Tegom nie uczynił, choć to może właśnie byłoby mojem zwycięztwem. Praktyka rozwinęła się z teoryą. Zamierzałem jeszcze różne próby poczynić; sądziłem, że jeszcze da się coś uratować. Chciałem jej powiedzieć, że cała ta dzisiejsza scena była tylko próbą. Ale czy ona mi uwierzy? czy ten surogat prawdy zastąpi prawdę?—Tak, piękną, świętą rzeczą jest prawda—ale nie życzę nikomu spotkać się z nią w jej postaci rzeczywistej.

— Na tem—dodał Karol—kończy się mój stenogram.

— Przedewszystkiem tedy—zawołał Fredzio—złóżmy cześć Karolowi, który jest nietylko wielkim inżynierem i zbieraczem aforyzmów, ale też i wielkim stenografem.

— Historya odczytana przez Karola—rzekł mecenas—zakończyła się u mnie w kancelaryi. Byłem obrońcą Stanisława, który nagle zapałał żądzą, aby przewyższyć panią Jadwigę swoją szlachetnością—i przyjął na siebie wszystkie najokropniejsze przewiny. Rozwód został przeprowadzony; Jadwiga wyszła za mąż za jakiegoś obywatela ziemskiego, który zresztą był bliskim krewnym jej pierwszego męża. Rozeszli się z godnością—ale Stanisław od tego czasu nie lubi prawdy—i powiada, że gdyby się ożenił powtórnie, to by swoją żonę uczył właśnie kłamstwa.

— Tak—odezwał się Nawara—ludzie chwytają się we własne sieci. Jest to wieczna walka między prawdziwym idealizmem a fałszywym. Któż w słowach nie jest zwolennikiem prawdy? W rzeczywistości jednak my nienawidzimy prawdy—my kochamy obłudę, dla tego, że w obłudzie żyć raźniej.—My kochamy prawdę w pewnym specyficznym rodzaju: prawdę fałszywą albo fałsz prawdziwy coś, co naszym upodobaniom i przyzwyczajeniom pochlebia. Prawda bezwzględna burzy podstawy społeczne, wywraca je z gruntu i grozi naszym najwygodniejszym przesądom. Tylko bardzo nieliczne jednostki są zdolne żyć w istotnej prawdzie. Są to poniekąd bojownicy przyszłych form życia—i za taką osobę należy uważać Jadwigę. Trzeba jednak przyznać, że jej położenie było dosyć proste. Rzecz cała redukuje się do starcia między dwojgiem ludzi. Przypomnijmy sobie jednak sprawę Kaźmierza i Stefanii. Toć wszyscy byliśmy świadkami tej zmiany jaka zaszła w społeczeństwie względem nich—i to zaszła nagle, z dnia na dzień, z chwilą, kiedy wyrzekli się kłamstwa—i postanowili żyć zgodnie z prawdą.

— Cóż to za historya? zapytał Molten, który był jeszcze śród nas półobcy i mało znał nasze kółka.

— Jeżeli pozwolicie, to opowiem tę historyę, która świadczy, że nie tyle ludzie pojedynczy kłamią, ile społeczeństwo; że owszem kłamstwo jest wymaganiem i nakazem społecznym; i że kto wie, czy społeczeństwo bez kłamstwa, nie runęłoby w jednym dniu.

Kaźmierz należał do wielkiej spółki elektro-technicznej pod firmą: *Transalpiński & Co.* Głównym jej kierownikiem był Jan Transalpiński, człowiek *d'un certain âge,* bardzo inteligentny, pełny sił żywotnych, niewyczerpany i energiczny. Słowem—nikogo nie dziwiło, że jego żona znacznie od niego młodsza, żyła z nim w najlepszej harmonii i była zdaje się wcale szczęśliwa, zwłaszcza, że miała dwoje dzieci, którym była oddana, jako najlepsza matka. Pani Stefania wyszła za mąż z przywiązania, które i ona i Jan przed ślubem nazywali miłością; ale—jak mi się zdaje—musieli się oni ze sobą najstraszliwiej nudzić. Zapewne małżeństwo—to nie operetka, ale w każdym razie powinna to być powieść zajmująca, którą mogłyby czytać z zaciekawieniem przynajmniej dwie osoby: *Monsieur et Madame.* Kiedy powieść staje się nudna—wtedy *Madame* zaczyna szukać

kogoś, coby ją bawił. Pewien złośliwy Francuz powiada, że każda kobieta powinna mieć trzech mężczyzn na usługi: jednego mądrego, któryby ją bawił; jednego pięknego, coby ją kochał (wzajemnie)—i jednego głupiego, któryby był jej mężem. Transalpiński nie był głupi, ale też nie był mądry ani piękny. Był to specyalista elektrotechnik; żonie swojej opowiadał o akumulatorach, dynamomaszynach, ionach i kationach i t. d., co ją do pewnego stopnia zajmowało, ale czasami chciałaby ona też wyjść poza specyalność. Zwłaszcza męką jej stało się, gdy zapanował automobil, z którego jedno tylko zapamiętała: *pneu*, a wszystko inne szło jej mimo uszu—i przepływało bez śladu, choć Jan monotonnym głosem opowiadał jej nieustannie o coraz nowszych systemach i coraz nowszych urządzeniach samochodów.—Prawdę mówiąc, usypiała od tych jego rozmów, które znali też dobrze jego goście. Transalpińscy prowadzili dom otwarty; setki osób, cały świat techniczny, przemysłowy, częściowo nawet literatura i sztuka—wszystko to przesuwało się przez ich gościnne salony. Ich wtorki były w Warszawie głośne, jako przyjęcia miłe i swobodne. Pani Stefania była to osoba dziwnego typu: miała w sobie coś z aktorki i to aktorki bardzo szlachetnej i wytwornej—z pierwszorzędnego teatru. Każdy jej ruch i każdy dźwięk głosu—zdawałoby się—przypomina ci jakąś rolę: raz była to Ofelia, raz Marion Delormes, raz Desdemona, to znów Dama kameliowa, Lilla Weneda lub Balladyna—słowem najsprzeczniejszy splot dusz—postaci—charakterów. Było to zupełnie bezwiednie; to aktorstwo było jej naturą—i byłaby nienaturalną, gdyby właśnie udawała istotę—że tak powiem—codzienną, istotę nie z powieści

i nie z dramatu. Jakkolwiek była bardzo przywiązana do swego męża, który w gruncie był człowiekiem wcale dobrym, zrównoważonym i pełnym pobłażania—to jednak w głębi współżycie z nim nie zaspakajało jej duszy. Czuła wciąż, że jej czegoś braknie—czego? nie wiedziała dokładnie, choć niejeden przedsiębiorczy młodzieniec—starał się ją uświadomić. P. Stefania jednak brzydziła się jedną rzeczą: kłamstwem. Nie była w stanie oszukiwać męża. Dodać trzeba, że z pretendentów, jak dotąd, nikt jej nie podobał się do tyla, żeby choć dla żartu z nim się zapragnęła porozumieć. Wszyscy młodzi ludzie, którzy ją otaczali—byli dla niej zupełnie równi i równowarci. Ale nikt nie wie dnia ani godziny; przed paru miesiącami przybył z Anglii pewien młody inżynier, imieniem Kaźmierz (nazwisko tu nie potrzebne), który poczynił jakieś ulepszenia w konstrukcyi automobilów—i zdobył sobie odrazu serce p. Jana, gdy mu tę rzecz przedstawił.

Ponieważ był to człowiek nie bez funduszu, przeto p. Jan przyjął go do spółki—i zaczął go często zapraszać do siebie, aby nasycić swoją żądzę rozmawiania o różnych wynalazkach elektrycznych. Jednakże pod tym względem p. Kaźmierz zawiódł swego szefa; daleko bardziej, niż wszelka elektrostatyka i elektrodynamika—interesowała go p. Stefania—i w czasie przyjęć zaniedbywał prawie zupełnie rozmowę z p. Janem, a głównie zwrócił cały swój talent konwersacyjny ku jego żonie. Mało ludzi umie mówić; mało ludzi umie rozmawiać: jest to niewątpliwie talent równie rzadki i równie cenny, jak talent do muzyki albo malarstwa. Kaźmierz był mistrzem konwersacyi, a ponieważ dużo podróżował, znał

rozmaite miasta, gmachy, muzea, pejzaże, góry, rzeki, jeziora—przeto miał niewyczerpane źródło motywów do rozmowy o dalekich krajach, o urządzeniach ich życia, o ich zabawach i pracach, o ich kobietach i poezyi; był rozmiłowany w sztuce i literaturze; grał i śpiewał z niemałym talentem i znał wszystkie nazwiska aktorów i aktorek w Niemczech, we Francyi i w Anglii; gdy zaś opowiadał treść jakiej sztuki i grę artystów—odrazu sam się zmieniał niby w danego aktora—i mimowoli sztukę odgrywał. Stefania patrzyła w niego jak w tęczę—i, nieświadomie, wchłaniała w siebie to wszystko, co Kaźmierz jej mówił o Italii, Szwajcaryi, Hiszpanii, Prowancyi, o Szkocyi i Islandyi.

Odtwarzanie scen teatralnych poprostu wyczarowywało z duszy Stefanii jej wewnętrzną treść, jej duszę urodzonej aktorki, którąby zresztą prawdopodobnie nigdy na prawdę nie została aktorką. Kaźmierz ze Stefanią widywali się też nieraz i w nieobecności męża; uprawiali wspólnie śpiew i muzykę—co jest w ogóle drogą niebezpieczną. Pewnego dnia oboje poczuli w sobie jakąś nową duszę, jakieś nieodparte i niezwyciężone rwanie się ku sobie. Ilekroć Stefania zamknęła powieki, natychmiast ukazywała się jej twarz młodzieńca; a Kaźmierza potrzykroć budził w nocy zapach włosów tej kobiety albo blask jej źrenicy, półjawnie widzianej. Zaczęli się dręczyć, zaczęli się czuć nieszczęśliwymi bez wzajemnej obecności.—Poszukiwali siebie nieustannie, a ponieważ Transalpińscy i sami przyjmowali niemało osób i w wielu domach bywali, Stefania wciąż to u siebie, to u znajomych widywała się z Kaźmierzem, prawie codziennie. Zdaje się, że ta ich wzajemna sympatya nie uszła baczności ca-

łej czeredy dam i panów—i wszyscy się domyślali, że między „tem dwojgiem“ coś jest, oczywiście postokroć więcej rozpowiadając, niż było rzeczywiście. W istocie między nimi nic nie było. Raz tylko jeden—mimowoli, bez woli, opętami—padli sobie w objęcia i usta ich połączyły się gorącym pocałunkiem, który był milczącą przysięgą miłości.—Czuli, że już odtąd należą do siebie. Czuli, że coś w ich życiu musi się zmienić; że trzeba coś przełamać i przezwyciężyć, aby dojść do zgody z własną prawdą. Właśnie w tym wyrazie streszcza się dramat. Kobiet zdradzających męża bez skrupułu, nawet ze spokojnem sumieniem, jest nie mało; toć większa część tych pań, które bywały u Janostwa i tych, których oni odwiedzali—większa część żyła w niewierności niemal całkowicie jawnej i przez ogół publiczności uznanej i uprawnionej. Prócz męża—zazwyczaj wszyscy wiedzieli, z kim romansuje pani Emilia, pani Adela, pani Felicita i pani Jadwiga. Wiedziano również, że p. Bolesław żyje z jakąś aktorką, p. Henryk z żoną jakiegoś właściciela fabryki powozów, a p. Jerzy z żoną przedstawiciela jakiejś innej fabryki. Szeptano sobie o tem na ucho, ale przyzwoitość nie pozwalała mówić głośno. Wiedziano doskonale, że starzejąca się pani Barbara lubi przeważnie młodych chłopców do lat dwudziestu i dwóch i że p. notaryusz lubi młode panienki od szesnastu do ośmnastu lat. Zresztą pocóż mam o tem wszystkiem wspominać? Są to po większej części nasi znajomi. Niewątpliwie Karol, jeżeli jest dobrym kronikarzem, zapisał to wszystko w swojej czerwonej książeczce. Ściśle biorąc i ja niepotrzebnie o tem mówię. Nazwisk nie powtarzam, ale imiona są przezroczyste. W klasycznym kraju obłudy i przyzwoi-

tości, w Anglii—za rozpowszechnienie tych wieści—byłbym z klubu wyrzucony. Tam—nie bez słuszności—nie wolno mówić źle nawet o kobiecie, notorycznie znanej ze złego prowadzenia. A w Anglii człowiek wykreślony z klubu— to człowiek zgubiony. To się nazywa opinia. Owóż mam nadzieję, że mi koledzy wybaczą ten mój grzech: mówiłem źle o kobietach, które mają swoje nieco zbyt jawne tajemnice. Jesteśmy tu w zamkniętem kółku między sobą—i proszę o tych rzeczach, które znane są powszechnie, nie mówić nikomu. Po tem zastrzeżeniu zrobię drugą uwagę. Ile razy mi ktoś przemawia z tonu najwyższej, niebywałej cnoty, podejrzewam go, że musiał dużo nagrzeszyć.—Bój się Boga, mówię, czyś ty babkę zamordował, żeś taki cnotliwy?—Człowiek rzeczywiście cnotliwy wie o tem, że cnota jest trudna i nie żąda zbyt wielkiej cnoty od bliźnich, a na grzechy cudze zapatruje się pobłażliwie. Przeciwnie ktoś, co jest łotrzykowaty, chętnie wymaga od innych, aby uprawiali tak potężną cnotę, żeby od niej wychudli do cna. Od tego *cna* idzie właśnie *cnota* tj. wychudłość. To samo dotyczy kobiet. Skoro tylko jaka pani zwraca uwagę przyjaciółek czemś — powiedzmy — osobliwem—natychmiast te, które przeszły w życiu najwięcej tych... osobliwości—najgoręcej ją zaczynają potępiać. Czegóż ja się nie nasłyszałem owemi czasy o Stefanii?—„Na ucho coś panu powiem. Pani Tr.—taka niby wzorowa żona—czy pan wie?... Z Kaźmierzem... To było do przewidzenia. Choć wie pan, że to jest podłość. Taki przyzwoity człowiek—ten p. Jan—i tak bezczelnie go zdradzać! Ja bym tego nigdy nie zrobiła! I ta bezczelność—wie pan—ten bezwstyd! Toż oni publicznie tak na siebie patrzą i tak ze sobą

rozmawiają, że tylko ślepy—to znaczy mąż!—nie domyśli się prawdy. Rzecz ta już dziś wszystkim wiadoma!“

Takie to nowinki błądziły z domu do domu, tak sobie skrzeczały nasze sroki— o tych dwojgu ludziach, którzy właśnie przechodzili największą tragedyę. A sroki, można powiedzieć, były z odkrycia tego raczej zadowolone; sens ich bajek był ten: Wreszcie i ona!—Owóż, jako doskonale znający zakulisowe szczegóły tej sprawy—wiem, że między Kaźmierzem a Stefanią — pomimo wszystkie plotki—nie było nic. Kochali się—to prawda; pragnęli siebie gorąco, ale jedno było obojgu wstrętne: kłamstwo. I Kaźmierz i Stefania były to dusze prawe i niezdolne do obłudy. Wiedzieli oni, że świat ich podejrzewa, ale nie zwracali na to uwagi. Mieli tyle radości ze swego uczucia i tyle smutku z jego powodu, że zamknęli się w sobie—i rozważali, co czynić. Świat przyjmował ich serdecznie, jak dawniej; panie całowały i ściskały Stefanię, jako swą najmilszą przyjaciółkę; uśmiechały się do niej słodko i życzliwie, jakby mówiły: Wiemy o wszystkiem, i bardzo nas to cieszy! Używaj życia, pókiś młoda! Kochaj, całuj, pieść—jak ja, jak tamta druga, trzecia i czwarta, co mamy mężów nudnych, albo szukających szczęścia gdzieindziej! „—Niemniej też, pełnemi domyślności oczami witano Kazimierza.—Ale ci oboje nie widzieli tego wszystkiego: zajęci sobą, zapatrzeni w siebie, szukali rozwiązania swego problematu—zgodnie z prawdą i uczuciem własnem—aby nie popaść w dysharmonię wewnętrzną. I nareszcie znaleźli to rozwiązanie. Oto Stefania poszła wprost do męża i powiedziała mu całą tajemnicę; zawiadomiła go, że chce

opuścić męża, by żyć z Kazimierzem. Ale ten p. Jan nie zachował się jak Stanisław. Był to człowiek niezmiernie dobry i wyrozumiały. Przeczuwał liczne cierpienia i rozczarowania dla Stefanii; przekładał jej spokojnie, żeby się namyśliła, zanim ten ryzykowny krok poweźmie; zwracał jej uwagę, jak się zmieni jej położenie społeczne i t. d. Ale Stefania była na wszystko przygotowana. W ciągu tygodnia najdalej pożegnała męża, wzięła starsze ze swoich dzieci—i zamieszkała z Kazimierzem, jako jego żona. Podobnie rzecz traktował i sam Kazimierz, który uważał, że wystarczy powiedzieć ludziom prawdę, aby uszanowali ich związek. Skoro więc tylko połączyli się ze sobą—natychmiast rozesłał zawiadomienie do znajomych: „Kazimierz N. i Stefania Tr.—zaślubieni". Karta owa śród znajomych wywołała, mówiąc po prostu, śmiech ogólny, a nawet poniekąd oburzenie. Kiedy zaś kochankowie zaczęli składać formalne wizyty—i Kazimierz przedstawiał Stefanię, jako swoją żonę—damy nasze zachowywały się wobec niej w sposób nad wyraz chłodny, dumny, niby w godności swej obrażone. Każda z nich momentalnie zapomniała, że sama niezbyt oddana jest cnocie, i widziała tylko bezczelność p. Stefanii. A cóż dopiero mówić o tych rzadkich wyjątkach, które żadnej nie miały ubocznej miłostki! Niejedna *casta quem nemo desideravit*—wprost drzwi zamknęła przed dawną swą przyjaciółką. Był to okres bardzo niemiły dla Kazimierza i Stefanii. Znaleźli się nagle osamotnieni—i wkrótce przenieśli się do Paryża, poznawszy, że całe ich otoczenie toleruje obłudę, kłamstwo, niewierność—ale nie toleruje szczerego przełama-

nia konwenansu. Prawda—to skandal, i tylko w kłamstwie żyć można śród społeczeństwa.

— Mojem zdaniem—rzekł mecenas—świadczy to o ludziach zarówno źle, jak i dobrze. Te kobiety kłamiące—czuły, że przestępują zasadę, na której się opiera byt społeczeństwa. Ich obłuda była hołdem, złożonym samej zasadzie. P. Stefania—ma swoją stronę piękną, którą nazwijmy umiłowaniem prawdy, ale naruszyła *principium*. Gdyby człowiek w każdej chwili chciał szczerze i bezpośrednio ulegać swoim chuciom, toby społeczeństwo runęło w jednej chwili. My musimy się krępować nieustannie, aby umożliwić ład w swem otoczeniu, a jeżeli już nie jesteśmy zdolni zapanować nad sobą—to przynajmniej nie czyńmy tego jawnie.

— Słowem—rzekł Karol—kochany mecenasie, pozwalasz na wszystko, byle ostrożnie. Przypomina mi to jeden, zapisany w mojej książeczce fragment, o pani Zenobii, czcigodnej matronie, która sama była niegdyś nadzwyczaj piękną osobą i zreprodukowała swą piękność w dwóch córkach. „Pytano pewnego młodzieńca dlaczego się nie żeni.—Odpowiedział: Miałem niegdyś zamiar ożenić się ze starszą córką p. Zenobii.—Byłem raz w towarzystwie, gdzie rozmawiano o świeżym skandalu: Pan X. schwytał żonę swą w kryminalnej konwersacyi z jakimś obcym panem.—Różnie mówiono o tem: jedni bronili pana X., drudzy zaś pani.—Naraz pani Zenobia powiedziała:

— Nie rozumiem, jak to można dać się złapać in flagranti!

Od tej chwili przestałem się starać o jej córkę.

— Bravo! zawołał Fredzio. W każdym razie

p. Zenobia zasługuje na pochwałę mecenasa. Znalazła ona *principium,* które istotnie ocala podstawy społeczne. Z drugiej strony dla tych, co lubią krążyć w promieniach cudzego ogniska—milszem jest zachowanie się Zenobii, niż Stefanii. Pomyślcie sobie, coby zrobił człowiek, który posiada całą seryę tych dam; który kocha donnę Elwirę, donnę Stellę, donnę Inez i jeszcze siedem innych — i oto, pewnego dnia, wszystkie te donny, opanowane duchem prawdy, chcą opuścić mężów i iść za nim? Coby zrobił — odpowiadajcie! — Powiedziałby im:—Moje gołąbki! Wracajcie do mężów, bo inaczej runie społeczeństwo, a każdy człowiek powinien przedewszystkiem dbać o społeczeństwo! Czyńcie jak Zenobia. Nie dajcie się schwytać na gorącym uczynku! Służcie bogini Astarcie, ale bądźcie ostrożne i czuwajcie nad sobą. Niema zaiste rzeczy kłopotliwszej, niż prawda. Błogosławione niech będzie kłamstwo kobiety, która jest naszym mistrzem w tej sztuce!

— Słowem—zaznaczył Dantyszek—jak to słusznie mówi pewien mój znajomy, handlujący wełną: Można być świnią, ale trzeba mieć takt!

— Stanę w obronie mecenasa—rzekł doktór. Należy tu jak zawsze odróżniać dwie strony zjawiska: w danym razie punkt osobisty i punkt społeczny. Prawnik musi z natury rzeczy bronić stanowiska społecznego, które jest konserwatywnem. I dlatego, broniąc istniejącego stanu rzeczy, musi on potępiać wszystko, co narusza pierwotną myśl prawodawcy. Ale z tego stanowiska wypływa jedna omyłka: prawnik nie baczy na zasadę ewolucyi, która przenika wszystkie sprawy życiowe. Ci, którzy w imieniu praw osobistych probują naruszyć prawo publiczne—są to działacze ewolucyi prawnej; są to ci, którzy poszukują równowagi między prawem osobistem a prawem społecznem.—Forma związku małżeńskiego nie zawsze była i nie zawsze będzie taką jak dziś. Zjawiska takie, jak miłość Kaźmierza i Stefanii niewątpliwie należą do czynników rozwojowych. Nie wynika stąd, żeby każda kobieta, która porzuca męża, miała ten sam walor. Tu każdy wypadek jest zupełnie odrębny i osobno musi być oceniany. W każdym razie obłuda jest zasadniczym motywem życia społecznego— i znajdzie się zawsze wytłumaczenie dla każdego grze-

chu, o ile ten przynosi korzyść.—Lekarz może nie mniej napotyka zjawisk życiowych, co prawnik; ma i on swoją sferę obserwacyi. Przypominam sobie właśnie nader charakterystyczne zdarzenie, które wam opowiem.

I doktór zaczął swe opowiadanie.

— Przed paru laty w czasie mego *five-o'clocku*— gdyż, jak damy wielkoświatowe przyjmuję od piątej do siódmej—zjawiła się kobieta, ubrana nie bez elegancyi, choć była to elegancya podszarzana i zabłocona; z wyrazem bezgranicznego znużenia na twarzy—i z wykrzywieniem ust, znamiennem dla histeryczek. Twarz była śmiertelnie blada, poprostu biała; oczy czarne przygasłe o sinem białku, wargi wyblakłe jak suchotniczy koral. a kąciki oczu i ust pomarszczone przedwczesnemi żółtawemi brózdami. Twarz jej była tak mało zamaskowaną, żeś odrazu czytał historyę jej życia: noce niespane przepędzone w orgiach szału, po którym następował niesmak i gorycz i zniechęcenie; jakaś burzliwa przeszłość zakończona gwałtownym upadkiem z wyżyny w błoto; i w rezultacie znużenie bezwzględne, pragnienie śmierci, nuda gryząca—i anemia w najwyższym stopniu, połączona z neurastenią, a nie bez przejawów histeryi.—Tak mi się zdała ta kobieta, której stanowisko i cierpienia w jednej chwili sobie określiłem. Rzecz zresztą niezbyt trudna. Jakoż przypuszczenia moje zostały natychmiast stwierdzone, a pierwsze moje wrażenie—podszarzałej elegancyi—rozciągnęło się na całą jej osobę; to samo widziałeś w jej myśli i mowie.

— Panie doktorze! *Je suis bien, bien malade!* Zdaje mi się, że już ze mnie wysączyła się ostatnia kropla krwi! Niech mię pan ratuje, jeżeli można, choć

może lepiejby było, gdyby mi pan dał trucizny, takiej trucizny, coby mi w jednej sekundzie pozwoliła umrzeć. Tylko śmierci pragnę—wszystko inne będzie paliatywą, bo mię to psiakrew, życie cholerne, tak rozdryndoliło, że już mi się i zipać nie chce... Non, non, il n'y a rien qui me sauve! Coby to moja biedna matka powiedziała, gdyby mię zobaczyła w tem błocie, gdzie jestem? Ona, co tak marzyła dla mnie o jakim królewiczu z za morza! A jeszcze ta ścierwo Mańka Czerwona zabrała mi najbogatszego faceta—i teraz nawet mi o fajgla trudno! Pieskie życie—niech to choroba! A wszystkiemu winien ten sukinsyn Drzewiecki! Przez niego to stałam się wozgrą, bazarką, *une femme declassée, une femme dechue! Ah, c'était l'amour, l'amour*—psiamać—*qui m'a perdu!*— „Tak mi mówiła na przemiany z pewną dystynkcyą i z zupełnym akcentem z Powiśla.—Niech się pani uspokoi—prosiłem ją—i zabrałem jej parasolkę, którą nieustannie nerwowo zamykała i otwierała. Zacząłem ją badać—i stwierdziłem powtórnie to, com określił na oko: wycieńczenie zupełne organizmu, wynik bezładnego życia, rozpusty i nędzy naprzemian; wydawało mi się zarazem, że jest to osoba nie na swojem miejscu, że jakieś złowrogie okoliczności zepchnęły ją w dół i że najwidoczniej cała wewnętrzna istota tej kobiety protestowała i buntowała się bezsilnie przeciw temu trybowi życia, ale raz widocznie wpadłszy w to koło, już się biedaczka nie była w stanie z tej matni wydostać.

Nawiasem mówiąc w jej przemówieniu uderzyło mnie nazwisko Drzewiecki.—Choć nie była to kwestya lekarska, alem się nie mógł powstrzymać i zapytałem, coto za pan Drzewiecki. — „A któż, jak nie Stasiek—

ten, co ma duży majątek koło Płocka. Jucha to jest, drań, ale co prawda *c'était un joli garçon!* On był mój pierwszy—i przez niego to całe nieszczęście... A jeszcze więcej to przez tę wiedźmę starą Orczykową—*sale bête!* Tej szelmie do grobu nie daruję. — I znów ogarnęło mię pewne zdziwienie.—Orczykowa?—A jeno! *Juste!...* Ona wszystkiemu winna! *Je suis f....* Ratuj mię, doktorze, albo mię otruj, zabij, bo mi się żyć nie chce, jak Bozię kocham, żebym tak skonała. To rzekłszy gorąco się rozpłakała.

W tej chwili przypomniałem sobie nowinę, która krążyła po świecie, o świeżych zaręczynach p. Stanisława Drzewieckiego z p. Maryą Orczykówną; oboje należeli do najpoważniejszych rodzin obywatelskich między Płockiem a Płońskiem. Zaciekawiło mię, jaki związek mają ci oboje z moją pacyentką.—Jak dawno pani pracuje na tem polu?

— Pracuje? *Vous êtes bien gentil.* Ładna praca! Drań, stwo nie praca. Siedzę w tem drańswie od pięciu lat, a mam dziś bez mała rok dwudziesty siódmy! Czy pan doktór myśli, że ja zawsze była taka... Do dwudziestego drugiego roku życia—to ja byłam porządna, byłam dziewica, *dycht* dziewica—i dopiero ten psubrat Stasiek... Skończyłam pensyę wyższą, znałam dobrze muzykę, znałam francuski i niemiecki, znałam wszystkie przedmioty wykładane na pensyach sześcioklasowych—i miałam patent nauczycielki. Zawsze też dostawałam dobre posady—najmniej po 400 rubli rocznie, na wsi.—Byłam jeden rok u p. Michalskiej, jeden rok u p. Pawłowskiej, a potem u p. Grzebskiej—i wszędzie dostałam jaknajlepsze świadectwa. Dopiero jakem przyje-

chała do Malowanej koło Płocka, u pani Orczykowej—przyszło na mnie nieszczęście. Choć to, jak pan doktór widzi, jestem dziś do trupa więcej podobna niż do żywego człowieka i na księżą oborę patrzę—to jednak ja byłam wcale ładna dziewczyna... A tak, proszę pana! Byłam młoda, miałam niecałe dwadzieścia dwa lata, byłam ślicznie różowa na twarzy, oczy miałam czarne i żywe jak iskra, włosy bogate jak grzywa końska, a gdym je rozpuściła—to niżej bioder opadały. A choć, jak to pan doktór widzi, biodra moje, i nogi, i łydki—choć to wszystko powiędło i wychudło—to przecież dawniej było to wszystko mocne, okrągłe, foremne. A piersi—to miałam, jak to sam Mickiewicz powiada—twarde jak gruszki· Co tu mówić! Byłam bardzo ładna dziewczyna—i nie jeden chłopiec nogi za mną łamał—i oczami za mną przewracał—ot tak! Ale ja byłam mądra i cnotliwa—i, kto mi słodkie słówka gadał—to ja mu zaraz:

— Dobrze, dobrze, ale po ślubie! Inaczej nic z tego nie będzie!... Figa — o, i tyle!" — Tak odchodził każdy z kwitkiem, aż ci nadszedł *moment psychologipue!*—Pani Orczykowa miała jedną córkę, Emilkę, która liczyła wtedy czternaście lat—dziś już ma pewnie koło dwudziestu. Dziewczyna była nieszpetna, fertyczna, ale gąska—i strasznie ciężko było mi ją uczyć, zwłaszcza arytmetyki i geografii: nic się nie mogła połapać w tych rzeczach. Ale to już należy do naszych udręczeń nauczycielskich.—W Malowanej bywało nie wiele osób i po prawdzie było tam bardzo nudno: to też jedyną przyjemność sprawiał nam przyjazd młodych Drzewieckich, Stacha i Zosi. Byli to dalecy krewni i sąsiedzi nasi. Stach był studentem prawa, był to psianoga bardzo

ładny chłopiec—i, powiem panu doktorowi prawdę, że na jego widok robiło mi się bardzo słodko i bardzo niewyraźnie. Ciarki mię przechodziły i brała mię chętka, żeby go pocałować. I jemu też się bardzo podobałam, ale rozumie pan—nie przypuszczałam zupełnie, żeby się taki bogaty chłopiec ze mną chciał żenić. Ale raz—a był to koniec maja, gdyśmy się przechadzali po ogrodzie wieczorem, on, proszę pana, zaczyna mi się oświadczać; mówi, że niby kocha mnie, że jestem jego gwiazdą przewodnią, że bezemnie żyć nie może, żebym się ulitowała i takie różne entliczki-pentliczki. Więc ja, że wtedy byłam bardzo surowa i cnotliwa, powiedziałam mu tkliwie, ale z dumą, jak należy: Panie Stachu! i ja pana kocham, ale do mnie droga tylko przez ołtarz! Jestem twoja cała— rozumie pan — ale chcę przedewszystkiem być uczciwą dziewczyną, bo prócz uczciwości nic nie mam! On z początku się stropił, ale potem tak mi chytrze odpowiedział: „Tegom oczekiwał po pani i bardzo pani dziękuję za te słowa. Nie mogę pani powiedzieć, żeby matka moja na taki związek się zgodziła. Napewno zaprotestuje, ale ja z nią walczyć będę; ja wywalczę to, że moja matka pozwoli na te śluby. Niech pani tylko trzyma w sekrecie to, co pani powiem: ja się z panią ożenię, skoro tylko skończę studya· Uważaj się za narzeczoną moją—i na dowód ucałujemy się, jak należy!— Czyż miałam mu zakazać pocałunku? Taki ścierwo *fines* był ten Stach, że jak mnie zaczął całować, to mnie aż rozemdliło i uciekłam do domu. Ale byłam bardzo szczęśliwa, bo już miałam narzeczonego i jeszcze przyjemniej mi było, że to sekret i że nikt o tem nie wie. Teraz pan doktór rozumie, że, ile razy przyjechał Stach, to mi było

na sercu mięciuchno i miałam ze trzy tygodnie jedwabne w życiu swojem! Aż się pani Orczykowa dziwowała: mówiła, żem wielce wyładniała, że tak widać na mojej twarzy szczęśliwość. Bo i pewnie—byłam bardzo szczęśliwa. Ale raz—to stało się tak, że pani Orczykowa wyjechała w sąsiedztwo na dwa dni. Już ci Stach o tem wiedział—i w te pędy przyjechał do Malowanej. Chodziliśmy po ogrodzie, a potem była kolacya; po kolacyi zaś on do mojego pokoju, niby to po jakąś książkę, co mu była bardzo potrzebna; a kiedy był już u mnie—tak ci mnie psia bestya zaczął ściskać i całować żem go zaczęła prosić a błagać: Niech pan wyjdzie, niech pan wyjdzie!—Ale padł na kolana, zaczął moje nogi całować, płakał, groził mi że się zabije, że mnie zabije, że już umiera, że szatan go opętał przezemnie, że... no, czy ja już pamiętam co... Ach, czułam, że słabnę, że mdleję, że jestem nieprzytomna—i że mi straszno i że mi słodko i rozkosznie—i że niech się co chce stanie i niech mnie zabije—i niby to się broniłam, i owszem takem go pięścią zdzieliła, że się potoczył wtył, ale zaraz wstał jak ten wilk i rzucił się na mnie tak, żem już się bronić nie mogła. J'ai été perdue.

Wtedy ten psiadusza wyszedł spokojnie—i nawet się ze mną zapomniał pożegnać. Ja zostałam sama—i dopiero wtedy zaczęłam się zastanawiać nad tem, co się stało i co to będzie.—Teraz—myślałam sobie—już się musi ożenić, żeby tam nie wiem co.—Nazajutrz w południe przyjechała pani Orczykowa.—W dobre pół godziny po przyjeździe weszła do mego pokoju panna młodsza (a ta szelma—jakem później zmiarkowała—cały czas niby szpieg chodziła za nami)—i mówi, że mnie

Orczykowa prosi do siebie.—Nieco wystraszona zeszłam do jej pokoju, aby się z nią powitać, a ona przyjęła mnie bardzo zimno, nie powiedziała nawet *dzień dobry* ani usiąść prosiła, tylko powiada:

— „Proszę panią—oto pensya trzymiesięczna z góry. Pani natychmiast dom mój opuści. Konie czekają. Żegnam.“

— Taka była jej przemowa. Jakby mi kto dał po pysku. Zrozumiałam wszystko; zrozumiałam, że się teraz dla mnie zacznie pieskie życie albo też Stach się ze mną ożeni.—Wzięłam pieniądze; ukłoniłam się starej wiedźmie—i pojechałam na stacyę; ale po drodze zatrzymałam się w miasteczku i kazałam woźnicy jechać z powrotem do domu. Stanęłam w jednej oberży i napisałam do Stacha, że tak a tak, żeby zaraz przyjeżdżał i żeby się żenił. List wysłałam przez umyślnego—i czekałam na chłopa do rana; sam drań nie przyjechał, ale mi napisał list, że teraz żenić się nie może, bo jeszcze szkół nie skończył i że matka nie pozwoli; że chciałby mi jakoś wynagrodzić krzywdę, ale właśnie przegrał pieniądze w karty, więc nic mi nie może przysłać, ale jest w Warszawie jeden kolega, co mu dużo winien, więc mi daje do niego list, żebym sobie odebrała.—A list do niego był taki: Mój kochany Ignasiu! Bądź łaskaw sumę 25 R., którą mi się należy od ciebie, wręczyć pannie takiej a takiej!!—Tak ci mię złodziej ocenił. Byłam dla niego warta 25 R.! Dla czego nie Rubla? Są i takie...—Kanalia! powiedziałam sobie i pojechałam do Warszawy. Jedno tylko wiedziałam: nigdzie już mię nie przyjmą za nauczycielkę! Przyjechałam do Warszawy, jak błędna owca. Starych znajomych lękałam się okrutnie—wstyd mi

ich było i po prostu nie miałam tu nikogo. Pomyślałam więc sobie, że pójdę do tego Ignasia. Poszłam, był to bardzo wesoły chłopiec, ale zupełnie goły—i przytem klął się, że winien Stachowi tylko 10 R., nie 25, ale i tego mi nie zwrócił; sam jeszcze ode mnie pożyczył, ale za to wskazał mi drogę życia i zaznajomił mię z całą paczką swoich znajomych; między niemi było kilku bardzo bogatych. Ale raz się zdarzyło, że mię Ignaś posłał do hotelu, do swego znajomego ze wsi, a to był jeden z tamtych stron—i nawet krewny Orczyków.—Com się najadła wstydu, to pan nie ma pojęcia! Chciałam się otruć, alem się zapoznała wtedy z jedną starszą panią, która miała bardzo ładny salon i *chambres séparées;* u niej zamieszkałam i od tego czasu... Niech się pan nie pyta! Pijaństwo, rozpusta, zbydlęcenie, obrzydliwość—co pan tylko chce—siedem grzechów głównych i siedemdziesiąt siedem dodatkowych—waliło się na mnie, zalewało mi usta, oczy, całą duszę—i żyłam w takiej ohydzie, w takiej okropności, w takim upadku, w otoczeniu ludzi tak podłych i nikczemnych i głupich—śród kobiet tak bezecnych, tak bezmyślnych, tak trywialnych—żem sama sobą gardziła, nienawidziłam siebie.

Niech pan nie sądzi, że te kobiety czuły się nieszczęśliwe; owszem były bardzo zadowolone, a każdej ambicyę stanowiło mieć jaknajwiększą liczbę amatorów. To też były rumiane, wesołe, dobrze jadły i dobrze piły. Ja tylko jedna czułam się nie na swojem miejscu; wiecznie w niezgodzie sama ze sobą—plułam sama w swoją własną duszę, plułam nieustannie, i myślałam ciągle: Kto mnie wybawi, kto mnie stąd wyciągnie? Ale nikt się nie zjawiał, nikt mnię nie chciał ocalić. W plugastwie żyłam,

w kale, w bezeceństwie... Czem ja jestem? czem jestem? Boże, Boże! Niech zginę, niech przepadnę, ale nie dajcie mi już żyć tak dłużej!... A, a, a!...

I rozpłakała się strasznym, histerycznym, ochrypłym i brzydkim płaczem!

Nie będę wspominał, jak w czasie całej przemowy oczy jej pałały; jak to wstawała z krzesła, to znów siadała; jak—ni z tąd ni z owąd—zaczynała szybko kroczyć po mojej pracowni; jak nagle rękami ściskała kolana albo znów poruszała ramionami, jakby robiąc ćwiczenia gimnastyczne; a te jej westchnienia, łkania, krzyki: *ach* i *och!* albo zgoła trywialne powiedzenia w języku wielkoruskim—wszystko to mnie samego denerwowało tak, że i mnie się udzielała ta histerya.

Cóż miałem robić? Zapisałem jej mleko, żelazo, spokój, życie regularne, powstrzymanie się od wszelkiego grzechu, wyjazd do Włoch i tym podobne środki, wymagające dużo pieniędzy. Nic innego dla niej uczynić nie mogłem. Nie mam zamiaru się chwalić, ale dałem jej dziesięć rubli. Z radości pocałowała mię w rękę za tę podwójną bezinteresowność.

Pod wieczór odwiedziłem panią Orczykową, która od paru tygodni była w Warszawie. Jakem się dowiedział, bawi tu specyalnie dla swojej córki Emilii, która za mąż wychodzi. — „Za kogo, jeżeli wolno zapytać?“ — „Za naszego sąsiada, pana Stanisława Drzewieckiego.“ — „Czy być może?“ zawołałem w zdumieniu, podsycony dzisiejszą rozmową. — „I coż ma znaczyć to pańskie: czy być może??“, rzekła czcigodna matrona, niemniej zdziwiona. — „Osobiście nic, ale czy pani zna historyę tej... — i całą rzecz jej powiedziałem. — „I coż to mię

obchodzi? Swawola młodzieńcza z jakąś ladacznicą! Pan Stanisław! Toż to najporządniejszy człowiek na świecie! A co za gospodarz, co za obywatel! Jakże w powiecie naszym szanowany! Wybitny działacz, szlachetne serce“!

Taka była opinia ludzi uczciwych i zacnych matron. W każdym razie pani Orczykowa oceniała prawdę o tyle, o ile ta jej przynosiła korzyść; z chwilą, kiedy korzyść znikała — prawda traciła walor. Zdaje mi się, że zawsze i wszędzie jest ten a nie inny stosunek społeczeństwa do prawdy. W takiem społeczeństwie niemasz ratunku dla nieszczęśliwych, jak moja pacyentka.

— Pozwól sobie, drogi doktorze, powiedzieć, że twoja chora — nie wiem, jak się nazywała — sama sobie jest winna. (Tak mówił Okolicz, który już zakończył swoją rolę mistrza ceremonii, gdyż byliśmy już po kolacyi i sączyliśmy teraz różnobarwne likiery).

— Jak to, sama sobie winna? Chyba rozumiesz, że są takie momenty w życiu kobiety, kiedy...

— Zapewne. Wiem, co doktór chce powiedzieć. Owszem, mogą być momenty, kiedy... ale po co z tego robić wielki dramat? Czyż to mało jest panien, co miały w życiu taki moment, kiedy... a tymczasem spokojnie za mąż sobie wychodzą i bywają najlepszemi żonami i matkami! Więc twoja bezimienna ofiara — to była poprostu niedołężna istota, która w jednej chwili runęła z góry na dół! Jedno głupstwo pozbawiło ją równowagi. Mojem zdaniem, powinna była całą tę sprawę traktować figlarniej, a zachowałaby humor i dobrą cerę. Tymczasem co? Rozchorowała się na blednicę — rozpacza bez końca—i jęczy, jak w tragedyach Sofoklesa: Aa, aa!— Sam znałem jedną Emilię, która... Później wam o tem

opowiem, a tymczasem zwrócę uwagę na jeszcze jedno. Oto doktór szanowny tak surowo sądzi pana Stanisława, ale samemu sobie przebaczył zupełnie taki sam grzech z tą panią z nad Narwi...

— No, tak — ale to zupełnie co innego....

— Co innego właśnie przeto, że to była osoba mądra i nie dała się tak z miejsca w dół strącić, ale znalazła sobie gapia, który zjadał nadgryzione czereśnie... A ta Zosia tajemnicza, którą Dantyszek tak czarodziejsko uwiódł i jeszcze widzi w tem łaskę przeznaczenia? Co się z nią dzieje? Prawda, sam się przyznał, że dwa lub trzy tygodnie myślał nad tem: ale ja sądzę, że poczciwa Zosia również jakiegoś barana uszczęśliwiła i żyje z nim w cnotliwym grzechu.

— Mój drogi — rzekł Dantyszek — zapominasz, że tu nie moja wola grała rolę. Ja wogóle nie operuję wolą własną; okoliczności mną kierują — i one mi nasyłają dobro i zło. Tak się stało i tutaj. „Był to w piekle dramat niebiański!“ Jeżeli zawiniłem, to mi los oszczędził możliwości pokuty.

— Błogosławiony los! — zawołał Okolicz. — Widzę, że nigdy żaden z was nie doszedł do tej doskonałości, jaką ja zdobyłem, co prawda, raz jeden w życiu! A doskonałość polegała na tem, że stanąłem sam wobec siebie, jako sędzia surowy i nieubłagany.

— Czy to było z Emilią?

— Nie, to było z Amelią! Prawdziwie mógłem sobie powiedzieć: *Occupe toi d'Amélie!* Wiąc naprzód wam powiem o Amelii, a potem o Emilii. Każda z tych historyi jest odmienna. W pierwszej występuję, jako człowiek wysoce moralny, mąż cnotliwy, choć cnoty swej nieco żałujący, sędzia sam nad sobą. W drugiej, przeciwnie, jestem świnią dyskretną, *cochon discret;* tu trzymam się zasady, która poucza: — Jeżeliś widział koniec bucika kobiety — milcz o tem, jak grób! Tak mówi mędrzec. A cóż dopiero, jeżeliś widział o wiele więcej nad bucik! — Tak tedy, moi mili, obnażam przed wami duszę swoją — i w całej nędzy swej ją wam pokazuję. Moi drodzy! Działo się to *Louis d'oro regnante.* Miałem wtedy jeszcze dużo, dużo gotówki — i życia

używałem szeroko. Byłem owymi czasy w serdecznej przyjaźni z sąsiadem swoim, którego nazwijmy Feliks. Był to wyborny człowiek, kochałem też go bardzo: zresztą skończony cymbał! Z zawodu był przeważnie hodowcą krów i wyrabiał doskonałe mleko: należy mu to bezwarunkowo przyznać. *Suum cuique.* — Tem właśnie mlekiem wykarmił cudowną kobietę, żonę swoją Amelię, która pasowała do niego, jak kwiatek do kożucha. Jakim sposobem nastąpiło owo połączenie hipopotama z gołębicą — to pozostanie wieczną zagadką. Sam Feliks był to drab ciężki, surowy, poczciwy i przeraźliwie nudny; żona jego, przeciwnie, była żywa, jak iskra, bardzo niespokojna i nieco gwałtowna: w złości wyglądała bardzo ładnie i lubiła tłuc lampy oraz inne przedmioty. Nie można powiedzieć, żeby Feliks był z Amelką szczęśliwy: owszem, miał z nią dużo strapienia. Powiedziałbym, że w tem stadle mąż wyobrażał klasycyzm: miał ruchy powolne, mierzone, spokojne, z góry przewidziane, pozbawione wszelkiej niespodzianki; można było z góry odgadnąć, o każdej porze dnia i nocy, co ten człowiek zrobi; przeciwnie Amelia była wcieleniem romantyzmu; co mówię? była to *modernité dernier cri!* Jej myśli, uczucia, marzenia, pragnienia — znajdowały się w nieustannem *saltomortale* — były rozwichrzone i nieobliczalne i nigdy nie wiedziałeś, gdzie w jej zdaniu jest podmiot, a gdzie orzeczenie. Mowa jej nie była nigdy: Tak, tak! Nie, nie!—jak żąda ewangelia, ale właśnie tak—nie, nie—tak! Jak powiada przysłowie hiszpańskie: Między kobiece *tak* i *nie* — koniec igły nie wejdzie! Owóż ta gołębica kapryśna, która co pięć minut była zupełnie inną kobietą, zmuszona żyć z człowiekiem

równomiernym, jak zegar, a który przenigdy nie był *une machine à surprises;* od którego więc drogie dziecko żadnej rewelacyi nie oczekiwało: — owóż ta słodka, ognista, pół-szalona Amelia — niewątpliwie oczekiwała na jakiegoś królewicza z bajki, który ją z pod straży tego smoka-męża wybawi i uniesie gdzieś na wyspy Hesperyjskie. — Marzyłem chwilami, że ja to właśnie będę tym królewiczem, ale dwie przyczyny mię powstrzymały.

Ponieważ odbywam tu spowiedź publiczną swoich grzechów, przeto wyznam, że pierwsza z tych przyczyn była szelmowska, ale druga była zupełnie zgodna z zasadami najsurowszej cnoty. Przyczyna szelmowska była taka: skoro tylko mi przyszła myśl porwania Amelii, co nie byłoby trudne, bom nieraz o tem z nią na żarty rozmawiał, natychmiast budziła się we mnie myśl druga: „Gdy już to cudowne zjawisko stanie na wyspach Hesperyjskich, dokąd ją odesłać w parę tygodni potem?“ Owóż nie znałem dalszego adresu — i to mię wstrzymało. Z drugiej strony uważałem sprawę tak: Feliksa znam od kolebki; sąsiadowaliśmy ze sobą o miedzę; kochałem go, jak brata, co prawda — brata nieco kalekiego na umyśle, ale bądź jak bądź — brata. Czy wolno mi rodzonego brata zrobić rogaczem? Cała moja dusza protestowała przeciw tej zbrodni. Podziwiajcie tedy moją cnotę bezgraniczną. Chociaż mogłem z Amelii uczynić swoją kochankę, uszanowałem honor przyjaciela — i myśl o tem, jako podszepty dyabła — odpychałem wolą potężną i surową cnotą. Przezwyciężyłem siebie, choć, o ile mogłem zauważyć, Amelia była z tego niezadowolona. Pożycie z Feliksem stało się dla niej męczarnią nudy, ale ja byłem niewzruszony. Jednakże było w przeznacze-

niach Feliksa, że go Amelia porzuci. Jakoż w rok może po tem niedoszłem porwaniu przezemnie cudzej żony— zjawił się w powiecie stary kolega i sąsiad nasz, Leon T., malarz z zawodu, który przepuścił do ostatniego centa szczupły spadek po rodzicach — i wrócił na ojczystą ziemię goły, jak orzeszek i wyzuty z rodowej trzywłókowej posiadłości. Feliks dał mu u siebie przytułek; nasz artysta zaś zaczął od malowania krajobrazów, a skończył na malowaniu gospodyni. Zresztą pobyt jego w domu Feliksa nie trwał dłużej, nad trzy dni. Pewnego dnia, kiedy Feliks wyjechał do miasta w interesie swego mleka, stało się, co się oddawna stać musiało. Może nawet nieraz w stosunku do innych panów już to bywało, ale jakoś nikt o tem nie wiedział: widać, że obie strony szanowały ustrój społeczny. Jednakże Leon był opętany zasadą prawdy — i z tego wynikły różne fatalne historye. Kiedy Feliks wrócił do domu, Leon mu powiada wręcz: — Feliksie, słuchaj mego wyznania. Nie chcę cię oszukiwać. Ożeniłem się z Amelką — i teraz już ona do mnie należy. — Możecie sobie wyobrazić, jaką awanturę zrobił nasz hipopotam. Oczywiście natychmiast kazał konie zaprzęgać — i wygnał precz żonę wiarołomną wraz z gachem. Jakem się później dowiedział, Amelka wcale z tego zadowoloną nie była, sądziła bowiem, że można pogodzić spokój domowy pod dachem mężowskim i tajemniczy romans z kochankiem. Owóż Leon nie uszanował tajemnicy; wszystko wypaplał, a z tego wynikło naprzód, że mąż ich oboje precz wygnał z domu, a powtóre groziła im nędza, bo Leon był bez grosza, a moja gołąbka również środków żadnych nie miała, gdyż mężowi swemu nie wniosła nic, a w okolicznościach, o których

mówię, niepodobna było wchodzić z rozjuszonym Feliksem w układy finansowe. Posiadała tylko nieco oszczędności, które nie wynosiły więcej nad paręset rubli. Zabrała tedy swą pończoszkę — i na bryczce razem z Leonem odjechała do najbliższego większego miasta, a potem do Warszawy. Tu jakiś czas miodowo przepędzili parę tygodni, choć, o ile wiem, prędko pomiędzy nimi zrodziły się kwasy, zarówno na tle nieco gwałtownego temperamentu Amelki, jako też i na tle nędzy, która już się zjawiła u nich, gdyż paręset rubli w ciągu dziesięciu dni rozpłynęło się, jak woda. — Ponieważ zamierzałem mówić o sobie całą prawdę, tylko prawdę, choćby najbardziej gorzką — przeto wam wyznam, że gdym się dowiedział o porwaniu Amelii przez Leona — moja pierwsza myśl była taka: — A to dureń ze mnie! Obcemu człowiekowi pozwolić na porwanie takiego kąska! Czyż to nie mogłem, nie powinienem był być ja?...“ Miałem taką szelmowską zgryzotę; to też wyobraźcie sobie moje zdumienie, gdy pewnego razu Amelia z Leonem najbezczelniej do mnie zajeżdża i powiada, że ma ważną sprawę. — Poprosiłem ją do swego gabinetu; Leon zatrzymał się w sąsiednim pokoju. Amelia zaś mi powiedziała, że spotkało ją razem wielkie szczęście i nieszczęście; że mianowicie znalazła człowieka, którego kocha (to jest szczęście!), ale że ten człowiek jest goły (to jest nieszczęście!); że nie mają z czego żyć, ale że Leon się wyrobi i będzie miał duże dochody; że męża nie chce prosić o nic, bo się gniewa na niego i on też ma do niej żal i pretensyę: że się rozwodzi, że Leon się z nią żeni— i wszystko będzie dobrze — i żebym im dopomógł (stary

przyjaciel!) i żebym pożyczył jakie tysiąc rubli na urządzenie mieszkania i pracowni.

I rozpłakało się biedactwo, a wyglądała tak ponętnie w swojej niebieskiej sukience i w jakimś osobliwym jasnym kapeluszu, na którym kwitły wiśnie czerwone i siedział biały gołąbek — że miałem chętkę porwać ją w ramiona, posadzić na kolana i ucałować z całej duszy. I znów zacząłem żałować niepopełnionego grzechu, a zaprawdę, mówię wam, we wspomnieniu grzech niepopełniony boli więcej, niż grzech popełniony! — „Czemużem był cnotliwy? Żali jestem Józef?“ — tak mówiłem sobie w duszy i gniewałem się sam na siebie. Przecież ja byłbym dyskretny, nie powiedziałbym nic Feliksowi, nie narażałbym biednej kobiety na wstyd, nędzę, rozłąkę z domem, z małżonkiem i dziećmi. Gdyż — nie wiem, czy wam o tem mówiłem — Amelia miała dwoje dzieci. — Patrzyła na mnie swojem pytającem, szafirowem okiem, a cała jej filigranowa postać zdawała się mówić:—Wiem, że ty jesteś szlachetny — i że mnie uratujesz! — Ale mnie naraz ogarnęły żale, że ten skarb w inne ręce się dostał. Duch zemsty mnie opanował i przybrał, kanalia, maskę oburzonej cnoty.

— Jakto, pani opuszcza męża, dom, dzieci; z obcym człowiekiem z domu pani ucieka; żyje pani w związkach nielegalnych — i przychodzi pani do mnie o pomoc? Feliks jest moim przyjacielem od lat dziecinnych; kocham go, jak rodzonego brata — a pani swoją zdradą go shańbiła. Czy tak postępuje uczciwa kobieta — żona, matka? Czy nie słuszna to dla pani kara, że się poniewierasz w nędzy i wstydzie? Wracaj do męża, padnij przed nim na kolana, błagaj go o przebaczenie, pamiętaj o dzie-

ciach.... Nie, pani, ja nie mogę popierać tak cynicznego zachowania się, nie mogę popierać grzechu i rozpusty... Nic pani dać nie mogę!

Tak plotłem trzy po trzy i sam upajałem się własną cnotą i własną wymową. Poczem dodałem:

— Ponieważ jesteś pani w nędzy, dam jej sto rubli na elementarne potrzeby, ale to dzieje się po raz pierwszy i ostatni.

Tu moja laleczka nanowo się rozpłakała:

— O, ja nieszczęśliwa! To niech już pan da choć te sto rubli.

Zaraz też uczyniłem, jak prosiła — i surowy, zimny, spokojny — jak senator rzymski — pożegnałem ją z godnością.

Odjechali, a ja w dalszym ciągu rozmyślałem nad swoim niepopełnionym grzechem i nad tą niedopitą czarą najsłodszego, upajającego trunku — i mówiłem sobie: — Jaki też to osieł ze mnie! — Ale potem przychodziła mi refleksya, że jednak zachowałem się wobec Feliksa, jak prawdziwy przyjaciel i człowiek honoru; i dumny byłem znowu z tego, żem taką nauczkę moralną wygłosił tej damie i żem jej zrobił przykrość odmową. I raz jeszcze myśli moje się zmieniły: bo rzeczywiście cała moja surowość względem tej porcelanki opierała się na zazdrości, że to nie ja piłem z tych źródeł Kastalskich, tylko inny. I powiedziałem sobie: — *Kakoj że ja odnako podlec!*

Tak się zakończyła moja historya z Amelią, ale ostatecznie kazałem Leonowi wypłacić na mój rachunek tysiąc rubli — i na Feliksie wymogłem, że swojej ex-żonie pewne alimenta posyłał. — Rozważywszy całą tę

sprawę, przyznajcie, żem postępował w duchu najsurowszej cnoty, zwłaszcza, żem był na wielkie pokusy narażony. Jeżelim kiedy żałował, żem był zbyt cnotliwy — to jednak miło mi stwierdzić, żem nie zdradził przyjaciela. Przyznacie mi też, żem nie żałował siebie i wszędzie, gdzie tylko jakie szelmowstwo w sobie zauważyłem, natychmiast je zaznaczałem. Słowem — pozwólcie, że samemu sobie złożę hołd i powiem: Chłopcze, raz jeden w życiu — choć przypadkowo — byłeś cnotliwy!

— Niech żyje cnota! — wołał Fredzio.— Nie sądź, szanowny kolego, że tylko ty byłeś cnotliwy. I ja miałem zdarzenie podobne — i ja cierpiałem nad myślą, że mógłbym uwieść żonę przyjaciela — ale za swoją cnotę zostałem wynagrodzony. „Bo pomnijcie i zważcie u siebie“, że największą nagrodę zyska ten, kto jest prawdziwie moralny. Pozwólcie tedy, że i ja wam o swojej cnocie opowiem.

— Bardzo proszę! wyraźnie zaznaczyłem, że się to zdarzyło w życiu mojem raz jeden, a po za tem nie pretenduję do nagrody Montyona. Dodam przytem, że dokładnie widziałem w swojej cnocie wszystkie jej maszkary — i że co do jej wartości miałem znaczne powątpiewanie. W mojej cnocie było dużo stron czarnych i tylko świadomość tego faktu sprawia, że w gruncie byłem cnotliwszy od mojej własnej cnoty. — Niechaj tedy Fredzio nie przeciwstawia mnie sobie samemu, przypuszczam bowiem, że był on w stanie ugrząść w błocie cnoty po same uszy.

— Niech Bóg broni! Co za posądzenie? Jako żywo, zawsze po łopatki byłem pogrążony w grzechu. Kłamstwo

było moim bogiem! Ale pozwólcie, że raz jeden w życiu wolno mi było pozwolić sobie na luksus cnoty.

— A więc *absolvo te*. Nic to nie znaczy, że człowiek raz jeden w życiu był cnotliwy: to jest do przebaczenia. A co do kłamstwa, to żadna kobieta mnie nie przewyższy w tej sztuce.

— Zapewne! Ani mnie....

— Panowie — rzekł Dantyszek — trzeba pewien ład wprowadzić w nasze opowiadania. Toć Okolicz miał nam jeszcze opowiedzieć swoją historyę o Emilii. A zatem, prosimy: naprzód mówi Okolicz o tem, jako był *cochon discret*. Potem Fredzio nam opowie o swojej cnocie...

— A potem — dodał Fredzio — opowiem wam o swojem kłamstwie...

— I ja również — przerwał Okolicz — opowiem wam o swojem kłamstwie.

— Zatem notuję: Okolicz — Warecki—Warecki—Okolicz, a potem ja, Dantyszek, zastrzegam sobie historyę o tem, jako byłem *cochon indiscret*. Panowie, gdyby kto chciał między te opowieści wtrącić jaką rzecz *à propos*, jakiś przyczynek z filozofii moralnej naszego przedmiotu, raczy podnieść dwa palce do góry.

— Wybornie! — zawołał pan Wincenty — tak przynajmniej jest *naczalstwo* i *prykaz*.

— A zatem —rzekł Dantyszek — Okolicz rozpoczyna.

— *Słuszaju-s!* Historya o Emilii jest bardzo krótka. Cała jej najpiękniejsza część ukrywa się za kulisami. Działo się to *n* lat temu; byłem w owych czasach na uniwersytecie i w bardzo romantyczny sposób zapoznałem

się z jedną panienką, którą na ulicy zaczepił jakiś półpijany drab, oświadczając jej swe uczucie i robiąc propozycye dość zuchwałe. Panienka, młoda, osiemnastoletnia dziewczyna, duża brunetka, o ognistem, czarnem oku, w sukni czarnej i kapeluszu czarnym — miała jednak w sobie coś tak wyzywającego, że mimowoli przechodnie ku niej spoglądali — niejeden coś w przelocie szepnął, a znalazł się ktoś dość zuchwały, co jej prawił po pijanemu: — Gdzie to idziesz, moja duszko i tak rączo stąpasz nóżką! Pójdź do pałacu ze mną, trzy tylko kroki stąd! — Panie, proszę odejść—mówiło drogie dziewczę— bo zawołam policyi. — Ponieważ jednak nie chciałem do tej sprawy dopuścić sfer urzędowych, sam stanąłem w obronie prześladowanej — a na widok mego kija zuchwały donżuan rychło podał tył i zniknął w bocznej ulicy. Staliśmy na Kruczej, gdzie właśnie mieszkałem, gdyż tylko co wyszedłem z domu; nieznajoma z przedziwnym, czarownym uśmiechem dziękowała mi za obronę przed tą groźną napaścią, ale tak była blada i wystraszona, że ledwie mogła utrzymać się na nogach. Byłem wtedy jeszcze bogatym panem i miałem *garçonnière* elegancką z trzech pokoi, szykownie umeblowanych, złożoną. Poprosiłem panienkę do siebie; ona, pierwiastkowo się nie zgadzała; ponieważ jednak była bardzo wzruszona całem tem zdarzeniem — zaczepką i obroną — uległa moim prośbom, gdyż upewniłem ją, że musi przyjąć jakiś napój pokrzepiający. Przystała na moje rozsądne słowa; ja zaś dałem jej wody selcerskiej z *fine champagne'm*, co jej nagle tak zasmakowało, że zaczęła sobie coraz więcej dolewać łyżeczek tego likworu — i poprostu mówiąc—upiła się dziewczyna. Teraz dopiero zaczęła mi

ogniście dziękować za ratunek jej życia i honoru; ja zaś, że serce mam miękkie, a w cnocie jestem niezbyt twardy—zacząłem tracić przytomność nie mniej, jak ona. Na chwilę tylko przebudziła się w nas obojgu jakaś świadomość: oto sąsiadka moja zasiadła do fortepianu i zaczęła grać serenadę z Fausta.—O, Kasieńko ukochana! Było to niby ostrzeżenie z góry, ale ani Emilia, ani tem bardziej ja—nie zwracaliśmy na nie zbyt długiej uwagi—i gdy wkrótce potem taż sama sąsiadka zaczęła nam grać: „Kwiatki, wyjawcie jej"... i *Casta pura*—klnę się—zapomnieliśmy o wszystkiem—i zginęliśmy oboje. Cnota moja została na fatalny szwank narażona. —Nie będę mówił o tem, co nastąpiło później: nie będę mówił o płaczu Emilki, ani o jej radości, o jej smutku, wyrzutach, jakie mi czyniła i przebaczeniu ostatecznem.—Powiedziała mi o sobie wszystko: była córką jakiegoś urzędnika, miała niewielki posag, w przeszłym roku skończyła pensyę; pracowała teraz sama, przepisując na maszynie i t. d. Wogóle mało mnię to obchodziło, alem słuchał uważnie tego, co mi ze łzami w oczach mówiła.—Widywałem ją nieraz jeszcze u siebie; blizko trzy miesiące trwała nasza znajomość. Była to osóbka z temperamentu bardzo dobra, tkliwa, przywiązana do mnie—i upewniała mnię, że to wszystko z czystej miłości. I ja również kląłem się jej, że ją kocham szalenie—bez granic i t. d.—Nagle jednak przestała u mnie bywać zupełnie—i po jakichś dniach dziesięciu dostałem od niej list, pisany na maszynie, a podznaczony tylko literą *E*, w którym donosi mi, że wychodzi zamąż za Pawła N., żebym się na nią nie gniewał, ale ona wie, że ja bym się z nią nie ożenił, a to bardzo porządny chłopiec i t. d.

Rozumiecie, żem był bardzo szczęśliwy z tego obrotu rzeczy i w myśli błogosławiłem mądrą Emilkę oraz jej wybrańca. Toć znałem doskonale Pawła. Był to młody człowiek, który służył w administracyi kolei żelaznej i miał 900 rub. rocznej pensyi, nie licząc gratyfikacyi i dodatków. Był to chłopiec nieco *bon-vivant* taniego kalibru; to też znał on po większej części kobiety pewnej specyalnej kategoryi. Zdaje się, że Emilka była to pierwsza osoba z lepszego świata, która zwróciła jego uwagę. Chciał życie swoje uregulować, a mojej Emilce bardzo spieszno było wyjść zamąż. Ślub był naznaczony bardzo rychło. I ja też otrzymałem zaproszenie.—Oczywiście byłem na ślubie. Panna młoda ślicznie wyglądała w białej sukni i w białym welonie, szła do ołtarza z czarującym uśmiechem, którym darzyła ludzi na prawo i na lewo: i ja również uśmiechem nader słodkim zostałem obdarzony.

W niejaki czas potem spotkałem się z Pawłem: winszowałem mu ślubów, nowego życia, miodowych miesięcy, młodej, pięknej żony.—Paweł promieniał szczęściem.—Panie, co to za rozkosz taka czysta, niewinna istota! Żałuję, żem się nie ożenił już ze trzy lata temu: mam już tę pensyę, co dzisiaj, od paru lat. To panie jest godzina cudu!

Tak mi mówił rozradowany—i ja z nim się radowałem. Oczywiście milczałem o tem, co mi było wiadome. Zdaje mi się, że dyskrecya była to bezwględnie wskazana. W każdym razie doktorze, widzisz, że nie każda kobieta jest tak niedołężna w życiu, jak twoja pacyentka—i że można wyjść dobrze z każdej sytuacyi, byle tylko mieć przytomność umysłu.

— Dziękujemy bardzo Okoliczowi za jego krótką opowieść, a teraz dajemy głos Fredziowi. Widzę jednak, że mecenas podniósł rękę.

— Tak jest—rzekł Ugronowicz. Proszę o pozwolenie na mały komentarz do tej opowieści.—Gdyby tu były kobiety, niktby zapewne nie ośmielił się opowiadać takich cynicznych historyi. Jest to dowód, że kobieta działa umoralniająco. Zgodzisz się bowiem, cnotliwy Okoliczu, że twoja opowieść, to historya bezwstydna. I nie sądź, że każdy jest tak naiwny, jak twój Paweł. Bywają ludzie bystrzejsi. Przypominam sobie pewną sprawę rozwodową, w której rzecz ta wcale inaczej się przedstawia. Wiem, że Okolicz nie lubi dramatów i świat przedstawia mu się jako farsa, ale niestety na świecie bywają i tragedye. I raz jeszcze powtórzę moje twierdzenie, że widziałem tysiące razy wyższość kobiety nad mężczyzną— i nigdy nie pozwolę sobie przypuścić, że wszystkie kobiety są takie, jak wasze znajome. Chcę więc opowiedzieć pewną sprawę, ale muszę otrzymać pozwolenie Fredzia i całego zgromadzenia, aby zmienić ustanowiony przez Dantyszka porządek.

— Przystajemy! Opowiadaj mecenasie! Twoja cnota jest niedwuznaczna.

— Prowadziłem rozwód pani Zofii przeciw jej mężowi Michałowi. Pewnego dnia zjawił się u mnie sam Michał, który bardzo nie chciał się separować z żoną, nie rozumiejąc poprostu, czego ona od niego żąda. Chciał on mi wytłomaczyć, że nie powinno się tego procesu prowadzić; że to go zupełnie unieszczęśliwia i t. d.—„Jak na spowiedzi powiem panu wszystko, nic nie tając. Bo tak między nami to cały ten rozwód nie jest niczem innem, jeno babską fanaberyą. A naprzód powiem, jak to przyszło do tego małżeństwa.—Kiedy mi się zaczął piąty krzyżyk, obudziła się we mnie wielka tęsknota do spokojnej przystani ogniska domowego. A właśnie wtedy doszedłem do samego dna mojej puścizny—słusznie mówię, puścizny, gdyż worek mój w owym czasie był zupełnie pusty. Póki mogłem, broniłem się od takiego kroku rozpaczliwego, ale przyszła kreska na Matyska. Znalazłem pannę z dobrego domu, mającą renty osiem tysięcy rubli (zamierzyłem żyć skromnie i dotrzymałem słowa). Panna—muszę to przyznać—nie bardzo się kwapiła wyjść za mnie, gdyż miała jakieś

niezatarte rany w sercu (babskie głupstwa: ona go kochała, on jej nie kochał, całe życie złamane). Dopiero gdym na pannę Zofię wypuścił siedem ciotek mądrych i siedem głupich—zgodziła się na to małżeństwo. Nie bardzo mię martwiły te panieńskie ceregiele, bo wierzyłem w swoją praktykę w rzeczach miłosnych. Tu jednak muszę zaznaczyć, trafiła kosa na kamień. Zofia wyszła za mnie, wprost dla spokoju, aby ciotki jej nie dręczyły: „a wyjdź zamąż, a wyjdź-że nareszcie! czy starą panną chcesz zostać, czy co?“—W domu zaprowadziła system pożycia lodowaty. Obowiązki żony spełniała sumiennie, ale bez przejęcia, wprost urzędowo. Zachowywała względem mnie pewien ton wyższości (idealistka! *vous comprenez)*, co ja przyjmowałem na sposób drwiąco poważny. Ostatecznie pocieszałem się jak mogłem. Moja żona zaś zaczęła uprawiać filantropię, zabawiała się nędzą wyjątkową, opiekowała się prostytutkami, które uważała za istoty najnieszczęśliwsze i t. d. Bóg wie, czem się nie zajmowała ta kobieta. Wynalazła sobie np. jakieś zasady *(des principes, ma foi!)*, co niepotrzebnie drażni i źle oddziaływa na trawienie. Oczywiście, nigdym się z nią nie spierał. Prawda! mówiłem jej, choćby dowodziła, że trawa jest niebieska, a niebo—zielone. I otóż właśnie załamałem się na tych zasadach, a przez kogo! nikt nie odgadnie.—Pan mecenas też niewiele o tem wie, zatem go chcę uświadomić.—Pamiętam, była to noc wrześniowa, godzina pierwsza po północy, gdyśmy z żoną wracali od państwa N. karetą, co nas osłaniała od mżącego deszczu. Noc była ciepła, ale drobny, nudny, kroplisty deszczyk sączył się żałośnie, a niebo było szare, chmurne, bezświetlne, poprostu przykre. Ulice były

puste—tu i owdzie zaledwie jakiś zapóźniony przechodzień, osłonięty parasolem, pośpiesznie wracał do domu. Latarnie świeciły mroczno, jak we mgle. Naraz koło jednej bramy żona moja (bo nie ja) ujrzała coś białego, jakąś postać w bieliźnie. Pomimo rozsądnych przełożeń moich, aby jechać wprost do domu, zatrzymała woźnicę. Jakaś kobieta, poprostu w koszuli; w jednej koszuli— dosłownie! stała, albo raczej siedziała, albo raczej skurczona leżała koło bramy. Niewątpliwie sytuacya dziwna, osobliwa, ale po co się taką sprawą zajmować. Moja żona wyszła do tej kobiety i pytała ją, co ma znaczyć to jej zachowanie, ale ta pół-obłąkanym wzrokiem patrzyła na nią:—Ja nie mogłam powiedzieć prawdy! Nie mogłam! A teraz muszę się zabić, o, tem, widzi pani!—i pokazała jej rewolwer.

Osobliwy kostyum: koszula i rewolwer. Koszula była mokra od deszczu. Wyobraź pan sobie, że moja żona, wezwawszy na pomoc stangreta, wprowadziła tę osobę do naszego powozu.—„Jakaś zagadka społeczna!"—mówi do mnie. Przyznam się panu, że nie lubię zagadek społecznych wogóle, a tembardziej o pierwszej po północy. Kobieta była piękna: miała kasztanowate, bujne, rozwiane włosy; oczy ogniste, w tej chwili nieco obłędne—jak to mówią—latające; kształty piękne, obfite, prawie klasyczne, a widziałem ją dobrze, gdyż skutkiem niezręcznego wciągania ją do karety—ujrzałem ją prawie nago. Żona zabrała jej rewolwer, kazała mi zdjąć palto, poczem sama zdjęła płaszcz i okryła tem wszystkiem ową zagadkę społeczną. Posadziła ją koło siebie, a mnie zepchnęła na drugie siedzenie. Naraz światło latarni uderzyło wyraźniej w szyby karety. Mi-

mowoli krzyknąłem: Marta! Coś mi się przypomniało. Ona zaś, półobłąkanym wzrokiem, patrzyła na mnie, wołając: — Michał! — „Masz tobie — pomyślałem sobie— awantura!“ — Istotnie, Zofia w tej chwili jęła mnie badać. — „Ty ją znasz! Co to za kobieta? Patrz, ona sama mówić nie może, jest obłąkana, nieprzytomna, przeziębiona, w gorączce... Trzeba będzie natychmiast posłać po lekarza. Powiedz, co wiesz o niej. — Wiedziałem to i owo, ale oczywiście żonie powiedziałem tylko cząstkę. Znałem ją z towarzystwa, jak wiele innych — i wiem, że właśnie wczoraj odbył się ślub jej z panem Tadeuszem S. Miałem o tem wiadomość i nie rozumiem, co się stało. Tymczasem Marta mówiła jakby do siebie: Ja nie mogłam powiedzieć prawdy! nie mogłam, a teraz muszę się zabić!

Nie będę wam opowiadał, jak tę kobietę wprowadziliśmy do domu, jak szukaliśmy lekarza, jak lekarz kazał się bardzo ostrożnie obchodzić z chorą, ile że jest zagrożona ostrem zapaleniem płuc itd. Nie bardzo mi się chciało — podług życzenia żony — iść do Tadeusza; pytać go o znaczenie całej tej historyi, bom przewidywał niemiłe powikłania. Odkładałem też z dnia na dzień tę sprawę. Tadeusz jednak przed upływem tygodnia wyjechał do Włoch. Żona moja, dowiedziawszy się, sam nie wiem jak, adresu Tadeusza — nie zawahała się do niego napisać, żądając wyjaśnienia tej sprawy. On natychmiast odpisał, że z wielkim żalem wyjaśnień absolutnie dać nie może, gdyż tylko przed Bogiem za swój czyn odpowiada. Uroczysty błazen! Chora była w gorączce i dopiero po dwóch tygodniach jako tako doszła do przytomności. Co te kobiety gadały tam ze sobą — dowiedziałem się dopiero później; ale tu muszę wejść w bliższe osobiste szcze-

góły. — Jestem człowiekiem *par excellence* dyskretnym, ale ponieważ historya Marty dla zbadania sprawy musi być koniecznie odsłonięta — przeto ją opowiem. Moja żona też zna wybornie tę tajemnicę, choć zapatruje się na nią w sposób szczególny, z egzaltacyą w danym razie wcale niewłaściwą. Marta, chociaż bywała przyjmowana w towarzystwie— to ktoś coś gdzieś kiedyś o niej naplotkował tak, że opinia o niej była dość dwuznaczna. — W istocie sekret polegał na tem, że pięć lat temu — ona i ja byliśmy we dwoje na wsi — sami jedni — bardzo zakochani — a był tam lasek. *Ten lasek, ten lasek, ach, te jagody!... Enfin!* żałowaliśmy oboje tego grzechu, który zresztą często się powtarzał, a potem wszystko wróciło do porządku... Rozeszliśmy się — i nigdy już się nie spotkali... Jakim sposobem tajemnica się ujawniła, nie wiem; czy Marta później szukała innych sensacyj — nie wiem. W każdym razie otaczał ją mały zapaszek skandaliku, co ją robiło interesującą, ale też przeszkadzało jej wyjść za mąż. — Nakoniec znalazł się człowiek ryzykowny, Tadeusz, którego znałem z kawiarni, człowiek dosyć zamożny, technik i przemysłowiec. Poznał on Martę w towarzystwie — a ponieważ bardzo mu się podobała — postanowił się z nią ożenić. — I ona miała dla niego sympatyę — i oto z panny rezolutnej i nieraz bezczelnej stała się nagle poprostu bojaźliwą i zawstydzoną. Dalszy ciąg już wiem z opowiadań Marty przez żonę. Tadeusz słyszał i znał plotki, krążące o jego przyszłej. Prosił ją o jedno, aby mu powiedziała prawdę; uprzedził, że jej wszystko przebaczy, aby mu tylko powiedziała prawdę. — Marta nie miała odwagi przyznać się do grzechu. Zaprzeczyła wszystkiemu, skłamała. Miły

Boże, nie dziwię się jej wcale: każdyby skłamał na jej miejscu. Tymczasem, kiedy już państwo młodzi znaleźli się *enfin seuls* — Tadeusz oczywiście odkrył prawdę. Marta nie była *immaculata*. Przypuszczam. I oto, uważ pan, co wymyślił ten uroczysty błazen, ten bałwan trzypiętrowy: jak stała, w koszuli — tak się jej kazał natychmiast wynosić z domu precz — na ulicę i dał jej rewolwer do ręki, aby się zastrzeliła. Surowy sędzia! Błagała go o przebaczenie, ale ten ani chciał słyszeć. Zawzięty kretyn! W gruncie rzeczy drobiazg, przesąd! To się zdarza codziennie, prawie w każdej familii. Nie mógł tego zachować dla siebie — ale musiał skandal zrobić! Teraz pan rozumie położenie Marty, nad którem wielce ubolewałem, ale za cóż ja mam cierpieć? Nikt się nie domyśli, do jakich wniosków doszła moja żona. Nazwała mnie poprostu szubrawcem; powiedziała mi, że moim obowiązkiem jest poprawić grzech młodości i ożenić się z Martą; że obowiązkiem moim jest wyszukać Tadeusza, wyzwać go na pojedynek, zastrzelić go, bo ja wiem! posiekać na drobne kawałki, posolić i posłać do *Jardin des Plantes*. Słyszane to rzeczy? *pour si peu!* Z powodu Marty. Przecież ja o tem dzieciństwie z przed pięciu lat zupełnie zapomniałem i Marty nie znam wcale. Jakże mam wyprawiać hece dla nieznajomej kobiety? Czy jestem Don Kiszot? Ale żona moja tylko jedno ma na myśli: separacyę! A tak mi było dobrze na świecie: ustatkowałem się, żyłem skromnie, oszczędnie, bez ekscesów; czasem wincik, kieliszek węgrzyna, polowańko, albo *partie de plaisir*—i naraz ten cały spokój i dobrobyt pęka. I to wszystko cierpieć ma niewinnie—na miłość Boga—dla grymasów Tadeusza i dla *principes* mojej

żony. Czy to nie zawiele? Panie mecenasie, ty, który, stoisz na straży prawdy i sprawiedliwości, ty nie dopuścisz, aby ten rozwód doszedł do skutku". Tak to mi gadał p. Michał, a ja wam przedstawiam sąd, kto tu postępował szlachetniej i czyściej—mężczyzna, czy kobieta?

— Mecenasie, w twojem oświetleniu zawsze kobieta jest istotą wyższą i doskonalszą. Znany jesteś jako *très galant*. Ale w sprawie, o której mówimy, tak się mięsza zło i dobro, że niewiadomo nigdy, gdzie się jedno kończy, a zaczyna drugie. Stańmy raczej poza dobrem a złem.—Ja tu—ponieważ mam obecnie prawo głosu—przemawiać będę w stylu Nietzschego. Czy to było zło czy dobro nie wiem; w każdym razie uprawiałem dobro, aby w końcu czynić zło, albo raczej zyskać wyższe dobro. Z tej formuły wynika, że zło jest wyższem dobrem, albo wyższe dobro—złem, jak wolicie. W każdym razie idę za Nietzschem, który mówi: Nie przychodzę uczyć was bliźniego; uczę was przyjaciela.—Moja opowieść opiewa kult przyjaźni—i za ten kult zostałem wynagrodzony miłością.—Jest przytem w tej opowieści pewien punkt dla mnie nieco drażliwy: oto muszę tu o samym sobie mówić z nazbyt wielkiemi pochwałami; muszę samego siebie wynieść ponad wielu innych ludzi, co dla mojej przyrodzonej skromności jest nad wyraz przykre, a jednak proszę o pozwolenie, aby mógł sam o sobie hymn wyśpiewać, bo inaczej nic z opowiadania.

— Pozwolono! Możesz koloryzować, ile ci się spodoba.

— *Merci!* Owóż było to tak. Miałem niegdyś przyjaciela, imieniem, dajmy na to, Feliks...

— Przepraszam. Feliks już był. Nie powtarzać imienia.

— Zatem *Infelix!...*

— Niech będzie. Przyjaciel mój, Infelix, nie był to bynajmniej taki cymbał, jak Feliks Okolicza. Przeciwnie był to człowiek możliwie doskonały: bardzo przystojny, silny, zdrów, inteligentny, zamożny, zdolny, pracowity... Nie wiem rzeczywiście, coby mu można było zarzucić. Z zawodu był chemikiem, porobił w tej dziedzinie pewne wynalazki, fabrykował sztuczne indygo, czy coś podobnego—i dłuższy czas przebywał w Paryżu, gdzie zajmowano się wielce jego doktrynami.—Lat temu siedem—osiem przybył do Warszawy, z młodą żoną—Podolanką, śliczną mołodycą, na pół wesołą, na pół tęskną, o włosach płowych, jak pszenica stepowa, o oczach szafirowych, jak niebo podolskie, a mówiła śpiewnie, kołysząco, słodko tak, że każdego upajała swą osobą. Wzrostu była średniego, ale siły żywotnej było w niej nie mało i kształty jej harmonijne a gibkie, niby wężowe, czyniły z niej wcielenie pokusy. Była to para ludzi szczęśliwych—i zdawałoby się, że między nimi musi być tak silny związek ciał i dusz, że nic mu nie wyrówna, że nic go nie naruszy, że—słowem—widok ich obojga budził wiarę w małżeńswa—i nawet zachęcał do tego kroku. Było u nich dobrze, miło, zacisznie. Jakiemś serdecznem ciepłem oddychałeś w ich atmosferze. Powiem wam prawdę kochałem zarówno Infelixa, jak i jego żonę. Na imię jej było

Natalka—i za pozwoleniem męża byliśmy ze sobą na *ty*. Bardzo często się zdarza w małżeństwach, że lubisz wielce pana i również lubisz wielce albo i więcej panią— każde z osobna, ale nie znosisz ich obojga razem. Tu przeciwnie — właśnie oboje stanowili prawdziwą symfonię, którą się upajałeś. Ponieważ miałem w owym czasie dużo zmartwień, często bywałem u nich wprost dla odzyskania rówonwagi ducha. Osobliwa melancholia, która mnie wówczas dręczyła (zerwałem wtedy z Cezaryną) — poruszyła we mnie liryczną nutę zwierzeń i wyznań. Natalka łzami gorącemi zalewała się nad moim losem, a gdym jej zaczął mówić, że największem szczęściem byłoby dla mnie znaleźć taką kobietę, jak ona, jęła mnie zapewniać, że mi ją znajdzie. Istotnie, pracowaliśmy długo i żarliwie nad znalezieniem drugiej Natalki; ale nie mogliśmy jej znaleźć. Okazało się, że tylko jedna jest na świecie Natalka i że drugiej nie masz, nie było i nie będzie. Był to unikat nad unikaty. I stał się wtedy fakt mnie samemu dotychczas nie pojęty, gdyż niczem nie starałem się o ten *coup de théatre*. Natalka tak gorąco zajęła się ideą wybawienia mnie z rozpaczy, że postanowiła się wyłącznie tej sprawie poświęcić i w końcu sama mi się ofiarowała być mojem pocieszeniem i ratunkiem... — Pewnego wieczoru wyznała mi, że mnie od dawna kocha; ja widziałem w jej sentymencie dużo przyjaźni, tkliwości, słodyczy, ale nigdy nie przypuszczałem, żeby Natalka była tak opanowana tem uczuciem. Byłem zapewne tak zaabsorbowany historyą Cezaryny, że mi nawet na myśl nic podobnego nie przyszło. Byłem przyzwyczajony, że ja to kobiety atakowałem i zdobywałem, ale tego rodzaju zdarzenie miałem pierwszy raz w życiu i przytem wa-

runki były dla mnie nadzwyczaj nieodpowiednie. Wyznaję, żem zbyt kochał męża Natalki, aby mu poza jego oczami knuć jakiekolwiek zdrady. Poprostu myśl moja odpychała ze wstrętem podobną możliwość. Nie! wszędzie— zawsze, z każdym innym, ale nie z nim. Okazuje się, że kobieta jest przedmiotem, którego nigdy nie zgłębisz dostatecznie, nigdy nie odgadniesz i nigdy nie ogarniesz. Pomyślcie, Natalka — osoba, mająca najmilszego w świecie męża, otoczona tłumem wielbicieli — wybiera sobie naraz mnie, który przecież niczem osobliwem się nie odznaczam. Zapewne jestem przystojny, ale są ładniejsi; jestem *bien fait,* ale są zgrabniejsi; jestem nie głupi, ale są mędrsi. Miałem w życiu niemało *bonnes fortunes,* ale to inny rodzaj, nie taki. Podziwiajcie moją skromność i uważajcie, jak sam siebie nizko cenię, choć mógłbym wyżej podnieść chwałę moich przymiotów. Ale nic to jeszcze moja skromność; jako poeci marzą o nieskalanej dziewicy *(virgo immaculata!)* — tak ja mogę powiedzieć o sobie, że byłem w tej sprawie *cavalerus immaculatus.* Im bardziej się zastanawiałem nad postępowaniem Natalki, tem bardziej dochodziłem do wniosku, że ją opętał jakiś demon: *idée fixe.* Zapewne, źródło pierwsze jej sentymentu była to moja melancholia z powodu Cezaryny (historyę tę opowiem w przyszłości). Współczucie i litość u osób wrażliwych są niebezpieczną drogą do zwyrodnienia w sentyment wcale inny. — Kobiety lubią wszelką litość, miłosierdzie i tym podobne cnoty, które uprawiają chętnie, nie bacząc, że jednocześnie mogą kogoś zranić dotkliwie. Moją Natalkę nagle opanowała jakaś namiętna i nieopętana żądza, aby mnie ocalić od zguby i nieszczęścia — i postanowiła się dla mnie po-

święcić duszą i ciałem. Byłem zaskoczony w sposób dziwny, gdyż — pomimo skromności i cnotliwości, któremi się odznaczam — miłość tak pięknej kobiety, zapach szczególny jej włosów i całej postaci, jej dziwne, jakby z poza niej samej płynące tajemnicze, łechcące, pieszczotliwe szepty i słowa — wszystko to działało na mnie, jak wino szampańskie najlepszej marki.

Czym ją kochał? nie wiem. Raczej kochałem ją jak przyjaciółkę, żonę przyjaciela; czy ja wiem, jak to określić. To była półmiłość, ćwierćmiłość, okołomiłość. A jednak byłem oszołomiony, byłem odurzony specyficznym promieniem tego jej uczucia—i wyznaję—zmysły moje grać zaczęły.—Mężczyzno, imię twoje słabość!—Co czynić? jak się zachować, żeby nie utracić przyjaciela i przyjaciółki?—Razu pewnego Natalka wprost mi powiedziała, że bezemnie żyć nie może i że gotowa jest na wszystko. Powiedziałem jej, że dopóki jest żoną mego przyjaciela, dopóty między nami tylko takie stosunki trwać będą, jak między bratem a siostrą. Zbyt kochałem jej męża, abym go w ten sposób hańbił. Kobieta wpadła w jakiś płacz spazmatyczny—zaczęła mi wygrażać, że się na mnie zemści; że się otruje—Bóg wie nieco! A potem, rozważcie tylko tę dziwną sytuacyę! potem rzuciła się przedemną na kolana i zaczęła całować moje ręce. Przyznam się wam, że w rozmaitych bywałem położeniach, ale to było mi dziwnie przykre i bolesne. Błagać mię zaczęła, abym się nad nią ulitował, jak ona ulitowała się nademną. Przedewszystkiem poprosiłem ją, aby wstała, a raczej sam ją podniosłem i posadziłem na krześle—i sam przed nią na kolana padłem, uważając, że jest to dla mnie pozycya właściwsza. Ja teraz począłem cało-

wać jej ręce—ja błagałem ją, ale nie w tym duchu, jak ona pragnęła—tylko w duchu, że tak powiem, cnoty. Przekładałem jej, żeby się uspokoiła; żeby nie zapominała o swojej czci, dobrem imieniu i t. d. Słowem mówiłem jej rzeczy, w które wcale nie wierzyłem, ale które były w tej okoliczności stosowne. Przyznajcie, że był to z mojej strony dowód niezwykłej siły moralnej. Ona niby to zgadzała się ze mną, niby to mi przeczyła; dość, żem powtórzył raz jeszcze swoje słowa: Dopóki będziesz żoną mego przyjaciela—nie mogę być twoim kochankiem. Ponieważ jednak czułem, że nie długo wytrzymam w takiej zbyt dusznej cnocie—wyjechałem pewnego dnia do Paryża—i dopiero po czterech miesiącach powróciłem. Prócz kartek z widoczkami żadnej korespondencyi z Natalką nie prowadziłem. Od niej też miewałem od czasu do czasu dwa słowa. Sądziłem, że się uspokoiła, tymczasem uważcie, co to znaczy kobieta opętana. Na drugi lub trzeci dzień po moim przyjeździe—otrzymałem rozkaz, abym się natychmiast stawił tam a tam. Podpis: Natalka. Oczywiście nie omieszkałem tego uczynić. Byłem zdumiony, że nie u męża przebywa, ale odnajmuje pokój samodzielny. Była przytem wielce blada, znużona długą walką wewnętrzną, omdlała niejako i woli pozbawiona. Była widocznie przetrawiona smutkiem i melancholią.— Gdym się ją pytał o trzynaście spraw jednocześnie, powiedziała mi:—Już nie jestem żoną twego przyjaciela. Jestem rozwiedziona. Czyń, coś zapowiedział.—Tu zasłona spada. Po ukończeniu sztuki—apoteoza. Niebo się otwiera. Cnota zostaje wynagrodzoną. Mogłem powiedzieć o sobie jak Sulamita: Jestem jako dziewica w

dzień ślubu. Nic nie wiem, niczego się nie spodziewam, ale na wszystko jestem przygotowany!

— A zatem?...

— No, i cóż miałem robić? skromnie odparł Warecki. Żałowałem Infelixa, ale musiałem przecież zobowiązania wypełnić. Honor mi to nakazywał.

— Oby każdy tak służył sprawom honoru, jak ty!—Teraz zaś, gdyś tak piękną odebrał nagrodę cnoty, powiedz o swojem kłamstwie, gdyż taki jest porządek ustanowiony przez Dantyszka.

— Wybaczcie, wolę się wstrzymać i po tem pięknem wspomnieniu nie przechodzić od razu do innej— nieco trywialnej opowieści. Niech Okolicz mówi.

— Nie — i ja poczekam. Moja historya zapewne stanowi pendant do powieści Fredzia. Wolę naprzód wysłuchać jego przygody, a potem swoją opowiem, kto weźmie rekord kłamstwa.

— Niech więc mówi Dantyszek.

— Zatem opowiadaj swe grzechy, *cochon indiscret!*

— Istotnie, zrekł Dantyszek, nie mogę się pochwalić cnotą jak wy. Popełniłem grzech, zdradziłem świętą tajemnicę. Prawda, że zdarzyło się to w niemało lat po fakcie, kiedy cała sprawa utonęła w morzu pamięci i niepamięci, a jednak żałuję wielce tego grzechu, gdyż w ten sposób wspomnienie ubarwiło mi się na czarno. Przestąpiłem bezecnie przykazanie mędrca francuskiego o buciku. Powiedziałem o tem profesorowi. Są sprawy, o których należy milczeć. Pewnego dnia jakaś piękna dama ci rzecze:—Wszystko ci zrobię, oddam ci się cała i bez pamięci, ale mi przysięgnij, że nigdy ni-

komu o tem nie powiesz. To będzie tajemnica, nasza słodka tajemnica. Przysięgnij! — Naturalnie człowiek przysięga—i dotrzymuje przysięgi. Taka też była moja metoda. Mijały lata za latami—„płynęły jak fale, jak ptaki płynęły“—a słodka tajemnica moja i tej damy, tej i owej i tamtej—tonęła w niebycie milczenia. A jednak raz w życiu naruszyłem pieczęć tajemnicy, choć stało się to nie z mojej winy, ale pod wpływem jakiegoś hypnotyzmu. Ostatecznie Bóg mnie za niedyskrecyę ukarał, naprzód wyrzutami sumienia, a powtóre tem, że nanowo stanąłem wobec problematu: kto kłamie?—Dawne to—dawne czasy! Było to w r. 189... No, nie rachujmy. Z piętnaście lat temu. Miałem zawsze serce miękie i łatwo ulegające potędze, ukrytej w złotych włosach i błękitnych oczach. Niedziw też, że mnie opętały wdzięki pewnej młodej wdowy, którą nazwijmy tu panią Henryetą.

Wprowadził mnie do niej kolega mój Zbigniew; żyliśmy z nim w przyjaźni od dzieciństwa—i zapewne ani jednego sekretu między nami nie było. Z chwilą jednak, kiedy na scenę weszła piękna wdówka—w stosunkach naszych zjawił się pewien fałszywy ton. Nie będę ukrywał przed wami, że Henryeta zrobiła na mnie jaknajmilsze wrażenie—i w jednej chwili zapanowała między nami dziwna poufałość, jakbyśmy się znali od niepamiętnych czasów. Byłem w siódmem niebie, gdy naraz zauważyłem, że Zbigniew stał się markotny. Zrobiło mi się przykro, gdyż na tem pierwszem posiedzeniu i nawet długo potem nie miałem żadnych myśli ubocznych—i rozkosz moja wobec miłej wdówki była zupełnie bezinteresowna. Widocznem było, że Zbigniew nie jest

obojętny; to też, kiedyśmy wyszli, zapytałem go wręcz, czy pragnie się ożenić z Henryetą.

Zaczął się śmiać serdecznie, co mię bardzo uspokoiło, sam nie wiem dla czego, bo i ja też nie miałem zamiaru się żenić. Ot—podobała mi się kobietka fertyczna, wesoła—i niesłychanie zadowolona ze swego wdowieństwa. Miała jedno dziecko—lalusię pięcioletnią, z którą się bawiła jak mała dziewczynka; miała śliczne białe ząbki i wiśniowe usta—w kształcie serca. Słowem—podobała mi się bardzo—i kiedyśmy się widzieli za trzecim czy czwartym razem (zacząłem tam bywać sam, bez Zbigniewa)—zdarzyło się, że mi sama drzwi otworzyła, a taka osobliwa tęsknica była w moich oczach i w jej oczach, żeśmy ni stąd ni zowąd rzucili się sobie w objęcia—i gorąco zaczęliśmy się całować. Jak i dla czego się to stało, nie wiem—i nawet nie próbowałem sobie tego wytłumaczyć. Siła wyższa.—W owej chwili rzecz zdawała mi się prosta i naturalna—choć potem zatraciłem już zdolność rozumienia tego faktu.—Dość, że między Henryetą a mną zawiązał się bardzo serdeczny stosunek, oparty na obopólnej przysiędze. Ona mi przysięgła, że jestem dla niej jedyny, pierwszy i ostatni, a ja przysiągłem jej bezwzględną tajemnicę i milczenie do grobowej deski o tem „co było między nami". I mogę się pochwalić, żem w tej sprawie milczał długo, bardzo długo.

Są sytuacye, gdzie milczenie jest łatwe i gdzie niemasz ciekawie śledzącego oka, ale w mojej sprawie z Henryetą właśnie był człowiek, który nie tylko stał na czatach, ale długie lata jeszcze zachodził z tej i owej strony, aby ze mnie tajemnicę wydobyć. W czasie mego romansu z Henryetą, który trwał dłużej niż pół roku,

widywałem się ze Zbigniewem dość często. Rozmawialiśmy o wszystkiem za wyjątkiem tej jednej, jedynej rzeczy, którą mieliśmy ciągle na końcu języka. Powoli dopiero zacząłem odgadywać tajemnicę Zbigniewa, o czem zresztą i Henryeta kiedyś mi wzmiankowała *sub rosa*. I on starał się kiedyś o łaski mojej bogini—ale, jak mi się klęła czarująca Kalypso—*jamais, jamais!*

Rozeszliśmy się z Henryetą w jaknajlepszej przyjaźni; bywałem u niej od czasu do czasu, a nawet byłem świadkiem jej ślubu z nader zacnym fabrykantem cykoryi, panem X., z którym też w doskonałych byłem stosunkach. Co do Zbigniewa, to również widuję się z nim czasami. Rozmawiamy serdecznie, jak za dawnych lat, ale jest między nami jeden punkt martwy i nietykalny. Zwykle jednak pomiędzy np. sprawą wojny boerskiej a kwestyą syndykalizmu—Zbigniew mimochodem wtrącał pytania:—Dawno byłeś u Henryety?—Odpowiadałem ni to ni owo.—W jakiś rok po ślubie wdówki—do tego pytania—zaczął dodawać inne, a zwłaszcza przy winie, gdy mu się oczy lekko rozmarzyły.

— „Powiedz prawdę, czy ona była twoją kochanką? — „Co za myśl cyniczna! odpowiedziałem. Nigdy w życiu. Nie rozumiem nawet, jak ci coś podobnego mogło przyjść do głowy!" — Ponieważ ze Zbigniewem widywałem się mniejwięcej dwa razy do roku— w Wiedniu albo w Paryżu, w Warszawie lub Krakowie—więc mniej więcej dwa razy do roku powtarzała się ta sama rozmowa, w wyrazach takich samych lub podobnych. Widoczną było rzeczą, że Zbigniew mi nie dowierzał, choć mu się klątem słowem honoru: coś go korciło, że zawsze musiał nowe śledztwo rozpoczynać w tej kwestyi.

I nareszcie... Zdarza się czasem taki szczególny stan fizyczny i moralny, że człowiek postępuje bez woli i przeciw woli. Byłem raz świadkiem pojedynku, w którym mój zapaśnik—człowiek odważny i wyborny strzelec—najniepotrzebniej wieczorem przeczytał książkę, de Vergogne'a, który—jako mistrz pojedynku—doradza walczącym przed sprawą zażyć bromku potasu albo morfiny dla utrzymania nerwów w równowadze. Mój człowiek zażył morfiny, która rzeczywiście wlewa cudowny spokój w duszę ludzką, że mu się wszystko na świecie wydaje niezmiernie błahe i jakby obce, jego własnej osoby nie dotyczące. To też, kiedy, wzruszonym głosem mówiłem: — Panowie, proszę was po raz ostatni — podajcie sobie ręce do zgody!—mój bojownik naraz przesłodkim, prerafaelskim głosem powiedział:—Drogi przyjacielu, mądre rzekłeś słowo. Istotnie ta walka jest bez myśli i bez znaczenia. Kochałem zawsze mego przeciwnika: przebaczam mu i przepraszam go serdecznie".—Po prostu nie był sobą: anioł morfiny mówił przez niego. Pojedynek został przerwany—i dopiero, kiedy chłop nazajutrz wytrzeźwiał, zrozumiał swoje głupstwo: trzeba było sprawę rozpoczynać na nowo, gdyż w opinii był skompromitowany.—Taką morfiną były dla mnie Tatry. Pewnego roku spotkałem się ze Zbigniewem w Zakopanem—i zaczęliśmy wspólnie robić heroiczne wycieczki po górach.

Sprawa Henryety należała do tak zamarłej przeszłości, że ani ja o niej nie pamiętałem, ani Zbigniew już o niej nie wspominał. A teraz wyobraźcie sobie człowieka, który z Rostoki, brzegiem Białej Wody przez cały dzień skacze (dosłownie) po Świstowej gó-

rze, coraz wyżej, w coraz szersze i czystsze powietrze, upaja się wodą górską i powietrzem górskiem—i dąży ku Polskiemu Grzebieniowi w tej nadziei, że jutro z Felka-Popradu wyruszy na Garłuch. Człowiek ten pod wieczór jest dyablo zmęczony: olśniony, upojony, oczarowany, rozkochany w bezmiarach, bogaty nadzieją jakichś odrodzin duchowych, ale przedewszystkiem zmęczony, niesłychanie zmęczony, zmęczony bezwzględnie. — Niech świat się wali, musimy odpocząć. I gdy znaleźliśmy miłą przełęcz—postanowiliśmy zaobozować. Wojtek Gąsienica nagromadził kosodrzewia *quantum satis*, ogień rozpalił, herbaty zagotował, a my, obwinąwszy się kocami, zakurzyliśmy „habrykę" i zaczęliśmy patrzeć w szeroką panoramę Tatr i w niezliczone gwiazdy na czystem niebie. Zbigniew był dziwnie rozrzewniony; opowiadał mi tragiczną historyę swojej miłości z pewną damą szwedzką, imieniem Brunhilda, która zakończyła życie samobójstwem: słuchałem go półsenny, pocieszałem ile mogłem, ale po wypiciu herbaty jedna tylko myśl była we mnie: usnąć. Przez pół już błądziłem w krainach snu, a rzeczy przybierały mi w oczach kształty czterowymierne; jużem się zlewał z wszechsubstancyą bytu, gdy naraz usłyszałem głos, niby daleki, głos podobny do tego, jaki słychać w mikrofonie, gdy stoisz obok aparatu. Takim nie swoim, nie materyalnym głosem Zbigniew mi szeptał: —Powiedz prawdę, czy Henryeta była twoją kochanką? Dobrotliwie, niby na innym świecie, ziewając mu odpowiedziałem:—No, wiesz, tyle czasu już upłynęło od owej chwili—dziesiąty rok mija! Można rzecz wyznać—bardzośmy się kochali. To powiedziawszy, na drugi bok się odwróciłem, by we śnie utonąć. Wtem Zbigniew

mi zasyczał: — Tegom się nie spodziewał, a więc ci powiem, że ona była i moją kochanką; nawet mało co matką nie została przezemnie, ale ja—stary praktyk... Coś we mnie zawrzało: czułem, że gdyby mi Zbigniew to samo powiedział był na Garłuchu, napewno runąłbym w przepaść. Chciałem krzyknąć: kłamiesz! ale ironiczny dyabeł szeptał mi, że on mówi prawdę. Honor jednak nakazywał mi *quand même* zastrzelić, czy zasztyletować mego wroga, ale ironiczny dyabeł znów mi kazał drwić z takiej zemsty aż nazbyt spóźnionej. W gruncie Henryeta nie istnieje dla mnie. Coś jednak należało powiedzieć. I milczałem całą noc uroczyście. Spać nie mogłem, rozmyślając nad tą nową zagadką. Nazajutrz nie poszedłem na wycieczkę i przyłączyłem się do jakiejś kompanii Węgrów, idących do Rostoki.

Wróciłem do Zakopanego sam i od tej chwili unikałem Zbigniewa, który zresztą w parę dni potem wyjechał do Warszawy. Po tygodniu i ja opuściłem letnią stolicę.

W Warszawie natychmiast poszedłem do p. Henryety; przeszłość dawno miniona, *plusquamperfectum,* ale chcę jasnego rozumienia rzeczy. Henryeta, zawsze jeszcze świeża i młoda, owszem w pełni dojrzałej piękności kobiecej, w błękitnej, swobodnej matince, zjawiła się przedemną. Twarz miała zaróżowioną od „alteracyi“ (jak mówiła), a wzrok, pełen powagi, ciskał we mnie gromy; widać, że się na mnie gniewała.—Zanim przedstawiłem sprawę, ona do mnie z wyrzutami: „A więc tak pan dochował sekretu, naszej świętej tajemnicy? O, niech pan nic nie mówi. Wiem, wiem o wszystkiem. Był tu pan Zbigniew. Ślicznych rzeczy mi nagadał. Zły,

wściekły na mnie i na pana; więc to (mówi)—on tak, a ja nie! I dopiero jął pomstować!—„Jak to on—nie? I on—tak. Sam mi to powiedział.—I pan w to uwierzył? O, mężczyźni-krokodyle! Więc napróżno się klęłam, jak i dziś się zaklinam, żeś był jeden i jedyny! Wierzysz? —Wierzę—powiedziałem i zacząłem ją przepraszać za naruszenie tajemnicy.—Nie odrazu mi przebaczyła; dąsała się długo i upewniała mnie, że „Zbigniew łże, jak pies“.

Mówiłem, że wierzę, ale naprawdę nie wierzyłem, boć ostatecznie kłamstwo i kobieta—to synonimy. Kto kłamie: Zbigniew czy Henryeta? Nie wiem i nie dowiem się nigdy. W gruncie rzeczy byłem zazdrosny i trapiłem się o cień—o niepowrotną, umarłą przeszłość. Ale słusznie zostałem ukarany; należało milczeć. Raz jeden w życiu odsłoniłem tajemnicę, ale już odtąd czuwałem nad sobą; żadna morfina nie mogła mnie zmusić do przełamania dyskrecyi.

— Hańba, hańba, towarzyszu!—zawołał Okolicz, a Fredzio dodał:

— Bo kto przysięgę naruszy, o biada jemu, za życia biada, i biada jego złej duszy!

— A teraz—rzecze Okolicz—jeżeli chcesz mojej opinii, to ci oświadczę, że odpowiedź leży jasno, jak na dłoni. Choć może ci to przykrość sprawi, ale ja cię zapewniam, że Henryeta kłamie, a Zbigniew mówi prawdę. Przez swą niedyskrecyę zasłużyłeś na to, żeby zbudzić w swym przyjacielu taką gruboskórną brutalność. Wierzaj mi, słuchaj mądrych słów Stendhala: niechciej nigdy wiedzieć, co twoja kochanka czyni w twej nieobecności.

— *Mea culpa!*—rzekł Dantyszek—zgrzeszyłem isto-

tnie. I choć mi twoje słowa sprawiają przykrość, to jednak gotów jestem ci wierzyć, ponieważ nie jesteś kobietą.

— Grzeszysz jeszcze bardziej, że tu w naszą kompanię wprowadzasz element smutku. Prosimy o jaką historyę wesołą i zabawną, gdzie mężczyzna jest nieomylny i gdzie on okłamuje kobietę, nie zaś ona jego. Fredziu— tyś nam obiecywał rzecz taką.

— Doskonale—rzekł Fredzio. Próbowałem i ja uzyskać *championnat* kłamstwa na Królestwo Polskie—i rzeczywiście zdobyłem rekord. Słowo honoru—jestem największy łgarz. Opowieść moja, uczciwszy uszy, jest nieco trywialna, ale nie ma tu dam. Jest to opera jednodniowa i jednorazowa. Mistrzowstwo w sztuce kłamania polega na tem, żeby wiedzieć, jakie kłamstwo jest najwłaściwsze. Raz naprzykład z nadzwyczajnem—i rzec można—niespodziewanem powodzeniem wyzyskałem trwożliwość pewnej damy, albo raczej skłonność jej do melodramatu.—Bo choć kobiety lubują się w sprawach sentymentalnych, słodkawo-gorzkich i słodkawo-kwaśnych, to jednak nie mniej oddziaływają na nie i inne osobliwości. Np. kobiety, zwłaszcza bardzo tkliwe i dobrotliwe z natury, lubią morderstwo, rozlew krwi, gilotyny, pojedynki i t. podobne sensacye. Słowem—bohaterstwo, lub nawet pozę bohaterstwa, teatralne *substratum* tego wrażenia. Znałem pewną damę, która się zakochała w Pranzinim za to tylko, że miał odwagę zamordować trzy kobiety. A do nas z lekceważeniem mó-

wiła:—Żaden z was nie byłby zdolny do takiego czynu! Przed paru laty w Drezdnie było takie zdarzenie: młoda, bardzo przystojna panna była zaręczona z niemniej miłym młodzieńcem; kochali się bardzo i zdawało się, że nic nie stoi na przeszkodzie ich szczęściu. Tymczasem w pannie odbywała się jakaś niewytłomaczona przemiana, na tle psychozy—jak się dzisiaj mówi, gdyż inaczej czynu jej niepodobna objaśnić.—Oto pewnego dnia, gdy młodzieniec przyszedł w odwiedziny do swej narzeczonej, panna mu powiada: „Zamknij oczy—otwórz usta!“ Ów, przypuszczając, że ona—obyczajem dziewic—chce mu włożyć w usta czekoladkę, lub coś podobnego, uczynił podług rozkazu: otworzył usta—zamknął oczy. Dziewica wówczas włożyła mu w usta rewolwer—pif, paf!—i na miejscu go zabiła. Naturalnie wzięto ją do więzienia, badano i sądzono. Została skazana na śmierć: ścięta mieczem katowskim i pochowana w ostatniej części cmentarza.—A teraz w czem *pointe* tej historyi? Oto w dzień zaduszny tysiące kobiet z całego Drezdna i okolic zbiera się corocznie nad grobem zabójczyni i obsypuje go wieńcami i bukietami kwiatów. Sądzę, że w tym dziwnym fenomenie są dwie rzeczy cale różne: z jednej strony jakiś milczący protest kobiet przeciw mężczyźnie i hołd złożony nienawiści przeciw niemu, albo dziwnej właśnie formie miłości; z drugiej—samo zamiłowanie zbrodniczości, do której inne nie mają odwagi.—Jeżeli same nie mają odpowiedniej energii do wykonania zbrodni, kobiety jednak lubią oddychać atmosferą krwi i okrucieństwa.—Panią Izabelę poznałem bardzo niedawno—tak, że miała o mnie dość nieokreślone pojęcie. Wiedziała, że coś tam pisuję po gazetach, ale

nic dokładnego. Nadto nie wyobrażała sobie, żeby z tego można było żyć; jako żona lampiarza— sądziła, że tylko lampiarz może mieć gotówkę... Jeszcze się zachowały takie poglądy w prowincyonalnych zakątkach Warszawy. Zagadką było wprost dla niej, z czego żyję, ale błogosławię tę jej nieświadomość, gdyż stąd wyniknął dla mnie słodki a niespodziewany rezultat. Była raz mowa o tem, gdzie mieszkam, a mieszkałem wtedy rzeczywiście w niepodobnej okolicy—na krańcach ulicy Dyabelskiej, prawie na pustkowiu. Sprawy moje tak się właśnie ułożyły, że musiałem się tam przenieść. Ulica leży niedaleko Belwederu, ale sięga samych brzegów Wisły—tak, że naraz znajdujesz się w krainie pustej, gdzie same parkany, lub place bez zabudowań.—Na pytanie pięknej damy, gdzie mieszkam, odpowiedziałem, że przy ulicy Dyabelskiej. Sama ta nazwa już zrobiła nie małe wrażenie, ale moja Bella, która, jako dobra Warszawianka, zna trzy, cztery ulice, nie wiedziała wcale, gdzie to leży. —„To gdzieś koło Powązek—mówiła“. Bynajmniej, na wprost przeciwnej peryferyi miasta, prawie nad samą Wisłą. —„O jakże to daleko!“—W samem sercu stolicy nożowców—tam mają oni swoje sejmy!—„Czy być może—i nic się pan nie boi? To przecież są okropni ludzie!“—Ale przeciwnie— najsympatyczniejsi ludzie, jakich znam—mówiłem półżartem.—„Co pan mówi? i oni panu krzywdy nie zrobili?“—Niech-że Bóg broni—z chwilą, gdy jestem swój—nic mi nie zrobią. Mają oni swoje zasady honoru, cnoty rycerskie. Swojego nożowcy nie skrzywdzą! — „Swojego?“ — zapytała pół-drżącym głosem.

Tu muszę was objaśnić, że nasi apasze mają swój

kodeks honorowy, polegający na tem, że ludzi mieszkających w okręgu ich pobytu, nigdy się nie krzywdzi. Nie uprawia się czynów nożowieckich w „swojej gubernii"; cudzoziemców, t. j. ludzi, mieszkających nieco dalej, w innych dzielnicach—owszem, można okraść, a nawet nadkrajać i pokaleczyć. Sąsiad—to swój; więc nietykalny. Dlatego, choć codziennie słyszałem o rozmaitych krwawych przygodach—sam nigdy nie ucierpiałem.

Miałem zamiar p. Izabeli tę sprawę wytłumaczyć, ale ponieważ jej trwoga zaczęła mnie bawić, postanowiłem brnąć dalej w tej koloryzacyi.—„Swojego?—zapytała z bojaźnią.—Oczywiście—odparłem i widziałem razem, że się o parę kroków cofnęła odemnie; byliśmy w domu sami jedni.—„A jakże się oni noszą—zapytała. W łachmanach—obdartusy..."—Ależ bynajmniej—są między nimi ludzie wytworni, ubrani z elegancyą, bywający w najlepszych towarzystwach—takem plótł, sam nie wiem dlaczego, jakiś dobry geniusz podszeptywał mi te słowa, a mojej interlokutorce drżały ze strachu ręce i nogi; oczywiście była pełna obawy o swoje życie i majątek.—A przytem—dodałem—jak delikatni są dla dam.

To jedyna sfera ludzi, gdzie się dotąd przechowała prawdziwie wersalska grzeczność. To też, jakie damy ja tam widywałem na ulicy Dyabelskiej! Aniby pani uwierzyła!—Izabela aż usta otworzyła ze zdumienia.—„Które?—niech pan powie—błagam na wszystko". O, za nic na świecie! Honor mi nakazuje milczeć. Może, kiedyś, w okolicznościach nadzwyczajnych...—„Może, kiedyś... Ach, jakżebym chciała wiedzieć... A jak *wy* (powiedziała mi *wy*, oczywiście sądząc, że należę do bandy)—no, proszę pana, jak wy napadacie na ludzi?—Wędka była

widocznie dobra.—Jak?—odparłem z powagą—wchodząc w rolę. W prosty sposób. Jeżeli spotykam jakiego przechodnia, który mi się wydaje odpowiedni do moich celów—oczywiście w bocznej ulicy, gdzie niema świadka—dopadam do niego, ściskam go za gardło, obalam, kolanem go przygniatam (wszystkie te ruchy wykonywałem z miejsca z bajeczną pantominą)—i albo żądam pieniędzy—albo wprost go sztyletem, na wskroś—*durch!* o, tak! Poczem najspokojniej odchodzę.

Izabela omdlała. No, tego sobie nie życzyłem. Po chwili ocuciłem ją wodą kolońską.—„Cóż się pani stało?—„Ach, pan mnie wzruszył do głębi. My tu prowadzimy życie tak jednostajne, że to co pan mówi, tak wygląda, jak z krainy baśni.—„Trzeba sobie umieć stworzyć baśń w tem szarem życiu—rzekłem sentencyonalnie. Ona zaś już mniej trwożnie:—„I często pan—tak?—(tu uczyniła gest, mający oznaczać zabójstwo).—„O, parę razy na miesiąc!—„Boże, jaki z pana straszny człowiek. Ja już oddawna coś takiego o panu przypuszczałam.—„Na miłość boską—padłem przed nią na kolana. Izabelo, tylko nie mów o tem nikomu, bo mnie zgubisz na wieki.—„Nie powiem. „Przysięgam.—„Niechaj to będzie tajemnicą między nami.—Pocałowałem ją przy tej okazyi w nogę; poczem wstałem i pocałowałem ją w usta. *Elle se laissait faire,* poczem rzekła:—„Powiem panu, że chciałabym choć na jeden dzień porzucić to nudne życie—i tak pobujać z Fra Diavolem! (Tak mnie nazwała).—„Chciałabyś—(tu wyjąłem z kieszeni mały sztylecik, który zawsze mam przy sobie)—chciałabyś tak—kogo—przebić? — „Nie — o — nie! Chciałabym widzieć taką scenę bohaterską.—„Zapewne, ale ze względu

na pani stanowisko, nie jest to rzecz tak łatwa. Trzeba to będzie obmyślić.—I rzeczywiście wynalazłem sposób: była na ul. Dyabelskiej—i poznała moją tajemnicę.— Tak więc drogą melodramatu—zyskałem jej miłość. A teraz Okolicz niech obejmie po Bekwarku lutnię!

— Chociaż, mój Fredziu, jesteś mistrzem w kłamstwie, której to chwały nie śmiem ci zaprzeczać, pozwól sobie jednak powiedzieć, że ja miewam wyższe natchnienia pod tym względem. Kłamstwo jest najwyższą powagą w taktyce miłosnej. Bez kłamstwa nie zapanujesz nad sytuacyą. Przytomnym bądź i dobrze waż, co właściwie na kobietę najlepiej oddziaływa. Bywa, że na tkliwą działa tkliwość, na obojętną—obojętność albo właśnie naodwrót. Są kobiety, co lubią zazdrość—wywołuj zazdrość; są, które lubią śmiech—śmiej się; są takie, które lubią udręczenia—dręcz. Tu nie można postawić żadnej zasady ogólnej: trzeba wejść w ton. Bywają kobiety, które zdobędziesz szacunkiem; inne—właśnie lekceważeniem. Jest królewną, a ty ją traktuj jak pokojówkę. Czasami wojna jest najmilszą formą miłości. Są takie, które weźmiesz na sprawy społeczne, na literaturę i sztukę, na mistykę. Próbowałem tych wszystkich linij, wszystkie się przecinają w jednym punkcie—i na tem polega mądrość mojej metody. Raz naprzykład w nader kunsztowny sposób zdobyłem sobie łaski pewnej damy za pomocą mistycyzmu.—O, moi mili, zręcznemu strategikowi niezmiernie użyteczny może być mistycyzm. Działa on w szczególny sposób na wolę i na zmysły—zwłaszcza na zmysły, gdyż mistycyzm w gruncie jest fenomenem najbardziej łechcącym zmysły.—Jeżeli tego

środka użyjesz w sposób właściwy—następuje nieprzytomnienie—moment psychologiczny.

„Trzeba korzystać z chwili,
Gdy chwila sprzyja nam"!

Jakiś czas bywałem na seansach spirytystycznych u pani Ewy, gdzie było sławne medyum Damayanti. To też byłem obznajmiony z objawami, jakie na seansach można widzieć. Rzeczywistość tych objawów była mi bardzo podejrzana, a chochliki, które szczypały i kuksały gości pociemku—pochodziły jak sądzę z figlów samej Damayanti i jej najbliższych sąsiadów.—Zresztą nic mię to nie obchodzi i, jak wielu innych, mogę powiedzieć: w tem coś jest! Jednakże tym seansom zawdzięczam jeden kielich szczęścia więcej w tem życiu—przeto nic o nich złego mówić nie będę.

Owóż była pewna dama, o której względy się starałem, ale surowa i niedostępna. Długo toczyłem z nią walkę, chcąc odpowiedni znaleźć dyapazon, aż nakoniec, niby w natchnieniu, zdobyłem cel swoich marzeń. Stało się tak: obsypywałem moją panią komplementami, ale jakoś nie mogłem trafić na właściwy. Razu pewnego zacząłem podziwiać jej rękę, a istotnie miała prześliczną białą dłoń z alabastru, o palcach podłużnych, wykrojonych w kształt subtelny, jakby nadczłowieczy; była to istotna ręka anioła. Przypomniałem sobie naraz jeden z seansów z Damayanti—i tak jej powiedziałem:

— Raz jeden w życiu widziałem rękę tak cudowną, jak dłoń pani, ale nie była to ręka żywej istoty; była to ręka widzialna.—„Jakto? zapytała się moja dama, nieco zdziwiona.—„Na jednym seansie u Iksów, których i pani zna, siedzieliśmy raz bardzo długo, czekając na prze-

jawy. Były tam rzeczy bardzo ciekawe, ale naraz się urwały... Damayanti straciła cały swój dzisiejszy zapas fluidu—czy też była wyczerpana, dość, że naraz *duchy* przestały się odzywać. (Uważacie, wobec tej damy przyszło mi naraz do głowy—udawać bardzo wierzącego w te cudowiska). Koło północy wreszcie stolik się przechylił. Iks—wielki nasz arcykapłan—czujny bardzo na przejawy—natychmiast głosem łagodnej prośby zapytał:

— Co nam powiesz, stoliku?—Stolik wypukał powoli, jakby zmęczony: D-O-B-R-A-N-O-C D-Z-I-E-C I. Byliśmy bardzo wzruszeni. Jakieś pożegnanie. Trzeba zaś wiedzieć, że u Iksów przed miesiącem może umarła ciotka Genowefa.—Iks tedy naraz rzecz pojął:—„To ciotka Genowefa!—Ale nie był pewny; więc pyta: —„Czy to ty, ciotko Genowefo!—Stolik trzykrotnie uderzył nóżką w podłogę, co znaczy: Tak!—Daj nam jeszcze znak. Stolik odpowiedział: Tak!—Czekaliśmy chwilę pełni trwogi uroczystej... Co to będzie... Naraz—mówię pani—ukazała się w powietrzu ręka biała—cudownej postaci—powiewna—niemateryalna, najwidoczniej ręka istoty wyższej, astralnej, jaką niewątpliwie została po śmierci ciotka Genowefa (między nami mówiąc, szanowni koledzy, była to kłótliwa stara panna)—i ręka ta zbliżyła się do mojej sąsiadki, do panny Janiny, koło medyum siedzącej—i trzykrotnie lekko, lecz głośno, uderzyła ją w plecy. Uderzenie, jak mówię było głośne, ale nie przypominało w niczem uderzenia żywej ręki w suknię, okrywającą pannę Janinę; raczej był to odgłos oklasku, niby uderzenie ręki o rękę. Janina poczuła tylko łagodne jakby pieszczotliwe dotknięcie, nie zaś ude-

rzenie; był to rodzaj miłej upajającej łaskotki, aż na krzesełku podskoczyła. Janina była istotnie ukochaną siostrzenicą Genowefy—i za jej pośrednictwem duch umarłej swą powietrznianą ręką—dawał nam znak pożegnalny. Ze wszystkich zjawisk, jakie mi się udało widzieć na seansach—ta cudowna nieziemska ręka zrobiła na mnie najbardziej anielskie wrażenie. Taką właśnie nadcielesną, białą, świetlaną, eteryczną, jakby z wiony urobioną rękę—taką rękę raz jeden zdarzyło mi się widzieć na ziemi.—To twoja ręka, o pani! I zdajesz mi się przez tę rękę jakąś wyższą istotą, która przypadkowo wcieliła się w ziemskiej postaci.“

W ten sposób plotłem jej dalej bez końca—a raczej właśnie, że przerwałem, gdyż moja pani zaczęła drżeć mistycznym dreszczem i łkać słodkiemi łzami niemocy, co sprawiło, że stała się mało oporną, niejako w czwarty wymiar uniesiona.—To też rychło cale się przenieśliśmy w krainy czwartego wymiaru.—Droga przez mistykę do zmysłów jest bardzo dogodna—i nieraz lepiej do celu prowadzi, niż cynizm.—Tajemniczo, słodko, niewidzialnie opanowywa istotę kobiecą. We łzach objawia się niebo. Wierzę dziś w potęgę średniowiecznych Faustów i Paracelsów, tych *magicos prodigiosos,* gdyż oni posiadali jeden z najdoskonalszych kluczy do serca kobiety.—Rekomenduję go ludziom młodym i niedoświadczonym. I szkoda, żem tego sekretu nie nauczył Stefana. Choć co do Wandy, to może innej wymagała taktyki. Powodzenie zawsze się opiera na jakiejś tajemnicy. Trzeba być baletnikiem w życiu. Trzeba tu poprostu intuicyi. Oto mam aforyzm: kłamstwo—to intuicya!

Opowiadanie Andrzeja wywołało pewien rozgwar. Bo Molten od czasu do czasu wołał:

— A to cyniki, a to psubraty! Teraz zaczynam rozumieć! To wszystko przez was!...

Te niezupełnie zrozumiałe frazesy wymagały objaśnień, gdy Janek zwracając się wprost do Okolicza, pytał:

— Więc to prawda? Więc widziałeś?

Tymczasem właśnie Styczeń, który miewał pijaństwo żałosne, sączył powoli kruszon i z westchnieniem mówił:

— Smutną jest dusza moja aż do śmierci! Dla was kwiaty, dla was zorze, a dla mnie noc i śnieg!

Niektórym opowiadania Wareckiego i Okolicza wydawały się bardzo zabawne—ale Tarło i Henryk Nawara—mieli zdaje się inne zapatrywania—i w dosyć głośnej rozmowie ze sobą zamierzali protestować przeciw apoteozie kłamstwa. Słowem rozpoczęła się dość chaotyczna wrzawa, któraby się ciągnęła bez końca, gdyby nie pan Wincenty, który zwrócił się do Dantyszka:

— Panie Władysławie, tu się robi nieporządek. Niech *naczalstwo* wyda *prykazy!*

— Panowie—rzekł Dantyszek—na wniosek naszego gospodarza, pragnę ustalić ład w naszych przemówieniach. Przyjmuję tedy zgłoszenia, zapiszemy nazwiska mówców i każdy po kolei mi powie, o czem zamierza mówić.

— Bardzo dobrze! ja proszę pana chcę mówić—o tem, że tacy panowie jak Fredzio i Okolicz—to zgroza i zakała—i że oni to psują nasze kobiety. To są cyniki, z którymi prawo powinno się obejść bardzo surowo.

— Przyjmuję do głosu—rzekł Dantyszek i zapisał: Molten przeciwko...

— Przeciwko Don-Juanowi—zawołał Fredzio.

— Czy się zgadzacie na to oskarżenie? Czy nie zastrzegacie sobie apelacyi?

— O tyle—o ile. W każdym razie—zapisz: obrona Don-Juana.

— Dobrze. Kto chce jeszcze wystąpić przeciw poprzednim przemówieniom?

— Ja—rzekł Janek. Właściwie nie zamierzam mówić przeciw, ponieważ jednak Okolicz wspomniał tu o niektórych fenomenach astralnych, przeto chciałem się z nim bliżej o tem porozumieć.

— Jan Podobłoczny: o czwartym wymiarze — zapisał Dantyszek. A ty, Styczeń—o czem chcesz mówić.

— Ja, odparł tamten, zapatrzony w jakiś obrazek na ścianie—ja o cieniach, o widmach, snach i złudzeniach.

— Bardzo ciekawe—rzekł Dantyszek—i zapisał: Styczeń—niewiadomo o czem.

— Czy Karol, doktór, mecenas chcą coś powiedzieć?

— Co się mnie tyczy — to ja nic nie mówię. Ja tylko czytam ze swojej książeczki przy okazyi.

— Ja zaś—odparł adwokat—nie mogę nic powiedzieć ludziom, których honor polega właśnie na ciągłem łamaniu prawa.

— Tu nie idzie o prawo pisane—zauważył Tarło—ale o prawo moralne. Zastrzegam sobie głos w tej materyi.

— I ja również—dodał Nawara.

— Ja proszę o *mot de fin*—dodał Lędźwiłł.

— A zatem ogłaszam porządek dzienny—albo raczej nocny.

— Albo raczej brzaskowy—bo to już noc się chyli ku końcowi.

— Porządek następujący: Molten—Janek — Styczeń—profesor—Nawara. Na żądanie publiczności zmiany w programie. Panie Molten, pan ma głos.

— Moi panowie słucham ja a słucham waszych opowiadań i nie rozumiem jednej rzeczy. Kiedyśmy tu wrócili z pogrzebu Stefana—wszyscy, jeden przez drugiego, pomstowali na kobiety, opowiadali o ich zdradach, kłamstwie, przewrotności, zbrodni; o krzywdach, jakich każdy z was doznał od nich; o męczarniach, jakie wam zadały—i co tylko chcecie.—Tymczasem okazuje się cale przeciwnie: każdy to z was kobiety okpił, odrwił, oszwabił, wyzyskał, a potem plunął i poszedł. Kto tu więc jest ofiarą? Nie wy, ale one.—Co kobieta, to łup.—Tacy z was myśliwcy.

— Mylisz się, drogi panie Molten—my nie opowiadamy tych historyj, gdzie nas kobiety wywiodły w pole, bo niemiło jest przypominać sobie, że człowiek był gawronem. A nikt nie może o sobie tego powiedzieć, żeby za każdym razem mu się udało. Sam Casanova—pisze, jak go nieraz kobieta właśnie oszukała, choć on był mistrzem nad mistrze. To jest polowanie albo gra: ze stada kuropatw—trafisz jednę albo dwie, z dwunastu kart—jedna wyjdzie w twoim kolorze. Tak samo i tu: na dwadzieścia cztery twoje starania—raz lub dwa ci się uda. Po co wspominać o pudłach i przegranych?

— Ale w każdym razie próbujecie zawsze, kiedy się zdarzy—bez względu na to, czy wolno czy nie wolno. Jesteście do gruntu zepsuci—i powiem, jak mecenas, podrywacie samo *fundamentum* społeczeństwa. W każdym razie nie macie prawa urągać kobietom. Ja przeciwnie—ja sam byłem ofiarą. Mnie przyprawiły kobiety rogi—ot tak! Stałem się głupi, śmieszny, *cocu*, idyota—oszukany mąż... Żona odemnie uciekła—Helunia, moja lilijka, ananasik... Gdzie teraz jest—bardzo niewiem. Podobno uciekła do Paryża—z jednym rzeźbiarzem. Był to chłop waszego rodzaju. Zawsze i wszędzie, gdzie tylko widział spódniczkę, zaraz się umizgał—i próbował, a nuż się uda?—Dodam jeszcze, że po prawdzie mówiąc, jestem z tego bardzo zadowolony. Miałem już dosyć kaprysów mojej żony. Przewrócili jej w głowie rozmaici panowie, co u nas bywali—i Helunia doszła do wniosku, że jej *psysza* (tak nazywała swoją duszę, słowo daję!)—nie kwadruje z moją—i że nie może ze mną żyć, a *psysza* tego urwisa kamieniarza była w sympatyi z jej *psyszą*. Helunia była to osobliwa kobieta: bo sama, uczciwszy uszy, stale mię zdradzała, a wiecznie była zazdrosna—i wyprawiała mi scenę o tę lub owę ze swoich znajomych. Do wzorowych mężów zapewne ja się nie zaliczałem, miałem takie i owakie przygody, ale z boku, dyskretnie—i bądź jak bądź, na dzisiejsze czasy, byłem dosyć wierny. Zresztą, co wolno mnie, to przecież nie jest odpowiednie dla kobiety. Moja żona była długi czas—ze trzy lata—bardzo dobra i prostoduszna—i dopiero potem się zepsuła i zaczęła mnie wystawiać na pośmiewisko. Długo obserwowałem—i zaczynam rzecz rozumieć, zwłaszcza po

waszych opowiadaniach. Bywają mężowie, którzy nic nie widzą i nie rozumieją; ja—nie byłem zazdrosny, ale doskonale wszystko widziałem. Bywało u nas wielu młodych ludzi: jeden, drugi nie miał powodzenia. Przyszedł piąty czy dziesiąty—niewiem, jak tam było, ale jedenasty na pewno zyskał wszystko, czego zapragnął. Był tam jeden, pan Ksawery, który mi raz tłumaczył teoryę uwodzenia kobiet. Jest to teorya o niewidzialnem bractwie uwodzicieli, *societé cooperative anonyme*. Jest to jedyny rodzaj kooperacyi, który się udał w naszem społeczeństwie.—Widzę, że i Fredzio i Okolicz—i każdy z was, ciche wody! należy do tego bractwa, bo i doktór opowiadał nam tu swoje czyny i Dantyszek i Nawara.— A ten pan Ksawery, to mi tak rzecz wyjaśniał: Nic to nie znaczy, że pani Laura czy Jadwiga *mnie* się opiera—niby jemu, panu Ksaweremu. Bractwo donżuanów—to bractwo wzajemnej pomocy. *Ja* może do tej świątyni nie wejdę, ale wiem i dumny z tego jestem, żem innemu grunt przygotował; podobnież jest gdzieś, w innym powiecie, jakiś pan Aleksander albo Jerzy, nieznany mi wcale, który szepcze różne słodkie słowa nieznanej mi kobiecie, aby ona w przyszłości zdradziła męża dla mnie. Na różnych krańcach świata ludzie ci wtajemniczają różne damy; nieuchwytni wspólnicy grzechu, rozsiani niewiadomo gdzie i niewiadomo, czem połączeni. Jest to zakon najbardziej mistyczny ze wszystkich zakonów.

Łamią oni jeden po drugim fort w sercu kobiety. Są to siewcy, którzy pracują dla przyszłego żniwiarza. Są to najwięksi, niedostrzegalni wrogowie rodziny—bo nigdy nie wiadomo, kto jest winowajcą. Zdradzony mąż przeklina Edwarda, a właściwie powinienby zastrzelić Henryka, któ-

ry był u niego trzy lata temu i rozmawiał z jego żoną przez godzinę. Jeżeli pani Laura lub Jadwiga odrzuci moje zaloty, nie rozpaczam: widać, że tu mój czas nie nadszedł; że tu będzie zbierał owoce kto inny, nie wiedząc, że właśnie *mnie* to szczęście zawdzięcza. Również i ja zwrócę się do Maryi lub Celestyny, gdyż tam właśnie czas mój nadszedł; tam już mi przygotowali grunt: Jerzy, Michał, Seweryn...“

Tak prawił mi Ksawery i, gdy teraz badam, jakich to Helunia miała kolejno znajomych, rozumiem teraz, co jej plotły te baszybuzuki—i jak ją oni przygotowywali do grzechu.—A kto wie, może i Okolicz albo Fredzio—spotkał ją kiedy na ulicy albo w tramwaju i przez pięć minut gadał jej jakie szelmowstwa i także się przyczynił do uświadomienia jej *psyszy*.

— Nie zaprzeczam, rzekł Okolicz—rzecz możliwa.

— Więc tak to panie było u mnie: jeden drugiemu orał grunt niewiary, aż przyszedł ten rzeźbiarz, który mnie szczęśliwie uwolnił od tej czcigodnej damy! Ale też ten umiał bajać! Od niego to Helena wyuczyła się bajek o niewoli kobiet, o „pierwopotędze“ uczuć, o bezwzględności Erosa... Powiedziała mi raz Helena (a to już umiała od tego rzeźbiarza), że nie uznaje małżeństwa tak jak ono jest; że ślub nie powinien być początkiem małżeństwa, ale jego zakończeniem, uwieńczeniem—aha! sankcyą... A wszystko, co było przedtem, to się nie liczy... Bardzo dziękuję za takie śluby! Ja tam wolę po staremu, byle nie z Helunią. Oczywiście, żeby ogłosić paragrafy o takim ślubie, trzeba przedtem społeczeństwo wywrócić do góry nogami. Ponieważ zaś nie da się to zrobić z dnia na dzień, więc tymczasem pojechała do Paryża. Szczęśli-

wej drogi!—Takie to wyniki są pracy owego bractwa, które wielką siecią kłamstwa otaczają domy rodzinne Uważam, że Turcy bardzo mądrze czynią, zamykając kobiety w haremach. Są też zresztą ludzie uczeni, niby to bezinteresowni, którzy się niemniej przyczyniają do grzechotwórstwa. Był jeden taki, bardzo zapracowany, zajęty różnemi sprawami, który dowodził, że niewierność kobiet—to bardzo dodatni (mówił *dodatni)* czynnik etnograficzny. Słowo daję! Był to etnograf, czy demograf—nie pamiętam. Spisywał sobie, jakie kto ma oczy, włosy, nos, kolor twarzy, mierzył kąty czołowe, oczne, formę czaszek i t. d. Znali go z tej niewinnej zabawy i nikt mu nie przeszkadzał. Aha, antropometrya... Tak się nazywa ta zabawa.—Powiadał naprzykład, że znał w księstwie Łowickiem jednego bardzo pięknego szlachcica, który miał dziewięciu synów, chłopców jak malowanie... Ci tedy panicze do współki z papą uprawiali szeroko kulturę niewierności kobiet pośród mieszkańców wsi i miasteczek okolicznych—i, jak zapewnia nasz uczony, ulepszyli rasę ludzką w całym powiecie. Twierdzi on również, że jedynie dzięki niewierności kobiet—utrzymuje się w stanie żywotnym arystokracya, że warstwa ta napewno by już dawno wymarła, jako wycieńczona, ale szczęściem nasze hrabiny romansują z furmanami i z lokajami, co daje nowym pokoleniom dopływ krwi świeżej. Tak plótł, a przytem tak uczenie, że nikt mu nie śmiał powiedzieć: nie prawda! Heluni bardzo się ta metoda podobała—i kto wie, czy gdybym chciał kogo zastrzelić, nie powinienbym był wybrać właśnie tego spokojnego etnografa!

— Proszę o głos! rzekł Fredzio. Obrona Don Jua-

nów. Widzę, biedny panie Molten, że winę wszystką widzisz na zewnątrz siebie, nie w sobie.

— Jakto? więc ja winien? więc ja zdradzałem z nią samego siebie? więc ja z nią uciekłem od siebie?

— Nie o to idzie, ale o to, czy pan rzeczywiście był z nią w harmonii, czy pan kiedy trafił na właściwy klawisz jej duszy, czyście byli *unisono*, czy wasze serca drżały na jeden dyapazon.

— Mój panie, ja się muzyki nie uczyłem, a małżeństwo to nie fortepian.

— Otóż to właśnie całe nieszczęście. Życie należy traktować jak koncert: jeżeli pan nie uchwyci melodyi, jeżeli pan fałszuje tony, jeżeli pan do swego duetu wybrał głos nieodpowiedni, to bardzo naturalne, że wyszła kocia muzyka, od której Helena uciekła na lepszy koncert.—Czy pan pracował nad swoją żoną? czy pan rozszerzał, rozwidniał jej duszę? czy pan z nią wchodził w jakąś komunię duchową? czy—jednem słowem—wytworzył pan jakąś spójnię pomiędzy nią a sobą?

— Terefere kuku... To są wszystko romanse, a małżeństwo to nie romans, panie; to solidny interes, w którym ja urządzam mieszkanie, kupuję suknie, kapelusze, perfumy, podwiązki aż po pas, a ona mi prowadzi gospodarstwo, żebym miał zupę nieprzypaloną, mięso dobrze usmarzone—i coś słodkiego na deser. A kiedy są dzieci, to niech baba dzieci pilnuje—i to jest wszystko. Przecież całe życie nie będę z nią spacerował przy księżycu.

— Oskarżony przyznał się do winy. Żona jego tak się z nim znudziła, że musiała od niego uciec. To jedno. A teraz drugie. Towarzystwo współdzielcze uwo-

dzicieli, tajemnicze i niewidzialne istnieje niewątpliwie. Jest to potężna koalicya duchów wolnych przeciwko nudnym i nieznośnym mężom. Ponieważ bardzo wiele jest małżeństw nieudanych i chybionych—oni to właśnie wprowadzają ład i porządek wyższy w tę dysharmonię; oni ożywiają znudzone kobiety: oni, słowem nadają tym małżeństwom racyę bytu.

— Ale co się stanie ze społeczeństwem?

— Społeczeństwo im pomniki postawi.

— Społeczeństwo powinno tak wychowywać kobiety, żeby nie grzeszyły. I ostatecznie są bardzo zacne kobiety albo takie, co koniec końców—grzeszyć przestają.

— Kobieta nigdy nie przestaje grzeszyć. Właśnie to pewnego dnia grzech sam opuszcza kobietę.

— Moją Helunię kiedyż grzech opuści?...

— Kiedy będzie miała pięćdziesiąt lat—nie wcześniej. Co się tyczy pańskiej żony, to przecież pan sam jest zadowolony z jej ucieczki.

— Zapewne.

— A zatem całemu bractwu, a w szczególności rzeźbiarzowi powinien pan wyrazić najgłębszą wdzięczność...

— Może to i prawda...

— Czy już dysputa wasza skończona? zapytał Janek. Mam głos po p. Moltenie, a chciałbym ważną sprawę poruszyć.

— Skończona—rzekł Fredzio, a Dantyszek oświadczył:

— Mówi Jan Podobłoczny.

— Czy naprawdę, zwrócił się Janek do Okolicza, czy naprawdę widział pan tę rękę bezcielesną?...

— Ale gdzie tam... Czysta blaga. Panie Janie— ja jestem za mądry, żeby wierzyć w te głupstwa. Damayanti—toż to oszustka i nic więcej. A swoją drogą owej damie gadać mogłem, co mi ślina przyniosła. W kłamstwie—czyli intuicyi tego rodzaju wszystko jest dozwolone, byle tylko rzecz traktowana była artystycznie.

— A jednak Damayanti nie była oszustką. Zajmowałem się temi zjawiskami najdłużej—i wolno mi o tem parę słów powiedzieć... Może być, że pan sobie tę anegdotę sam sfabrykował, ale pomimo to Damayanti wywoływał takie fenomeny, że niepodobna ich żadnem oszustwem wytłomaczyć. Kontrolowałem ją bardzo uważnie. Nirwid jest świadkiem—i może to potwierdzić. Mogę więc określić doskonale, czy sprawy te odbywały się realnie i jak się odbywały. Przerwałem studya dla dwóch powodów: naprzód, że pomimo całe setki faktów niezaprzeczonych, nie mogłem w sobie w żaden sposób sformułować istoty tych zjawisk, a powtóre u siebie samego dostrzegłem takie dziwne rzeczy, żem się poprostu od nich rozchorował. Doktór Łędźwiłł stanowczo

mi zakazał.—Chciałbym wam opowiedzieć jedno zdarzenie mego życia—wprost niewiarogodne—ale się lękam, że w towarzystwie takich cyników i sceptyków mógłbym śmiech wywołać.

— Ale skądże znowu, opowiadaj—z góry masz zapewnioną naszą wiarę.

— Zatem dobrze... Owóż, jakkolwiek sam nie jestem medyum, ale mam w sobie niemałą dozę jakiegoś fluidu, który sprawia, że mnie nazywano *médiumoide,* a Damayanti uważała mnie za *sensitivo*—to znaczy za osobnika, który na medyum działa w sposób dodatni i podniecający. Dlategom na seansach zwykle siadywał przy niej: rzeczywiście zjawy były nadzwyczajne, ale po każdym seansie byłem poprostu chory. Przez jakiś czas, mniej więcej co trzy dni bywałem na zebraniach. W nocy miewałem zmory, hallucynacye... Owóż, pewnego dnia wstałem dziwnie przygnębiony, wprost jakby zlekka otruty jakimś nieswoim fluidem. Zapach ozonu prześladował mi nos i podniebienie; ręce miałem tego dnia zimne, wprost lodowate, choć to był czerwiec... Zresztą byłem zupełnie przytomny... Czułem, że te wszystkie ciężkie symptomaty—to wpływ medyum... Postanowiłem tego wieczoru nie iść na seans—o godzinie piątej udałem się do Girardin'a, na lekcyę floretu, czego od paru tygodni zaniedbałem; potem o wpół do siódmej poszedłem do towarzystwa techników, gdzie mój brat Zygmunt wykładał swój pomysł o sposobach wydobywania azotu z powietrza dla tworzenia saletry; wieczorem poszedłem na operetkę Mascotte. Wszystko to czyniłem, aby się oderwać od widm i supernaturaliów, aby zestąpić na ziemię między sport, technikę gospodarczą

i śmiech błazeński. Potem jeszcze siedziałem w kawiarni i piłem piwo; nakoniec po drugiej nad ranem powróciłem do domu. Przygnębienie wróciło—coś szarpało się we mnie, coś mnię dręczyło niepokojąco i w sposób niezrozumiały. Chciałem usnąć, ale nie mogłem. Żadną miarą nie mogłem. Naraz czułem, jakby mi ktoś do ucha szeptał cicho, lecz wyraźnie: — Zosia jest bardzo chora! — W tej chwili chciałem na równe nogi podskoczyć; chciałem iść gdzieś—dokądś, sam nie wiem dlaczego. Ale ten szept miał w sobie jakiś straszny imperatyw. Jednak byłem nieruchomy; byłem bezwładny, niby sparaliżowany. Przecież coś poruszało się we mnie, coś wyszarpywało, wysnuwało się... Czułem, że odbywa się we mnie jakaś sprawa, niezależna od mojej woli, obca mi zupełnie, a mimo to najbezwzględniej mnie dotycząca. Czułem z jednej strony, że leżę nieprzytomny na łóżku, a przecież nie byłem uśpiony—owszem, to wszystko, co działo się dokoła mnie—oglądałem na jawie, wyraziście i czysto... Widziałem, jakem wyszedł z łóżka i momentalnie się przyodziałem; widziałem samego siebie, leżącego na łóżku w bezwładzie.

A więc to byłem ja. Byłem tu i byłem tam. Było nas dwóch. Dzisiaj wydaje mi się cała ta historya zgoła niewiarogodną, i czasami sądzę, żem był ofiarą złudy, snu, hallucynacyi—ale wtedy było to dla mnie tak jasne i zrozumiałe, że ani chwili się nad tem nie zastanawiałem. W okamgnieniu ten ja, stojący koło łóżka, rzucił się w przestrzenie, gdy tamten drugi ja leżał bezwładny w swym pokoju. Ów zaś uniósł się w powietrze, uleciał nad pola i lasy—i znalazł się w Podobłoczu, w znanym mi dworku nad brzegiem Wisły, gdzie była Zosia...

Z Zosią znałem się od dziecka—i od najmłodszych lat między nami była taka jedność i wspólność, że—mogę rzec—przestrzeń dla nas nie istniała. Komunikowaliśmy się ze sobą na odległość nie przez siłę telepatyi, nie przez czarnoksięstwo, ale potęgą naszych uczuć. Między nami nie było nigdy mowy o miłości: ponieważ była ona powietrzem naszem i istotą naszą. Nigdy nie było między nami wahań, zwątpień, rozdwojeń: byliśmy zawsze jednością. Dla tego też nie istniała dla nas przestrzeń; bardzo często zanim napisałem do Zosi list z jakiem zapytaniem, już miałem odpowiedź, gdyż Zosia już wiedziała, o co ją zapytam. Tym razem jednak zjawisko przybrało rozmiary wprost niesłychane. Mój sobowtór był na wsi, w Podobłoczu—w pokoju Zosi. Dziewczyna leżała na łóżku w silnej gorączce.—„O jak dobrze, żeś przyjechał“—zawołała. Nicem z nią nie rozmawiał, ale ona wciąż, mimo gorączki, opowiadała mi o sobie... Mnie zaś uderzyła jedna drobna zmiana w urządzeniu pokoju i zdawałoby się, żem cały się w tym błahym fakcie pogrążył. Oto abażur lampy dawniej był czerwony, a teraz zielony; dlaczego nie czerwony? rozmyślałem nad tem zagadnieniem, prawie bezwzględnie niem zaabsorbowany. Milczałem, a Zosia mówiła mi, że bardzo za mną tęskni, że powinienem opuścić Warszawę, że nadchodzą wakacye, żebym do nich przyjechał. Mówiła mi dalej, że się przeziębiła, że ma influencę, ale że to minie za parę dni i t. d. Tylko dlaczego ten zielony abażur?—W tej chwili weszła Natalka i prosiła Zosię, aby przestała się męczyć—i pytała z kim mówi.—Jakto z kim? Z Jankiem... Ale mi nie przeszkadzaj, bo on już odchodzi. Zostań, zostań!... Jakoś naraz wszystko mi

się przesłoniło mgłą — i wkrótce obudziłem się u siebie w domu.—Była może ósma rano. Czułem się bardzo rzeźki, wypoczęty. Całe to widzenie uważałem za sen. Wtem zapukano do drzwi. Gospodyni weszła do mnie i wręczyła mi telegram. Była to wieść z Podobłocza:— Zosia chora! Przyjeżdżaj natychmiast. W cztery godziny później byłem u nóg Zosi. Była chora na bardzo silną influencę. Wyglądała jak istota bardzo zmęczona i wyczerpana. Przyglądałem się jej z trwogą, a jednocześnie uderzył moje oczy zmieniony abażur na lampie: nie czerwony, jak dawniej, lecz zielony.—Niechciałem jednak poruszać teraz sprawy tak błahej—i pytałem Natalkę, która czuwała przy siostrze—o przebieg choroby.—Ach, jak to dobrze, zawołała Zosia, jak to dobrze, żeś powrócił! Dlaczego wczoraj byłeś tak krótko? Parę minut zaledwie... O, już teraz cię nie puszczę. Zostaniesz, póki nie wyzdrowieję.—Choć byłem bardzo zatrwożony bladością gorączkową Zosi, to jednak nie mogłem się powstrzymać i koniecznie chciałem zbadać, czy to był sen czy nie sen.

— Dlaczego tak prędko wyszedłem? Bo Natalka pytała się z kim rozmawiasz, więc nie chciałem wam przeszkadzać.—A widzisz, mówiłam ci, Natalko, żebyś go nie wypraszała, a ty swoje...

— Byłaś taka zmęczona—odparła Natalka, a wiesz, że ci doktór zakazał się męczyć.

— Dawno—przerwałem nagle, swoją myślą zajęty—dawno macie ten zielony abażur?

— Od tygodnia może. Tamten się zniszczył, więc wzięliśmy nowy.

— I nic osobliwego z tą sprawą się nie wiąże?

— Nic osobliwego. Nie rozumiem, o co ci idzie— mówiła Natalka—i nie rozumiem, jakim to sposobem byłeś wczoraj w nocy.

— Więc ten abażur—pomyślałem—to tylko szczegół bez znaczenia.—Teraz pojmuję: to było świadectwo prawdy, to był znak rozpoznawczy.—Ja wam to wszystko wytłomaczę — rzekłem obu panienkom. Po paru dniach Zosia wróciła do zdrowia—i wtedy jej opowiedziałem tę historyę. Aż się rozpłakała z mistycznego dreszczu.—Któż mi teraz zaprzeczy, że takie fenomeny są możliwe i rzeczywiste?

— Poprostu—hallucynacya—i koniec.

— Poprostu—niceś nie wyjaśnił i koniec. Zapytajcie doktora — on mnie przecież badał...

— Jest to dziedzina, w której bardzo trudno wypowiedzieć zdanie. Najczęściej mówią ludzie: w tem coś jest! I ja też nic innego nie powiem. Tłomaczyć sprawę hallucynacyą—to nie wystarcza. Fakty tego rodzaju są niesłychanie trudne do skontrolowania: powtórzyć eksperyment nie ma sposobu—zatrzymać zdjęcie fotograficzne, nawet obmyślić nic takiego nie można. Rzecz cała opiera się na sprawozdaniu osób wiarogodnych, ale najwiarogodniejsze osoby łączą rzeczy, które były z takimi, których nie było; uzupełniają swe widzenie i robią z tego fantastyczne nowele à la Hoffman. Zjawisko przeczuć, zjawisko rozmawiania na odległość— w każdym razie nie może być wykluczone. Uczucie miłości jest niewątpliwie potęgą telepatyczną—i tą drogą mogą dziać się sprawy, poniekąd—cudowne. Nie zaprzeczam prawdzie słów pana Jana, ale nie mogę powiedzieć, że napewno było tak, jak on mówi. Istnieje w czło-

wieku skłonność, zwana *mantivisme* albo *mentivisme*, co pochodzi albo od greckiego *mantis*—prorok, wróż, albo od *mentir*—kłamać. Gdzie jest granica mantywizmu i mentywizmu—określić nie podobna. Mieszają się one z sobą i kroczą razem.

— A to wyborne! — zawołał Okolicz. — Gdybyśmy mniej uprzejmie, niż doktór, rozważyli powieść Janka, to by się okazało, że właśnie on wziął rekord kłamstwa. Bo okłamał samego siebie, swego sobowtóra, swoją narzeczoną, cień swojej narzeczonej, jej siostrę, medyum, doktora i nas wszystkich.

— Za pozwoleniem — rzekł Nawara. — Tak mówić nie można. Pozwolę sobie tu zaznaczyć, że przy wielkiem napięciu uczuć telepatya w miłości jest, rzec można, zjawiskiem stałem i koniecznem. Kilkakrotnie w życiu miałem tego rodzaju objawy — smutne i radosne — choć nie tak potężne, jak to, co mówi Janek. Jeżeli miłość jest kondensacyą wszystkich potęg duszy — to przedewszystkiem doprowadza ona wolę naszą do siły nadludzkiej. Przy tej sile nadludzkiej — dusza może wywoływać nadludzkie objawy. Miałem, naprzykład, wprost cudownych parę miesięcy życia... Ale cóż to się stało Styczniowi? Czemu płaczesz, chłopcze?

— To jest drobiazg — rzekł Okolicz. — Styczeń ma pijaństwo czarnomelancholijne. Mów nam, drogi przyjacielu, czemu łzy wylewasz w swój kielich? Jaka troska cię gryzie — otwórz swe serce przed nami. My twoje rany uleczymy. Patrzcie — to ten obrazek na ścianie go wzrusza! Ale nie ten — nie polowanie na tygrysy, ani taniec w haremie baszy — to ten środkowy! Patrzcie, co za wzruszający oleodruk! Jakaś oberża w Tyrolu:

dwaj strzelcy w kostyumach narodowych — siedzą za stołem przy winie, a koło nich dziewczyna, bardzo ładna, w znaczeniu oleodrukowem, uśmiechnięta słodko i wesoło. Strzelcy ofiarowują dziewczynie róże; ona zaś, jakby się wahała, od kogo z nich ma przyjąć kwiaty — fartuszek mnie ręką — i wzbrania się i uśmiecha, ale znać, że miałaby ochotę na obie róże i na obu chłopców. Styczniu. Franusiu drogi, mów, czy to ten obrazek cię wzrusza?

— Wszystko mnie wzrusza — wszystko, a najwięcej moja czarna dola — bez róż, bez zórz, bez woni... Czuję się między wami jak wyklęty. — Każdy z was miał w życiu jakieś historye smutne i wesołe, gorzkie i słodkie. Każdy ma wspomnienia, każdy żył choć jedną chwilę życiem wyższem, każdy z was marzył, kochał, śnił... Ja nigdy nie miałem żadnej takiej historyi... Gdyby choć jeden raz, jedna dziewczyna tak się do mnie uśmiechnęła, jak ta... przysięgam, życie bym oddał za taki uśmiech, za takie spojrzenie, za pocałunek... Ale mnie nigdy nikt nie kochał: śród cieniów przepędziłem życie, śród niepojętych widm i upiorów, które mnie nawiedzały w nocy i kłamały mi urojone szczęście, o którem wiedziałem, że jest urojone... I cóż da się porównać z moją samotnością? Mówicie, że przeznaczenie—to nasza własna dusza — ale widocznie ja jestem człowiekiem bez przeznaczeń. Na drodze mego życia stało zawsze pragnienie jakiejś nieskończoności — i nigdy ani cząstki jej nie mogłem zrealizować. Wszystko mi się rozpływało w nieuchwytny, nieujęty cień — w mgłę bezcielesną... Nigdy — żadna z tych istot, które w życiu napotkałem, nie wcieliła mi się tak, jakby się wcieliła każdemu z was. Nigdym nie

tulił w ramionach ukochanej istoty, nigdy mię żadna kobieta nie całowała tak gorąco, jak kobiety umieją całować. Kilka razy zbliżałem się do istot wybranych, ale zawsze w sposób tak dziwny, jakbym nigdy nie kochał tego, co jest — ale to, co było; to, co będzie; to, co byłoby, gdyby... I tak bez końca... Coś, co staje się, coś, co mogłaby się stać; coś, co stanie się kiedyś... Słowem, dusza moja jest jakby w nieustającem przetwarzaniu samej siebie — i tego, z czem się zetknie — i nigdy się nie może zatrzymać u żadnej granicy. — Moja pierwsza miłość to była miłość do umarłej. — Prosił mię do siebie jeden przyjaciel. Wybierałem się długo do niego — bo to dość daleko, na głębokiej Litwie — i nareszcie przyjechałem. Ale że mi los zawsze przysposabia straszne niespodzianki, więc przyjechałem właśnie w dniu, kiedy jego siostra umarła na udar sercowy. Młoda, dwudziestoletnia dziewczyna, o twarzy greckiej Minerwy, była tragicznie piękną w swojej woskowej bladości twarzy i spokoju czarnych, zagasłych oczu; leżała na katafalku, z rękami na krzyż złożonemi, w białej sukni i białym welonie, jakby do ślubu z Nieśmiertelnością się wybierała. W otoczeniu świec i kwiatów była cudowna, jak anioł uśpiony — i czułem, że to był właśnie ów anioł, któryby mnie kochał i którego ja bym kochał; była to dusza moja wybrana, którą ujrzałem właśnie w chwili, gdy ją bogowie zabrali do siebie, bo im zbyt smutno było bez jej obecności.. I poszedłem w świat—i znów się błąkałem — i znowu szukałem swego anioła. Spotkałem pewną kobietę lat około trzydziestu. Była to piękność dojrzała i szlachetna, o rysach czystych i marmurowych. Miałem dla niej cześć półboską. Była mi życzliwa, nader życzliwa: nie ośmielę się

rzec — kochała mnie. Byłem już nawet gotów się z nią żenić. Rozmawialiśmy często o jej przeszłości. Wspominała swoje dzieciństwo, pokazywała mi swe fotografie i portrety z dawniejszych czasów. Śród portretów był jeden, który ją przedstawiał jako dziewczynę szesnastoletnią, różę, rozkwitającą śród jakiejś łąki mistycznej, zjawienie nieporównane mocy bożej, które trwało na ziemi jedno mgnienie — i zniknęło — i zapadło się w otchłań bezdenną przeszłości. Moja pani sama sobie stworzyła niebezpieczną rywalkę; samą siebie wywołała z nicości — tę, którą ona była niegdyś — i ta czarodziejka znikniona, którą w snach swoich ucieleśniałem, którą kochałem i pieściłem — ta nieistniejąca istota widziadlana usunęła mi w cień żywą osobę, która mnie kochała. Ale ja kochałem inną i czułem, że ta żywa istota jest tylko schematem mojej miłości... I rozeszliśmy się — i znów na ziemi byłem sam. Już nie spotkałem nigdy tej, która była, a tę, która jest, pożegnałem dobrowolnie.

Po pewnym czasie znowu się zająłem istotą niewieścią, w sposób nie mniej dziwny. Bywałem u znajomych, państwa N., którzy mieli córkę dziesięcioletnią. Ze wszystkich stworzeń płci białej — ta mnie interesowała najwięcej. Były w tem dziecku niepojęte głębie, niby wróżba jej przyszłej mocy anielskiej. Zaczarowana królewna — istota z baśni — geniusz uczucia i geniusz wdzięku. Odczuwała we mnie w sposób nieokreślony jakąś nieokreśloną tęsknotę ku sobie, tęsknotę za jakąś nieokreśloną rzeczą, której zapewne sam bym nie określił. A ja? Czyli można użyć w tym wypadku tego wyrazu? Tak, kochałem ją, ale znów była to dziwna, nierealna miłość; kochałem

w tem dziecku istotę, która się w niej dopiero jutro rozwinie; kochałem w niej to, co będzie. Rodzice z dzieckiem później wyjechali — i nie wiem, co się z nią stało. Kochałem jeszcze — lękam się wyznać — kochałem sztuczny model, lalkę, podług której malowałem obrazy w braku osoby żywej... Była to lalka kauczukowa, wielkości ludzkiej naturalnej, zbudowana kunsztownie, tak, że nawet wyraz twarzy był cale człowieczy — i w gruncie mało czem się różniła od istoty żywej. Miała uśmiech jednostajny, — milczała nader wymownie — poruszała się stosownie do mojej woli — słowem, była to wiecznie jedna i ta sama, gwiazda stała, w której nigdy żadnej odmiany nie można było przewidzieć — łagodna, cicha, posłuszna. Ubierałem ją w piękne, barwne suknie, w kwiaty i klejnoty... Obmyślałem dla niej różne rozmowy, tak, że w imaginacyi rozmawiała ze mną czasami bardzo inteligentnie, czasami bardzo tkliwie. Niezrównana była w dyalektyce. Obmyślałem nadzwyczajne epizody jej życia — i tworzyłem sobie cudowną baśń o niemej królewnie. Ale nakoniec odkryłem prawdę: ona nie była żywą — i przestałem ją kochać, tembardziej, że inne widziadło znowu opanowało moją duszę. Na mej ulicy widywałem codziennie samotną dziewczynę, która się pokazywała koło siódmej wieczorem, a koło drugiej po północy znikała... Błąkała się tak po całej dzielnicy, jak Wenus z nieba na śmietnik wygnana... Miałem dla niej szczególne współczucie i układałem sobie od czasu do czasu tragedyę jej życia — i to, co mogłoby być, gdyby... Mogłaby być heroiną, mogłaby być wielką damą, mogłaby być wielką artystką, bojownicą prawdy... Była bardzo ładna, a zwłaszcza miała w oczach przedziwną niezgłębioną

melancholię, jakby męczeński żywot dziewczyny ulicznej doprowadził jej duszę nie do zaniku, lecz do załamania... Ubierała się bardzo skromnie i poważnie. Żadnych szminek, malowideł na twarzy. Są takie dziwne twory, że nawet, gdy unurzają się w błocie, można odgadnąć królewskość ich duszy... Nigdym z nią nie rozmawiał, nigdym nie słyszał jej głosu, ale prawie codziennie spoglądaliśmy na siebie, wymieniając jakieś niewypowiedziane słowa.

Nieznajoma znajoma patrzyła na mnie swojem wielkiem, jasnem, smutnem okiem, jakby mówiła: „Nie zapominaj o mnie!“ Ja zaś musiałem mieć w spojrzeniu coś świadczącego o mej sympatyi i tęsknocie, tak, że między nami zawiązał się niemy, słodki romans... Czułem, żem ją kochał i że ona mnie kochała—i że kto wie, co by było, gdyby... I oto pewnego dnia jej nie było—i nazajutrz i na trzeci dzień — i cały miesiąc—i pół roku... Zniknęła, na zawsze zniknęła! Czy się otruła, czy umarła, czy poszła do szpitala, czy wyjechała, czy ją kto porwał i zabrał ze sobą, czy ją zamordowali? Kto to wie? Nieustannie myśl moja była tem zajęta, nieustannie do tego wracała. Znikło coś z mojego życia, jakiś pierwiastek ważny i głęboki, coś, czem zapełniałem swą pustkę i teraz dopiero zacząłem naprawdę rozumieć, że ją kochałem. Jakiś dziwny przesąd powstrzymał mnie od zbliżenia; lęgałem się rozczarowania, lękałem się, że ta królewna okaże się czemś bardzo płaskiem i lichem. Może to było moje przeznaczenie—i przeszedłem koło niego, jak ślepy... Długo było mi bez niej tak, jakby litery mego życia zatraciły swe pierwotne znaczenie. Już jej nigdy nie widziałem...

Przeszedłem przez widma i cienie, przez mogiły i obłędy, ale nigdy nie miałem w życiu sceny tak prostej i naiwnej, jak na tym głupim obrazku... Dlatego, waszych opowiadań słucham z zazdrością, bo mi się nigdy nie zdarzyło nic podobnego... Kochałem zawsze to, co obce, dalekie, nieznajome, to, co przeminęło i nie wróci, to, co dopiero zjawi się kiedyś, ale jeszcze nie jest, to, czego nigdy nie było i nigdy nie będzie... I oto we mnie samym nienasycona próżnia i głód ogromny pocałowań... Widma, widma!

— I to wszystko? i więcej takich widm nie miałeś?

— Miałem, miałem, coraz inne, coraz nowe, ale nigdy nic realnego.

— I ty—rzekł Nawara—ty zowiesz to żywotem nikłym, pustym? Ależ przeciwnie, to żywot cudowny, baśniowy, niemal wszechmocny w stosunku do fatum. Stanąłeś ponad rzeczywistością i sam ją sobie stwarzasz. Nie ty ulegasz zjawiskom, które napotykasz, ale sam wolą własną je przetwarzasz. Bynajmniej zgodzić się nie mogę na to, coś rzekł, że jesteś człowiekiem bez przeznaczeń; jesteś ich panem.

— Być może, ale czasem chce mi się płakać i mówić, jak ten waryat u Szekspira: Biednemu Tomkowi zimno! Zimno mi, pusto na świecie...

— I nie może być inaczej—zauważył Tarło. Na lodowej górze, niby Kościej, mieszka ten, co fatum swoje chce rozsnuć poza światem realnym. Każdy z nas jest albo sługą praw społecznych, albo sługą praw natury. Czasami obie te kategorye praw schodzą się, czasami bywają w konflikcie, ale to jest życie. Ty staną-

łeś po za wymogami zarówno praw społecznych jak i praw natury; przeto, powiedzieć mogę, nie żyłeś. Śród cieniów przeszedłeś, obok linii życia i po za nią... Tam atmosfera tak jest rozrzedzona, że już oddychać nie można.

— A więc — zapytał Nawara — profesor uważa, że ten żywot nad-realny, w *possibiliach*, w *imaginabiliach*, że ten żywot nie jest cudowny? Styczeń, który może powołać do bytu każdą postać z przeszłości, wszystkie boginie i bohaterki, wszystkie Ewy narodzone z fantazyi poetów, wszystkie sukkuby szatańskie i aniel-
fantazyi poetów, wszystkie sukkuby szatańskie i anielskie; on, dla którego rzeczywistość jest tylko kanwą jego własnych marzeń, zawsze doskonałych i nieomylnych, rzeczywistszych od rzeczywistości—on czyż nie jest szczęśliwym?

— Jego zapytajmy! Franciszku, mów, czyś był szczęśliwy?

— Nie!

— A dla czego?

— Nie wiem dla czego. Może i prawdę mówi profesor, że trzeba być posłusznym nakazom bytu trójwymiernego. Ja chciałem być duchem wolnym, duchem najwolniejszym. Nie chciałem być niewolnikiem żadnych praw; nie chciałem być niewolnikiem ani społeczności, ani natury. Może i prawda, że trzeba być podwładnym rzeczywistości.

— O ile rzeczywistość istnieje—ma ona tę doskonałą wyższość nad wszelkiem urojeniem, że istnieje.

— A jednak—mówił Nawara—bez urojeń rzeczywistość byłaby najcięższą zmorą i okropnością. Zamię-

rzałem wam opowiedzieć jedną swoją historyę o pewnej słodkiej istocie, którą widziałem nader krótko, ale która jako cień nawiedzała moje sny, gdym błądził nad oceanem zdaleka od niej. I pomimo, że nas dzieliły i góry i rzeki—byłem z nią w ciągłej komunikacyi i nieomylnie wiedziałem zawsze, gdzie ona jest i co robi; a z jej listów—przekonałem się, że i ona również doskonale wie zawsze, jaki jest stan moich uczuć i myśli.— Oddziaływanie na odległość istot, które ze sobą sympatyzują, jest to dla mnie rzecz niewątpliwa i niezaprzeczona.

— Opowiedz-że tę historyę—zawołał Dantyszek.— Robisz nam oskomę. Przygotowujesz nasz do wielkiej sprawy i milczysz, cicha wodo! Wiemy o tobie, żeś zawsze był sentymentalny i że nie zawsze romansowałeś z cieniami; mógłbyś nam więc niejedno opowiedzieć. A tymczasem dzisiaj milczysz, jak zaklęty.

— Zamierzam kiedyś całą moją historyę sentymentalną opowiedzieć wam, mili przyjaciele, ale byłaby to powieść zbyt długa na dzisiejszy wieczór, gdyż zwrócę wam uwagę, że jest już piąta nad ranem—i że istotnie gadaliśmy dziś bez przerwy, pracowicie i gorliwie.

— Miałeś też nam powiedzieć historyę pod nazwą: Jej imię.

— I to odkładam na przyszłość.

— Widać, że cień stoi przy tobie i usta ci zamyka. Któż więc jeszcze ma co do powiedzenia w sprawie walki Stycznia o swobodę człowieka od praw natury i społeczności.

— Ja!—odezwał się doktór—na co jednomyślnie wszyscy przystali.

— Ze swojej praktyki lekarskiej przypominam sobie pewną cudowną kobietę, która zapewne byłaby urzeczywistnieniem ideału Stycznia. Niestety, gdybym był o tem wiedział wcześniej, rzecz byłaby inna, ale dziś jest ona poślubiona—i już Styczeń ma do niej drogę zamkniętą. Zresztą ta pani mieszka na głębokiej Ukrainie. A naprzód muszę wam powiedzieć o sobie, że—jakkolwiek miałem trzy żony—zawsze jestem bardzo wrażliwy na wdzięki niewieście i każda na mnie inaczej oddziaływa. Dla tego stworzyłem sobie z całego szeregu moich znajomych gammę i wszystkie nazwałem, jak tony w muzyce: *do-re-mi-fa-sol-la-si* i t. d. Jest to mój cykl p. t. *Nastroje*. Owóż w tym cyklu, w tonie *sol*—miałem pewien nastrój, który dziś nazwałbym Styczniowskim, gdyż był całkowicie w duchu Stycznia. Znałem pewną kobietę przedziwną porówno zewnętrznie jak i duchowo. Była ona prawdziwie jak *sol*—słońce, coś w niej było z Heliosa czy z Helionei, o ile taka bogini istniała, po prostu promień słońca. Stary cynik, jak ja—a przecież w jej obecności czułem jakąś szczególną, powiedziałbym platońską, pogodę ducha. Było mi koło niej tak dobrze,

jak niewątpliwie każdemu, co się do niej zbliżał. Jakaś dobroczynna cisza i czystość duchowa promieniała od tej jasnej słonecznej postaci. Nie było w niej nic mistycznego; owszem obecność Maryi budziła w tobie raczej sentyment, że tak powiem, logiczny, niż mistyczny. Pomimo czyste formy jej ciała, pomimo piękność jej twarzy—i szlachetne linie rysów, pomimo wreszcie jej duży wzrost i obfitość kształtów—osoba jej miała w sobie jakąś—powiedziałbym—bezcielesność, która sprawiała, że wobec niej czułeś się jak wobec istoty nadzmysłowej. Nastrój—rzeczywiście—szczególny, a który dla jego wyjątkowości nadzwyczaj ceniłem. Rozmyślałem nieraz nad świętością tego zjawiska, które się nazywa: siostra—i rzeczywiście wobec Maryi czułem, że jestem wobec siostry, jakiejś cudownej, wybranej siostry.

Śród znajomych Maryi był pewien młody adwokat—Ludwik S., który ją ukochał bezgranicznie, w co łatwo uwierzyć, gdyż chociaż moje uczucie było zupełnie szczególne wobec Maryi, to jednak rozumiem doskonale, że można było się w niej rozkochać tak jakby była realną kobietą. Ludwik był to człowiek temperamentu spokojnego, powolny w rozwoju myśli i uczuć, ale każdą myśl i uczucie przeżył, przetrawił, przefiltrował po tysiąc razy w samym sobie, aż nakoniec kondensował je do niezwykłej, hypnotyzującej potęgi.—Takim fenomenem w jego życiu była miłość do Maryi. Długo ważył w sobie moc tego uczucia, długo walczył ze sobą, zanim cześć jaką miał dla tej bogini połączyła się w jego sercu i postanowieniu w jedno z żądzą, jaką czuł dla jej kształtów ziemskich. Uważałem też, że ze wszystkich młodych ludzi, jacy ją otaczali—Ludwik miał u Maryi największą

sympatyę, nawet niejako miłość. Istotnie Marya, która miała do mnie wielkie zaufanie, wyznała mi kiedyś, że ma dla Ludwika jakieś wyjątkowe i wyróżniające się uczucie; że Ludwik czynił jej propozycye małżeńskie; że nie wie, jak się zdecydować—i że nie ma odwagi mu odmówić. W gruncie rzeczy wolałaby nie wychodzić za mąż, ale znowu żyć w oddali od Ludwika—byłaby to dla niej wielka męczarnia. Z drugiej strony w stosunku małżeńskim, o czem ona doskonale wie, jest dużo plugastwa i to właśnie budzi w niej strach przed tym krokiem. Gdyby można było całe życie przeżyć po bratersku, to byłaby cudowna harmonia między małżonkami, ale służyć nikczemnym nakazom zmysłów, zmienić się z istoty duchowej w osobliwe bydlę, służące zaspokojeniu rozkoszy męzkiej—o, co za poniżenie! co za nędza! co za ohyda! Jeżeli związek kobiety z mężczyzną jest grzechem—to jest on grzechem zawsze i wszędzie bez względu na ich charakter prawny. Właściwie najszczytniejszym byłby żywot w klasztorze. Marya czuje, że właściwie Ludwik jest dla niej wybranym i najmilszym. Ale dla czego zaraz się wiązać w gospodarstwo i wspólność łoża?

Czy nie powinnoby raczej być tak, że ludzie, którzy istotnie kochają — rozchodzą się na wieki, na dwa krańce świata, aby przechować swoją miłość w czystem i świętem wspomnieniu? aby najmniejsza trywialność nie plamiła ich świątyni?

Na skutek jednak moich przedstawień Marya zdecydowała się zostać żoną Ludwika.—I tu dopiero zaczyna się szczególny dramat, którego świadkiem oczywiście nie był nikt i nikt jego szczegółów opowiedzieć nie

może, ale który znam zarówno z opowiadań Maryi jak Ludwika.—Młody małżonek był niezmiernie szczęśliwy, kiedy wprowadził pannę młodą do komnaty ślubnej. Ale ona mu powiedziała, że go nazbyt kocha, aby swoją miłość kalać nierządem—i prosi go, aby jej pozostawił najdroższy skarb dziewictwa i aby żyli ze sobą w anielstwie i doskonałości duchowej. Mówiła mu dalej, że przeczuwa nieustający wzrost swej miłości ku niemu, ale im więcej będzie go kochała, tem bardziej pożądać będzie w ich związku świętości i zwalczenia tych wszystkich pierwiastków, które czynią człowieka zwierzęciem.—Ludwik mi wyznał, że te oświadczenia sprawiły mu niezmierną boleść; uważał tego rodzaju nastrój za objaw patologiczny, który należałoby leczyć i właśnie do mnie się zwrócił po lekarstwo. Nie wydawało mi się właściwe wkraczać w tak zawiłe i dyskretne sprawy domowe: znaleźć lekarstwo na nadmiar cnoty, która staje się już czemś zwyrodniałem. Marya ze swojej strony wyznała mi, że wielkie rozczarowanie spotkało ją po ślubie. Sądziła ona, że wchodzi w jakąś komunię duchową z człowiekiem, którego kocha, a tymczasem ten okazał się istotą nędzną, w której oczach widzi nieustannie jakieś błyski zwierzęce, coś co mu odbiera wszystką jego przyrodzoną szlachetność; Ludwik poprostu chce, żeby ona—Marya—stała się jego nałożnicą, kochanką fizyczną, aby mu ulegała w sposób ohydny; ale ona nie może w ten sposób reagować. Jest dwóch Ludwików: jeden jest pół bogiem, duchem czystym, aniołem, którego ona bez pamięci kocha—i drugi, w którym się wiążą wszystkie najczarniejsze moce piekielne: tego odpycha, tego znać nie chce, tego nienawidzi. Czuje, że gdyby szatanowi

uległa, toby od anioła się oderwała. Ona chce zachować swoje anielstwo, aby podnieść w Ludwiku to, co w nim najbardziej kocha i uwielbia. On ją czci, ale zarazem pożąda jej ciała w sposób brudny i surowy. Mówi nawet, że w nim cześć i żądza połączyły się w jedną mistyczną potęgę. Ona nie chce takiej mistyczności; ona kocha dla samej miłości, nie zaś dla służby nikczemnych wymogów natury ludzkiej i t. d. Nie będę wam rozpowiadał wszystkich szczegółów tej dyskusyi, która do mnie dochodziła w formie oderwanych wyznań już to Maryi, już Ludwika, ale która w domu zmieniła się w osobliwą, jedyną w swoim rodzaju walkę. Kobieta, pełna miłości, nie chciała jej urzeczywistnić, jak tego żądały prawa bozkie i ludzkie, a mężczyzna, kierowany już to czcią, już to żądzą—nacierał i cofał się znowu, raz opanowany nadmiarem czci, raz znowu żądzy.—Wynikały z tego nieustające konflikty, gdy mężczyzna, zapominając czci, cały stawał się satyrem i faunem. Ale zawsze przemagała w nim cześć, albo może słabość—i po półrocznej walce Marya pozostała tak samo dziewiczą, jak była w chwili, gdy wstąpiła do ślubnej komnaty... Bywały okresy ciszy i pokoju między niemi, kiedy Marya czuła się nad wyraz szczęśliwa i jakby w niebo uniesiona. Ale po pewnym czasie Ludwik doszedł do wniosku, że jest to żywot bez sensu; że pożądanie jego powinno być zaspokojone—i postawił sprawę na ostrzu miecza: albo Marya zostanie jego żoną w rzeczywistości albo się rozejdą. Niema innej drogi. Marya się rozpłakała takim płaczem, jakby duszę zatraciła; czuła ona, że zerwać z Ludwikiem to dla niej śmierć poprostu; a więc się poświęci, a więc mu się odda, jak suka albo krowa;

a więc poniży swoją naturę człowieczą, przestanie być duszą, przestanie być aniołem, przestanie kochać, czcić i uwielbiać męża, który się stanie wobec niej zwykłem bydlęciem.

Postanowiła zatem — tego a tego dnia, o tej a o tej godzinie, popełnić ten śmiertelny i plugawy grzech miłości fizycznej. I gdy nadeszła godzina wyroczna, ona uklękła przed nim i błagała go, aby jej przebaczył, aby nie naruszał świętości ich związku— i we łzach całowała mu ręce. Ale mąż był już w najwyższym stopniu rozstrojony i postanowił bądź jak bądź przełamać jej upór. Zdarł z niej szaty i porwał ją w ramiona i począł ją całować namiętnym głodem tysiąca pocałunków straconych na zawsze, pocałunków, które miały się urzeczywistnić, ale dotąd się nie urzeczywistniły. Marya omdlewała w tym uścisku; chwilami oczy zamykała, jakby chciała powiedzieć: niech się stanie! Ale naraz przebudziła się w niej cała energia czystości, cała jej żądza by zostać niepokalaną i nie dopuścić do splugawienia swych uczuć; cała ta jej myśl, aby Ludwik nie spadł do stanu niższej istoty—i nanowo rozpoczęła z nim tragiczną, straszliwą walkę, by się wydobyć z jego uścisku.—Nie mając innego sposobu, ugryzła go mocnymi białymi zębami w rękę, aż ten krzyknął z bólu i chwilowo ją wyswobodził. Wtedy Marya, półnaga, uciekła z jego sypialni i ukryła się w swoim pokoju, szczelnie zamknąwszy drzwi na klucz i zasuwę. Próżno krążył koło tych drzwi Ludwik, jak lew zamknięty w klatce, gdy w sąsiedniej klatce spoczywa młoda lwica. Jeżeli Marya płakała, to można śmiało powiedzieć, że Ludwik ryczał pod jej drzwiami. Była to ostatnia noc.

spędzona przez Maryę w domu męża. Noc bezsenna, pełna sprzecznych i dziwnych uczuć: bo naprzód gardziła sobą, że prawie już mężowi swemu uległa, a powtóre gardziła nim, że on ją do takiego stanu doprowadził; następnie żal jej było tych rozczarowań, jakich ona doznała i jakich on doznał—i płakała nad tem, że musi z nim się rozstać, bo już dłużej tak żyć nie można, a dopuścić do tego, do tej ohydy i plugastwa—nie, za nic na świecie!

Podług mego rozumienia rzeczy Marya uważała sama siebie za cień i Ludwika uważała za cień—i pragnęła, aby życie ich wspólne było życiem dwojga cieni. Wszystko to więc jest w duchu Styczniowskim, ale stała się jedna rzecz nieprzewidziana. Ta, więcej niż półroczna, walka z Ludwikiem, a zwłaszcza ta noc ostatnia obudziła w Maryi jakiś dreszcz nieznany, tajemniczy, rozkoszny. Marya czuła, że upada, że się w niej budzi jakaś ohydna suka, pożądająca uścisków i pocałunków—i czuła, że bez zaspokojenia tej żądzy ona sama będzie istotą niepełną, chybioną i załamaną. A więc tą żądzę zaspokoić—i któż to uczyni? Ludwik? Ale ona zbyt kocha Ludwika, aby mogła dopuścić do takiego brudu między nimi. Nie, to nie może być Ludwik: on jeden jedyny na ziemi nie może być przedmiotem tej ohydy, każdy inny—byle nie on... O Ludwiku, mimo wszystkie gorycze, chce ona mieć wspomnienie czyste, jasne, promienne... I naraz przypomniał się jej pewien tęgi Ukrainiec, bardzo głupi i bezmyślny, ale dobrze zbudowany i przystojny.

I niespodzianie, mimo woli, zaczęła marzyć o tym człowieku, który jej był zupełnie obojętny, którego ani

znała dostatecznie, ani kochała — i w marzeniach widziała, jak ten centaurus trzyma ją w swoich objęciach— i tak rozkosznie pieści i całuje — i stało się jej niewymownie lubo i słodko... Nazajutrz opuściła Ludwika, którego żegnała tkliwie i przyjaźnie, zaprzysięgając mu wieczną miłość oraz wspomnienie czyste i świetlane... Ludwik przyjmował te jej czułości nieco brutalnie, ale jej nie zatrzymywał. — Wkrótce też rozpoczęli proces rozwodowy — i Marya została żoną tęgiego Ukraińca, którego bynajmniej nie kochała, którego traktowała jako bydlę, ale właśnie dlatego, że go nie kochała — mogła z nim żyć w stosunkach właściwych zwierzęcej naturze człowieka. W ten sposób z krainy cieniów zeszła ona do brudnej rzeczywistości.

— Chwała Bogu, — zawołał Okolicz — że się tak zakończyło, bo już się lękałem, że to będzie dramat psychologiczny, jak to dziś bardzo lubią niektórzy. Widzę jednak, że Marya nie była bez rozumu. Ostatecznie wszystkie drogi prowadzą do Mekki — i to jest dla Stycznia wskazówka doskonała. Proszę cię, Franusiu, jedź do Cytery, jedź do Cytery! Znajdziesz ją łatwo, leży ona widoczna na wzgórzach Afrodyty. A wszystko inne jest literaturą. Co się tyczy Ludwika, to nie mam dla niego współczucia. Był to gamoń co się zowie — i mówiąc poprostu, był to cień — zupełnie taki sam cień, jak te, które prześladowały Stycznia. Gdyby ten Ludwik zrozumiał swoją cienistość czy cieniowatość, toby starał się bardziej przybrać w formy cielesne — i niewątpliwie przestałby być cieniem dla niej i dla siebie.... Nie, kochany doktorze, twoja przyjaciółka Marya nie bardzo ci się udała.

— Ostatecznie — zaznaczył Dantyszek — w tej sprawie nielogicznej wszystko jest logiczne. Jeżeli Chamfort określa miłość, jako *échange de deux fantaisies et de deux épidermes* — to mogą także być wypodki, gdzie

działa albo tylko fantazya, albo tylko epiderma. Zupełnie jest możliwe, że na kogoś oddziaływa inaczej Emilia, inaczej Amelia.

— Ale koniec jednakowy!

— No, zapewne, koniec każdej powieści bywa prawie jednakowy. Ale wyobraźmy sobie szereg jednostek męzkich *A, B, C*... i żeńskich *a, b, c*... Ich związki mogą być oparte na zasadzie fantazyi i na zasadzie epidermy— jako *Aa, Bb, Cc*.... albo tylko na jednej zasadzie *aA, bB, cC*... albo wreszcie magą być związki nieskładne *Ab, Ac, Ba, Bc, Ca, Cb*... Tylko w pierwszych połączeniach— i to bardzo rzadko, o ile takie połączenia się zdarzają — możliwą jest harmonia. We wszystkich innych wypadkach mamy starcia, których liczbę wyraża formuła: 12.11.10.9... 2.1.

— Bardzo mi się podoba ta twoja algebra. Widać, że doprowadziłeś swoje cienie do czystej formy bez treści, do figur matematycznych; jeżeli dalej tak będzie, to stanie się jak w tej indyjskiej legendzie, w której sam bóg miłości uprawia ascezę, aż od niej spłonął — i miejsce, gdzie przedtem kwitnął *Anga*, stało się *Ananga*. Miłość-ciało zmieniła się w Bezmiłość-bezcielesność!

— Przypominam sobie —rzekł Tarło — że za mojej młodości była pewna grupa młodzieży, która pod wpływem najrozmaitszych przyczyn rozwinęła w sobie trwogę miłości. Taki nastrój panował zarówno śród mężczyzn, jak kobiet — i jakiś czas było bardzo w stylu mówić: Nie, ja nie umiem kochać! — Melancholia tej młodzieży kierowała swe uczucia ku jakimś problematom ogólnym, ziemskim, społecznym, albo też naodwrót nadziemskim, mistycznym. Tak wyglądało to nazewnątrz,

ale w gruncie duszy młodzież ta się gryzła i bardzo często, gdy właśnie serca ich biły najgoręcej, tłumili w sobie uczucie, a ten pierwiastek zwątpienia był dla ich dusz siłą rozkładową; czasami znowu z tego wynikały rezultaty wcale odmienne, furya zmysłowa, erotomania wprost chorobliwa. Mówię o tem tylko ogólnikowo, ale mógłbym wam niejedną opowieść tego rodzaju przytoczyć. Ponieważ jednak pokoleniami odmieniają się role, przeto zaraz następna warstwa młodzieży była cała nawskróś przeniknioną erotyzmem — i właściwie o niczem innem nie myślała, tylko o kobiecie, jak gdyby istatnie w kobiecie ogniskowała się wszystka esencya bytu...

— Jako żywo tak jest — zawołał Fredzio — i błogosławię samego siebie, że nie należę do tego pokolenia, co wielbiło swoją własną niemoc! Przeciwnie, kochałem, kocham i kochać będę, póki mi starczy mocy, a mocy posiadam moc nieprzebraną, tak mi Boże dopomóż. Amen. Nie chcę cieniów, jak Styczeń, co doszedł do łysiny bez grzechu i bez winy! Nie obchodzi mię ani to, co było, ani to, co będzie, ani to, co byłoby, gdyby... Kocham tylko to, co jest; kocham rzeczywistość! Nad Ofelię albo Elektrę wolę Fruzię albo Manię...

Na co Henryk:

— Niech przepadnie rzeczywistość! Nienawidzę rzeczywistości! Jestem wrogiem tego płaza, który swojemi oślizgłemi palcami otacza nas dokoła — i jadowitym oddechem zatruwa każdy nasz poryw poza granicę niziny ziemskiej. Cierpię — ale kocham tylko to, co jest nierzeczywiste! Kobieta realna nigdy nie jest tem, czem ją sobie wymarzyłeś! Tem, czem chcesz, aby ona była,

kobieta może ci się zjawić, ale raz jeden — na mgnienie, na pół mgnienia — i ta istota, którą przez to mgnienie widziałeś — to jest owa kobieta, którą miałeś kochać; ale ona była na ziemi w swej promiennej, kryształowej czystości — tylko minut parę, tylko jedną minutę, a potem znikła na wieki i nigdy już nie powróci — nigdy! Ta, którą masz przed sobą, to jest inna kobieta, kobieta splugawiona błotem rzeczywistości, nie twoja wymarzona bogini, nie Ellenai, nie Lilith, nie Lilla — to jakaś mizerna Fruzia lub Mania....

— Za dużo wymagasz od kobiety, a za mało od siebie samego — rzekł Tarło. — Zapewne ta idealna kobieta, ta istota z siódmego nieba może się w twojej wybranej zjawić na jedną minutę, ale i tego jest dość — bo od tej jednej chwili pobytu w najwyższej sferze niebios spływa na nią błękitno-złoty cień, który już na całe życie kryje się w niej niewidzialny. Był-żeś w tem niebie dalekiem, gdzie ona była jedno mgnienie: był-żeś ty — choć jedno mgnienie! Czyś się nad tem zastanawiał? Czemu żądasz doskonałości z jednej strony, a siebie z góry uważasz za doskonałego? Na wyspie Jawie są małżeństwa trojakiego rodzaju: albo mężczyzna kupuje żonę — i wtedy ona jest jego niewolnicą; albo żona kupuje męża — i wtedy on jest jej niewolnikiem *(sclavus dotalis* — u Rzymian); albo też obie strony łączą się ze stanowiska równości. Owóż w naszych czasach — to stanowisko równości — prawie nie istnieje. Styczeń wolał urojone wyższości, niż realne postaci mniej doskonałe, lecz realne.

— Sam chcę tworzyć rzeczywistość — i nie mogę uznać tej, która mnie gnębi, ciśnie, dusi, łamie...

— Stanę w obronie Stycznia — rzekł Nawara. — Każdy człowiek jest podwójny: ma on swoją własną doskonałość wewnętrzną, swój własny ideał, który jego życiem kieruje; jest to wielkość, może ułudna, esencya niewidzialna, utajona, ale zasadnicza dla każdego człowieka. Jest to jego gwiazda polarna, która kieruje życiem. Z drugiej zaś strony jest on sam — realny — mały, słaby człowiek. Owóż te wielkie pragnienia wyraża nie ów słaby, lichy człowiek realny, lecz ten wewnętrzny duch doskonały. Przypuszczam, że i w kobiecie jest to samo. Miłość odczuwają nie te zewnętrzne liche istoty, ale właśnie te nasze bogi wewnętrzne. A ponieważ zawsze się odbywa walka między tym naszym bogiem a tem naszem lichem przejawiskiem realnem — przeto nigdy lub prawie nigdy niema tego związku doskonałego, o jakim marzą nasze bogi. Dlatego w życiu tyle tragedyi.

— Na miłość Boga! — zawołał Okolicz — tylko bez tragedyi! Niecierpię tragedyi—niecierpię melancholii, smutku i tym podobnych nędz. Powinniśmy żyć wesoło, drwić ze wszystkiego, a przedewszystkiem z samych siebie.

— Może to i prawda, ale śmiech, drwiny, a broń Boże, tak zwana pogoda ducha—to objaw starczy, który się zjawia, kiedyś już utracił siły do tragizmu. Młodość jest tragiczna. Tragedya to potężny czynnik energii życiowej; źródło wieczystego przetwarzania się ducha, źródło twórczości. Bez tragedyi — bez cierpienia świat byłby jałowy i znieruchomiony.

— A zatem, Henryczku — rzekł niby to urażony Okolicz — chcesz mi powiedzieć, żem się zestarzał, albo raczej, żem nigdy nie był młody, bo zawsze miałem skłon-

ność do śmiechu, nienawidziłem tragedyi — i cały świat traktowałem jako błazeństwo. Dlatego proszę was, przestańcie wasze głębokie i *subs̀telne* analizy—i powiedzcie jaką pieprzną anegdotę.

— Karolu! — rzekł Dantyszek — tyś nam obiecał opowiedzieć historyę o tem, jakoś nas zdradził i potajemnie się ożenił.

— Historya długa i chyba ją wam powiem kiedyindziej na jakiem osobnem posiedzeniu.

— A więc nie. Zaregestrujemy: Henryk Nawara obiecał nam opowiedzieć swoją historyę, Karol—również.

— A Janek czyż nam nie opowie swojej historyi?

— Również jest to zbyt długie. Ale ty, Dantyszku, gadaj.

— I ja proszę o pozwolenie na przyszłość.

— Wogóle — rzekł doktór — zwracam uwagę panów, że już na świecie jest biało; że właściwie każdy powinien teraz siedzieć w swej pracowni — i przyjmować chorych albo pokrzywdzonych, którym należy się obrona, pisać dzieła nieśmiertelne lub malować niemniej wiekuiste obrazy. Inna sprawa, czy się to uda po nieprzespanej nocy — i czy nie byłoby najwłaściwiej wprost iść spać, gdyż nie tyle pora, ile zasada po temu zda mi się najodpowiedniejsza... Słusznie nagroda snu należy się tym, którzy tak szlachetnie noc przepędzili, śpiewając epitafium przyjacielowi — w opowieściach żałobnych i krotochwilnych — i tak podnosząc chwałę młodzieńca, który zginął w kwiecie lat! Zaiste, pełni gniewu przeciw temu naszemu kochanemu wrogowi, gadaliśmy tylko o nim, wszystkie inne zagadnienia bytu w mrok usunąwszy — i gdybym sam o nich nie był gadał — tobym dziś jak

Schopenhauer wygrał luidora. Schopenhauer niegdyś bywał w restauracyi we Frankfurcie; przy sąsiednim stole siadywała tam codziennie grupa oficerów. Wielki pesymista przychodził tam przez rok cały—i przy talerzu swoim codziennie kładł luidora. Gdy go pytano, czemu to robi, odpowiedział: „Blizko rok przychodzę tu na obiady — i mimowoli słucham rozmowy tych oficerów. Zaprzysiągłem też sobie, że jeżeli ci panowie jeden raz mówić będą o czem innem, nie o kobiecie — to ofiaruję te dwadzieścia franków na biednych. I przez cały rok nie mogłem wypełnić tej przysięgi“. Drodzy przyjaciele, sądzę, że i dzisiaj Schopenhauer wygrałby raz jeszcze dwadzieścia franków. Wyznaję grzechy swoje: i ja również gadałem niemało. Mówię, bom smutny i sam pełen winy! w gruncie jednak nie bardzo tej winy żałuję i nie bardzo jestem smutny. Ale z drugiej strony zapytam was, czyśmy rozwiązali jakąbądź kwestyę, czy z naszych opowiadań wypływa jakiebądź *corollarium*, jakabądź dyrektywa? jaki sens moralny albo niemoralny? Mówiliśmy o kłamstwie i o prawdzie, o świadomości i nieświadomości, o mowie i milczeniu, o jedności i wielości, o przypadku i przeznaczeniu, o cieniach i rzeczywistości. I wszystko zostało, jak jest — i na wieki pozostanie, jak było przed wiekami, albowiem miłość to jedyna potęga, co zawsze trwa w swojej najpierwotniejszej pierwotności i zawsze utrzymuje kobietę i mężczyznę w stanie fauna i dryady. Tu niechaj Karol aforyzm mój zapisze, albowiem ze wszystkiej naszej rozmowy ta jedna wypływa nauka: zasadniczą cechą rozwoju kultury jest rozwój zaufania między ludźmi; w jakiejbądź dziedzinie — w lesie, na polu, na wsi, na ulicy, na gościńcu, w baza-

rach, na widowiskach publicznych — ludzie krążą dziś swobodniej i bezpieczniej, niż dawnymi czasy, kiedy każdy musiał chodzić po świecie z bronią. W jednej tylko sferze — w miłości — mężczyzna pozostał barbarzyńcą pierwotnym, pełnym nieufności względem kobiety. Sądzę, że uczucie miłości znajduje się poza granicą ewolucyi — i że w miłości człowiek nie przestanie nigdy być barbarzyńcą pierwotnym, nieufnym i podejrzliwym, chciwym cudzego, a zazdrosnym o swoje. Zachowując na zawsze pobudliwość, rozpęd i siłę jaskiniowca, choć odrzuci tytuły honorowe mieszkańców wysp Fidżi, jak np. mózgozjadacz, ludożerca, skórozdzierca, złodziej krów, skalpownik i t. d., jeden tytuł: porywca kobiet, złodziej cudzych żon — zachowa na wieki i cenić będzie wyżej wszelkiej rangi. Pod tym względem mdły Europejczyk pozostanie wiecznie na stopie kultury wysp Fidżi. Kobieta zaś jest jako dorożka w dzień deszczowy: oto błądzisz po ulicach i szukasz ochrony, tymczasem po ulicach toczą się pojazdy, bardzo kształtne i dogodne, ale wszystkie zajęte. Nareszcie znalazłeś: nędzny wehikuł z chudą szkapą; siadasz zrezygnowany — i dopiero wtedy wyjeżdżają ci na drogę coraz piękniejsze i lepsze dryndy. O dwie minuty się pospieszyłeś — i cierpisz za to: gdybyś był poczekał, znalazłbyś lepszy pojazd; tak jednak masz dramat życiowy: musisz opuścić starą dryndę i szukać nowej, albo zrezygnować i w starej pozostać. *Dixi!*— Ale, panowie moi, czas do domu, czas. Przegadaliśmy całą noc, przegadaliśmy blizko sześć tysięcy wierszy druku — i moglibyśmy nagadać drugie tyle — odpoczynek przecie nam się należy. Przystoi też wyrazić współczucie autorowi, który dla paruset rubli honorarium —

„by rozweselić tłumów ospałych śledzionę“ — puścił w świat tyle okropnych plotek o ludziach, którzy nigdy nie istnieli... Jest to zarazem wskazówka dla krytyki, która z właściwą sobie bystrością tu właśnie znajdzie motyw, by ostrzyć swój dowcip na skórze autora.

KONIEC.